NA KRESACH I ZA KRESAMI.

MARYAN DUBIECKI.

NA KRESACH I ZA KRESAMI

WSPOMNIENIA I SZKICE.

STARY DWÓR NA WOŁYNIU.—KONFEDERAT.—
GNIAZDO REYTANA.—DAWNY ŻYTOMIERZ.—
J. I. KRASZEWSKI W ŻYTOMIERZU.—EMERYCI.—
OSTATNI Z SIENIUTÓW.—NASZE PAMIĄTKI
W CHARKOWIE.

KIJÓW.—1914.
Nakładem Księgarni Leona Idzikowskiego.
Warszawa: Leon Idzikowski: Marszałkowska 119.
w Krakowie u S. A. Krzyżanowskiego.

2/b

10188/60

LP 156

171500
II

10. 11. 60 30.- zł

Czcionkami Jana Czokołowa w Kijowie.

Przedmowa.

Na długim gościńcu życia mego, który niezawsze przechodził przez niwy ojczyste, lecz w znacznej części przez ziemie obce, spotykałem tłumy typów charakterystycznych i zdarzeń niezwykłych.

Zarysy ludzi i zdarzeń, odbijające się w pamięci, utrwalałem niekiedy w szkicach dorywczo kreślonych, które w ciągu szeregu lat ukazywały się w pismach peryodycznych. Obecnie, poprawione, niektóre zupełnie przerobione, owe sylwetki ludzi, zdarzeń, niekiedy zarysy okolic—zebrane z pól naszych i obcych, z zakresu obyczaju naszego, co licznym zmianom uległ, w wielu razach najzupełniej się zatracił—wychodzą w wydaniu zbiorowem. Do sylwetek ludzi i wypadków, do zarysów obyczaju dawnego, dodano parę wspomnień dziejowych z epoki ubiegłej, kiedy życie nasze na pograniczach wschodnich innym nurtem płynęło, a objawy tego życia są już dla pokoleń dzisiejszych przeważnie nieznane.

Mniemam, iż będą te wspomnienia w pewnym stopniu dokumentem dziejowym, gdyż może w żadnem społeczeństwie nie zaszło tyle zmian zasadniczych, w ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu, ile u nas, szczególniej u ścian pogranicza wschodniego.

Do wspomnień z życia naszego w kraju weszły tu odblaski wrażeń z dalekich ziem niewoli i tułactwa na Wschodzie—jak Trzy dni w pustyni, Zatraceni—treść ich ściśle się łączy z losami ludzi naszego społeczeństwa... Wreszcie, znaczna część szkiców niniejszych poświęcona wspomnieniom i opisom najdalszych krańców ziem Niżu Dnieprowego, dokąd dochodziły niegdyś, chociaż tylko chwilowo, małe bodaj promyki naszej cywilizacyi, lecz tam utrzymać się i ustalić nie zdołały... Szkice te i wspomnienia ugrupowane nie w porządku w jakim były kreślone, ale stosownie do porządku otrzymywanych wrażeń. Odblask wspomnień najdawniejszych rozpoczyna te zarysy, znacznie późniejsze idą ku końcowi.

1913 r.

STARY DWÓR NA WOŁYNIU.

Echa wspomnień z lat 1844 i 1845.

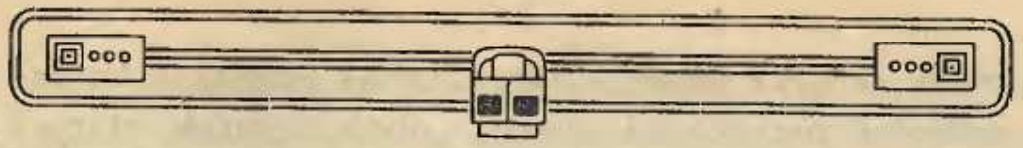

Stary Dwór na Wołyniu.

Echa wspomnień z lat 1844 i 1845.

„Szczęśliwy kto pamięta jak w dziecinnych latach
Igrał jeszcze po cichych dziadunia komnatach...
...Nieżkroć on, dumając nad sobą, nad braćmi,
Gdy mu łza tak bolesna świat i przyszłość zaćmi,
Zwraca się rzewną myślą w oną lat swych zorze,
Całą duszą, pamięcią w starym błąka dworze;
I tak dziecinne serca powtarzając bicia,
Słońcem ranka rozjaśnia chmurny wieczór życia".

Franciszek Morawski.

...Kilkadziesiąt lat dzieli już mnie od owej chwili dnia sierpniowego (1852 r.), gdy sędziwa matrona pospolicie nazywana panią podstoliną,— która krewną moją była—spracowane oczy zamknęła, gdy po długich miesiącach choroby i bolesnego konania, śmierć zerwała jej nić dziwnie długiego, przeszło stuletniego żywota... Umierając liczyła lat sto cztery...

Pamiętam, dobrze pamiętam żałośną dobę, za dni pięknej słonecznej jesieni, kiedy ją w zakonne szaty, jako tercyarkę zakonu św. Franciszka, przeodziano po zgonie, chociaż całe życie w świeckich chodziła i położono do drewnianej, dębowej trumienki, umyślnie od lat wielu przygotowanej... Widywałem wielokrotnie tę trumienkę w ciemnym kącie spichrza, ukrytą oddawna, i zajmującą tam, wśród różnych sprzętów zużytych, na zapomnienie skaza-

nych, miejsce wcale wybitne. Obok pamiątek bardzo odległej przeszłości domu, obok resztek starych mebli—dla których już i zmierzch XVIII wieku był dobą niezbyt młodą—obok lancy, już tylko jednej z tych wielu, z któremi niegdyś mąż sędziwej matrony, pan podstoli, Łukasz Rotharyusz, chodził na Barską potrzebę, obok starych komódek, sepetów i puzder zamczystych, gdzie cenne przechowywano zabytki z epoki saskiej, z czasów Karola XII, z dni znacznie dawniejszych pamiętających traktat Karłowicki, gdy wioska, w której ostatnie pięćdziesiąt kilka lat życia przemieszkała podstolina, przestała graniczyć z Portą Otomańską... obok wszystkich tych zabytków z różnych epok spotykano kurzem okrytą trumienkę drewnianą, bez żadnych ozdób, niczem nieobitą a jedynie politurowaną. Przeznaczała ją dla siebie.

Trumienka, na którą spoglądałem wielekroć, niby na zabytek przeszłości, gdy mi udało się czasem zajrzeć poza okute i wybornie zaryglowane drzwi spichrza, nagle stała się nie przeszłością, nie jakąś abstrakcyą — stała się rzeczywistością... Po czterdziestu latach oczekiwania otwierała swe wnętrze na przyjęcie sędziwej pani starego dworu.

Pamiętam, widzę w przezroczach przeszłości, widzę dokładnie — niby dobę wczorajszą — chwilę dawno ubiegłą, gdy moje pacholęce serce boleść ścisnęła niezmierna, na myśl, że w owej maluczkiej, dębowej trumience zamknięto jedno z ogniw dni ubiegłych, iż teraźniejszość pozbawioną została źródła tradycyi prastarej, iż czerpać już nie będzie mogła ze skarbnicy wspomnień dawnych, iż nie będą już nasze pokolenia patrzały na dawny obyczaj lat nader odległych... To wybornie już wtedy rozumiałem. Miałem lat czternaście... rwałem się do książki mówiącej o przeszłości, do pióra nawet...

Wszystko to już instynktownie odczuwało me serce chłopięce, i nie dziwmy się, że wielka je boleść przytłaczała, widząc, że dębową trumienkę ze spichrza, z pośród sepetów i puzder gdańskich wyjęto, z kurzu wieloletniego otrząśnięto, wysypano zboże, którem ona, wedle obyczaju, napełnioną była, i ustawiono na nizkim tapczanie, okrytym dywanem, w domowej kaplicy, wznoszącej się tuż obok starego dworu, przy gaju grabowym. Zabytek przeszłości rzeczywistością się stawał...

Przeczuwała myśl chłopięca, iż z tą trumienką znika nagle z powierzchni ziemi bardzo dawny obyczaj, a spójnie rodzinne, co się wiązały w jeden łuk wspaniały, podpierający sklepienie związku rodzinnego, rozluźniają się i runą niebawem.

Pani podstolina, chociaż przeszło od stu lat patrzała na świat, chociaż długi szereg pokoleń przesunął się przed jej wzrokiem, ostatnie zaś lata życia długa, ciężka choroba zatruła, zachowała najzupełniejszą czerstwość umysłu; myśl jej była zawsze pogodną; pamięć posiadała nader trwałą do ostatniej godziny swego długiego istnienia, sama przytem, sterując wszystkiem, do wszystkiego dokładała swą myśl, acz za lat ostatnich do wszystkiego oka przykładać nie zdołała...

Wśród niezliczonych dni życia swego znała ona i wielkich tego świata, i nie obcą była sprawom ziemian, wśród których, jak rzekłem, sama stojąc u steru spraw, interesów rodziny i domu, całe stulecie strawiła... Sprawy prowincyi, stosunki rodzin, zdarzenia głośniejsze—od połowy XVIII w.—niezatartemi głoski wyryły się w jej pamięci... Na słowa i wspomnienia skąpą wszakże była, przynajmniej już za tych ostatnich lat życia, co przekroczyły

jedno stulecie a drugie rozpoczęły... Jeżeli opowiadała o dniach minionych, to zawsze jakoś oględnie, i wogóle bardzo rzadko: lecz jej opowiadanie, o ile pamiętam, odznaczało się dziwną dokładnością, toku pełnego prostoty, wolnego od wszelkich powtarzań się i epizodów, odbiegających od głównego wątku przedmiotu...

Niejedno pokolenie słuchało tych wspomnień, odzianych w szatę jasną, prawdziwą, chociaż bardzo rzadko opowieść przeszłości z ust jej wychodziła. Łączyła się pospolicie chętniej z teraźniejszością, dniem dzisiejszym żyła; i sprawy, i ruch umysłowy teraźniejszości żywo ją zajmowały...

Trumnę pani podstoliny otaczał długi szereg wnuków i prawnuków, bliższych i dalszych; bo, wedle obyczaju domu, między bliższymi i dalszymi nie czyniono nigdy różnicy; nie rozumiano nawet, by jakaś różnica mogła istnieć. Wszyscy tworzyli niby jedno wielkie gniazdo rodzinne, każdy przeto miał niezaprzeczone prawo do jednakiej miłości, opieki—każdy pod jej dachem czuł się niby u siebie: był swoim, blizkim, każdy najbliższym... W liczbie dalszych nieco wnuków i ja byłem, podstolina bowiem była siostrą rodzoną mego macierzystego dziada.

Jak za życia dom jej tworzył ognisko, około którego skupiały się wszystkie odłamy pokrewnych z nią rodów, tak po zgonie skromna, drewniana trumienka skupiła wśród ścian jej domostwa duży zastęp krewnych bliższych i dalszych. Dzień jej zgonu dał hasło żałoby dla kilkunastu domów... odtąd rozprzęgły się wiązadła, łączące domy z nią spokrewnione, zestosunkowane z jej siedzibą, a sama siedziba miała się wkrótce przekształcić do niepoznania...

Od owej pamiętnej mi doby niezmiernie dużo lat upłynęło, i już ani razu zastępy tych wnuków, prawnuków nie zebrały się u jednego ogniska—i już się nigdy nie zbiorą, drogi ich życia rozbiegły się, przeszłość ich pochłonęła...

Rozproszyło się to kędyś po świecie, powędrowało różnemi ścieżkami, pogubiło się, zstąpiło do mogił. Wszystkie te ongi pisklęta powiły sobie inne, nowe gniazda, gdzieś na obcych borach, lub, z własnych powyrzucane, marnie poginęły...

A wieluż wśród nich, i to z szeregów najmłodszych, w owej epoce, śmierć rychło zabrała?... Zaiste, tych mogił doliczyć się już trudno, taka ich liczba wielka...

W dniu jednak zgonu pani podstoliny, wszystko, co związane z nią było temi lub owemi węzłami pokrewieństwa, czy nawet powinowactwa, jeszcze poczuwało się do pewnej z sobą łączności, trzymało się pnia starej tradycyi rodzinnej, jednocząc się ściśle, i splatając w jedną sieć wieńców powoju, który póty rósł i wygodnie się rozpościerał, póki czas oszczędzał przedniejszą latorośl, tworzącą punkt oparcia się... Wraz z trumną podstoliny do krainy cieniów i zapomnienia weszły też węzły łączące w jedną całość domy i rody skoligacone. Znamiona solidarności pewnego szeregu rodzin zniknęły...

. . . . . .

Pamięć moja dużo zachowała szczegółów rzeczonej odległej doby, odległej nietylko czasem, ale bardziej jeszcze innym obyczajem, gdy u ogniska poważnej matrony zbiegały się wciąż a przynajmniej dwa razy do roku, na święta doroczne, młodsze i starsze pokolenia pokrewnych z nią rodów...

Doroczne te zebrania należały do najświetniejszych: zapełniały, ożywiały, rozszerzały one ciche i niezbyt nawet obszerne węgły jej domostwa; budziły wspomnienia przeszłości rodu i prowincyi, cementowały niejako solidarność rodzinną.

Młodemi, dziecięcemi laty swemi sięgała sędziwa matrona dni ostatniego z Sasów, a prawdopodobnie znała takich, co patrzyli na ostatnią wojnę szwedzką i znikający zmierzch Sobieskiego epoki.

Dziecięca myśl moja już bardzo wcześnie, bo na jakich lat ośm przed jej zgonem, wybornie odgadywała w niej skarbnicę dni minionych, nić łączącą dwa światy, tak bardzo różne dawny i obecny—a więc zawsze chętnie, zawsze radośnie zwracała się ku niej, ilekroć zdarzała się możność odwiedzenia jej progów. Możność taka, w pierwszych dzieciństwa mego latach, bardzo często się zdarzała. Dziadek mój bowiem, pan podkomorzy, ojciec mej matki, jej zaś brat, znacznie od siostry młodszy, bo jeno ośmdziesiąt parę lat liczący starzec, podczas gdy ona już wówczas do stu dobiegała, był dla niej nader tkliwym bratem, często ją odwiedzał i zawsze mnie brał z sobą.

Odwiedziny te miewały miejsce w rozmaitych porach roku — przeważnie jednak dnie dorocznych uroczystości u niej spędzaliśmy—a do takich dni, oprócz Bożego Narodzenia i Wielkiejnocy, zaliczano i 30 kwietnia, dzień św. Katarzyny Seneńskiej, patronki sędziwej babki... Odwiedziny trwały zwykle około tygodnia, niekiedy i dłużej. Niewielka odległość oddzielała oba domy, zaledwie pięciomilowa (35 kilometrów), a jednak i wybiór, i podróż czemciś zdawały się niezwykłem. Z pewnemi przygotowaniami przystępowano do wyjazdu. Poświęca-

no przygotowaniom dni kilka, a krzątanie się domowe, któremu, jak można było mniemać nie będzie końca, przechodziło z dworu do oficyn, odczuwano je w kuchni, w stajni, w całem obejściu domowem. W krzątaniu się tem wszakże pośpiechu nie było; nie widziano nic z owej gorączki kolejowej dni dzisiejszych. Spieszono się, ale—zwolna, poważnie, z namysłem: o niczem tedy nie zapomniano, nic nie zgubiono, po nic zapomnianego gońców nie potrzebowano posyłać.

Pośpiech nie wprowadził żadnego zamętu, ani do głów spieszących się, ani do porządku domowego. Porządek, ład, panował zawsze jednaki: odczuwali tylko najbliżsi, domowi, odczuwali niejako instynktowo, w atmosferze samej, iż chwilowa zapanuje cisza w obszernych izbach rozległego dworu podkomorzego, iż chwilowa nadejdzie przerwa w zwykłym, domowym porządku: od zamętu, nieładu, gorączki pospiechu, chroniono się. Szło więc wszystko zwykłą koleją codziennego ładu, wprowadzonego od lat wielu, szło bez zmiany aż do chwili wyjazdu. A więc też same, jak codziennie konferencye wieczorne z ekonomami przybywającymi z dalszych folwarków, też same audyencye dawane włościanom, też same wspólne modlitwy wieczorne z domownikami i czeladzią.

...Modlitwy wieczorne—to chwile niczem w pamięci niezatarte... Przesunęły się później, w życiu dalszem, przed okiem mojem, i zniknęły nazawsze w myśli inne, liczne obrazy ludzi, miejsc i zdarzeń, lecz owe chwile wspólnej wieczornej modlitwy, w izbach domu mego dziadka, modlitwy gromadki jego domowników i czeladzi, która, po całodziennym twardym trudzie, szukała wypoczynku u stóp

obrazu Zbawiciela upadającego pod Krzyżem—nie zniknęły, nie pochłonęła ich przeszłość... Żyły one wciąż w mej pamięci i w dojrzalszych latach życia. Widziałem je i w późniejszych, za dni innej doli, w młodzieńczej dobie żywota; słyszałem ich dźwięk wyraźnie, nawet wówczas, gdym o nich nie myślał, słyszałem w echu pogańskiej pieśni, kiedy otoczyły mnie objawy kultury buddajskiej, a pieśń kapłanów Szagiamuniego brzmiała w otaczających przestworzach i wpadała do mego ucha...

Bywały podobne wspólne modlitwy i u babki podstoliny, ale nie wiem, czy obejmowały tak szeroce powszechność domową, jak u mego dziadka.

W bawialnym saloniku, w domu dziadka, utrzymywanym pospolicie nader czysto i porządnie, z pewną nawet elegancyą owych lat, schodzili się wszyscy domowi i czeladź dworska. Nikogo nigdy tam nie brakło, ruszało wszystko co żyło. Nie działał nakaz przymusu; były znać inne pobudki, które wołały do apelu wszystkich... Żaden i żadna nie zapominali, nie zabaczali, nie spóźniali się. Szło wszystko z najdalszych szeregów czeladzi, szło ławą, ochoczo, i zapełniało wielką ciżbą dwa pokoje. Szło śmiało a spokojnie, jak do swej izby czeladnej, na folwarku, jak do alkierzy piekarnianych w oficynach... Nikomu widocznie na myśl nie przychodziło, że dość wniesie błota do dworskich pokojów, że może splami lśkniące, wyfroterowane tafle posadzki...

Wszystko garnęło się do stóp Zbawiciela, który na wielkim obrazie, w purpurowej szacie, zginał swą majestatyczną głowę pod brzemieniem Krzyża.

Ci mali, ubożuchni, w tym dobrze sobie znanym obrazie, azali nie widzieli odźwierciedlenia własnej twardej doli?..

I kogoż tam nie było z domowych i czeladzi na owych wieczornych modlitwach?.. W pierwszych szeregach spotykano zawsze fraucymer: przewodniczyła mu poważna usposobieniem i tuszą, berło w garderobie z godnością, ale i z grozą trzymająca, ochmistrzyni; dalej klęczały, skłonne do chichotania, młode, często ładne twarzyczki panien garderobianych; obok nich klucznica, z zastępem dziewek folwarcznych; dalej kredens ze wszystkimi przedstawicielami swymi, wreszcie czeladź dworska... Ci najdalsi, najniżej na drabinie społecznej stojący, stawiali się pospolicie wszyscy co do jednego.

Uznojone ich twarze, sterane biedą, pozbawione wyższej myśli, często prawie zdziczałe, po kwadransie, po dwóch—pod wpływem modlitwy—rozpromieniały się, świeciły jakimciś blaskiem, przedtem niespotykanym na tych obliczach stępiałych, nieznających życia innego, nad życie ciągłego znoju... Znać coś silniejszego, nad blask świec łojowych, któremi wyniosłe izby dworu oświecano, rozpłomieniał te postacie. Z głębin ich ducha, budzącego się pod wpływem modlitwy, biły promienie jakiegoś nieziemskiego blasku i one to, bodaj na chwilę, ożywiały je, uszlachetniały...

Pieśni adwentowe, w mroźne wieczory grudniowe, pieśń o męce Zbawiciela „co wzniósł na Krzyż ręce swoje"—podczas wielkopostnych, ponurych, marcowych wieczorów—rozbrzmiewały wielkiem echem i jednoczyły różnorodną gromadkę w harmonijną całość.

W sferze ducha ludzie ci czuli się najzupełniej równymi: wszystko co świat wzniósł, aby ich rozdzielić na stany, na grupy społeczne, pod tchnieniem owej chwili upadało, w proch się rozsypywało...

Zdawało się, patrząc na tę gromadkę rozmodloną, iż tu niema sług i pana, iż wszyscy są jedną rodziną, dziećmi Tego, który upada pod brzemieniem Krzyża...

. . . . . .

Po jednym z takich wieczorów, wyruszaliśmy pospolicie na doroczną uroczystość do babki podstoliny. Myśl moja tu cofa się do wspomnień dziwnie dawnych, do lat 1844 i 1845.

Cztery mile polskie, lub mało co więcej, oddzielały posiadłości dziadka od siedziby podstoliny.

Niewielką tę przestrzeń przebywaliśmy dość powoli, dziadek bowiem nie znosił bardzo szybkiej podróży: rącze, dobrze utrzymane jego cugi przyzwyczajone już były do nader powolnej jazdy. Upływało zatem godzin ze cztery zanim przesunęliśmy się przez pola rozwarte, około gajów rozrzuconych wśród równin, zlekka falujących, zanim nie ukazała się naszym oczom tak zwana „Grabina", lasek grabowy zasadzony, przy końcu XVIII w., ręką podstoliny. Poza laskiem, jak gdyby chroniąc się od gwaru świata, stał jej dwór, zdala od wsi Samczyniec...

Okolica, którą przebiegaliśmy, był to powiat Starokonstantynowski, bardziej niż inne okolice Wołynia posunięty na południe, zbliżony ku południowym skraiskom naszych wodozbiorów, świecił rozległemi łanami zbóż wielorakich; a że tam właśnie przebywaliśmy dział wód, grunt przeto coraz więcej stawał się falistym. Na pochyłościach wzgórz częstych, lecz niewyniosłych, rozpostarły się lasy i laski z brzóz i dębów złożone. Im dalej ku południowi tem większe legły gaje, tem okazalsze i głębsze, chociaż nigdzie niepodszyte drobniejszemi krzewy, świecące wszędzie to niwą leśną to kwieciem

pól blizkich. Gaje sprawiały wrażenie parków wspaniałych... Czysto w nich, przestronnie było, cienisto, zielono, zacisznie, ale i gwarno niekiedy od śpiewu ptaków, od piosenki pastuszków, często smutnej, lecz często i swawolnej, wesołej, od śmiechu szczerego zbierających jagody, lub spieszących o zmierzchu dnia wiejskich chłopaków z końmi na pastwiska, na nocne przy stadzie czuwania, gdy to bies płata niekiedy ludziom figle...

„Grabina", chroniąca siedzibę podstoliny od wichrów i mroźnych zawiei, ukazująca się, to znikająca poza tym lub owym gajem, „Napólnikiem", „Siekierzyńcem"—wreszcie ukazała się oczom naszym, na lewo od gościńca; zdaleka wprawdzie, lecz w całej rozciągłości. Zdawała się jeszcze dość odległą, gdy wyraźnie zarysowała się długa, czarna linia drzew: to aleja lipowa, długa na kilometr, może i więcej, łącząca „Grabinę" a więc i bramę wjazdową z gościńcem.

Aleja, również jak lasek grabowy, jak wszystko, co tu ujrzeć mieliśmy, praca dłoni, zapobiegliwości, energii, mrówczego trudu sędziwej matrony.

Jeszcze chwila, dwie, jeszcze mały wysiłek opasłych cugów, jeszcze jeden, drugi wysiłek fantazyi woźnicy, który z dziwną werwą klaskał z bicza, i im bardziej zbliżał się do celu podróży, tem to klaskanie stawało się głośniejszem, tem w większą finezyą odbywało się... I zwracaliśmy z większego gościńca na lewo, w aleję lipową.

Gościniec podążył ku okolicom południowym, ku laskom i wzgórzom coraz weselszym, ku polom, wodom, i wioskom coraz bardziej śmiejącym się, ku odległemu o kilkanaście kilometrów Międzybożowi, gdzie niedawno, tak jeszcze bardzo niedawno,

w zameczku, górującym nad granitowemi brzegami rzeki, płynącej do Pontu, mieszkał—otoczony haremem—basza, co słuchał rozkazów padyszacha a sam w grozie i posłuchu trzymał całą tę okolicę...

Gościniec pobiegł w kierunku prostym, my go żegnaliśmy na rozdrożu. Kapliczka z czterech słupków i daszku złożona, w której stał z drzewa ciosany posążek św. Jana Nepomucena, drogowskazem niejako była dla przejeżdżających wśród ciemnych nocy i zimowych zawiei.

Drogi się tam krzyżowały.

Oprócz gościńca, który szerokim pasem zakreślił linię ku dawnej rezydencyi baszów, oprócz zwrotu aleją lipową do dworu podstoliny, w prawo biegła drożyna do pobliskiej wioski, Semerynek, w owe lata nader głośnej na tem starem pograniczu Otomańskiem... W owej wioszczynie, w bardzo wyniosłym dworze, z jeszcze bardziej wyniosłą bramą, ongi mieszkał p. Piotr Czeczel, noszący tytuł starosty, słynny z polowań i z balów, których rozgłosem niegdyś brzmiała okolica.

Moja pamięć do dni polowań rozgłośnych już nie sięga: lecz zachowała jeszcze echo balów starosty, a jeszcze bardziej utkwiły w mej myśli wspomnienia pogrzebu starosty, gdy podczas zwykłych w tamtych okolicach bezdroży, na przełomie zimy i wiosny, wieziono na wozach umyślnie ku temu zbudowanych cały orszak pogrzebowy, składający się przeważnie z tłumnego konduktu duchowieństwa. Wozy niezwykłe, a przynajmniej echo licznych o nich opowiadań, wybornie w mej dziecięcej pamięci utkwiły, chociaż rzecz się działa jeszcze na początku roku 1843...

Że „Czeczełowskie“ polowania i bale cieszyły się rozgłosem, przekraczającym granice prowincyi, a nawet kraju, świadczą wiadomości o nich dość szczegółowe jakiegoś turysty, anglika, umieszczone w czwartym pono dziesiątku lat XIX wieku—w Revue Britaniquc.

Anglik przedewszystkiem podziwia polowania. Mają one dla niego coś wielce oryginalnego, niezwykłego: i nic dziwnego, jeżeli się przypomni, że rzecz się działa w pierwszych trzech dziesiątkach lat XIX w., kiedy jeszcze dwory i dworki, nawet ludzi miernej fortuny, roiły się od tłumu sług o różnobarwnej liberyi, kiedy jeszcze spotykano dużo fantazyi, gdy chciano i umiano się bawić...

Ludzie owoczesni odznaczali się niepospolitą mocą sił ducha i ciała, wszystko co czynili, czynili z zapałem niezwykłym, wszystko u nich wypływało z głębin i usposobienia nader pogodnego. Gorycze wielorakie niezatruwały znać jeszcze owych umysłów, więc i ochota do pląsów była szczerą, i również w taniec, jak i na dzika lub zwykłego szaraka, szło się z dziwnie pogodnym animuszem.

Wnukowie i prawnukowie już podobno tego nie potrafią. Zadużo żółci i innych trujących pierwiastków wsiąknęło w ich dusze a horyzonty pogodne już nie roztaczały się nad ich kolebką...

. . . . . .

Aleja lipowa niezbyt szeroka, cienista, nieco wężowato wijąca się, długim torem biegła ku domostwu pani podstoliny. Pod sklepieniem lip wyniosłych rozlegały się zwykle klaskania z bicza, tak bowiem woźnice przybywających powozów mieli w obyczaju zapowiadać przyjazd nowych gości. Jeszcze z ganku domu nietylko dojrzeć, ale nawet domy-

ślać się nie można było nowych przybyszów, a już z alei dobiegał odgłos zręcznych figlów sztuki furmańskiej. Pospolicie po owych odgłosach klaskania niedość, iż dowiadywano się o przyjeździe nowych gości, lecz niektórzy ze starej dworskiej służby umieli nawet odgadywać kto przyjeżdża. W sztuce odgadywania dochodzono niekiedy do biegłości niezwykłej; ucho ich wprawne prawie nigdy nie zawodziło.

— Oho—szeptał stary Jan, lokaj od pół wieku—pewnikiem nikt to inny, jak ten Grześ z Derkacz, stary niedołęga, bicz ma z kłaków, klaszcze zwykle jak baba... Niema jak furman starościński, z Semerynek, szczególniej dawny, albo z Klitny, naszej pani Waleryi, lub pana Numy Łepkowskiego, z Łahodyniec, to panie tego ten, aż miło posłuchać... bęc, bęc!.. Albo jak pan Walery z Żołobnego, kiedy swą czwórką zawinie, to dopiero huknie z bicza, a odgłos idzie po całej grabinie... Poznaję go zawsze po jednem klaśnięciu, chociaż się tu rzadko pokazuje...

Uwagi starego Jana milkły pospolicie gdy stawała na ganku niespodzianie postać wyniosła, ale jakaś zawiędła, nieco ponura, sztywna, jakby marsowata, rej wodzącego w stajni koniuszego Zbrożka: zaliczał się on do przedniejszych sług domu. Znał się na koniach, ich przymiotach, narowach, no, rozumie się i na klaskaniu z bicza. Nie pozwalał służbie kredensowej robić żadnych uwag w zakresie swych specyalnych wiadomości i zajęć.

Zapewne i nasz przyjazd bywał poprzedzany prognostykami czerpanemi z ech owego klaskania, gdyż najczęściej już w ganku lub sieni witała nas pani domu, na schodach zaś stała cała służba i ten lub ów z gości, których tam nigdy nie brakowało.

Dom podstoliny z aleją lipową, z laskiem grabowym, który długą ścianą osłaniał starą siedzibę, z kaplicą, wsuniętą nieco w lasek, a witającą przybyszów u bramy, z licznemi oficynami, co się rozbiegły na znacznej przestrzeni poza dworem i nosiły każda oddzielną nazwę, z ogrodem zamykającym jedną połać dziedzińca, podczas gdy lasek drugą zamykał—tworzył jakby oddzielną dzielnicę wioski, odbiegł od niej daleko... Potrzeba było przebiedz przestrzeń niemałą, z głównego na drugorzędny przejść dziedziniec, który tworzył obejście dla oficyn, minąć jeszcze bardziej poza dwór wsunięty folwark i całą ciżbę zabudowań gospodarskich, gumna, obory, aby wreszcie do wioski dójść. Wieś miała wcale inny dostęp i wjazd do ulic swych i siedzib. To oddalenie wszakże pozornem tylko było... O ile przestrzeń oddalała, o tyle nici ciągłego stosunku i sympatyi wewnętrznej łączyły wieś z dworem; ścieżki jednoczące nigdy nie zarastały chwastem niechęci lub obojętności.

Nietylko wspólne interesa przyczyniały się do ich wydeptywania; poczucie obowiązku i obyczaj łączyły dwa te różne życia wiejskiego ogniska. Wszystko tak się składało: dawne tradycye i tysiączne, maluczkie, napozór nic nieznaczące sprawy i urządzenia obyczajowe potrzebę stosunku ciągłego wytwarzały i ustalały.

Nie pracowano nad tem, jak się nie pracuje nad ustalaniem stosunku w uczciwej rodzinie między ojcem a dziećmi: stosunek sam się nawiązywał, trwał, był czemś zwyczajnem, powszedniem; nie dziwiono się mu, jak się nie dziwiono, iż tarcza słońca codzień spieszy na spoczynek do głębin grabowego lasku a nazajutrz wyłania się z poza ogro-

dów, z poza dalszych horyzontów, gdzie świeciły białe szeregi chat wieśniaczych.

. . . . . .

Zanim rozpatrzymy się wśród wiejskiego obejścia i dworu, zanim wejdziemy do jego izb niezbyt obszernych, rzućmy okiem na przeszłość pani tego domu.

Podstolina, Katarzyna ze Sławków Rotharyuszowa, jak zaznaczyliśmy na pierwszych kartach tych wspomnień, przyszła na świat w połowie wieku XVIII, a nawet początki jej życia sięgnęły nieco wstecz poza połowę. Mierny stan szlachecki tworzył podścielisko jej ogniska rodzinnego. Starszą była w rodzinie i dość późno opuściła skromne progi domu ojcowskiego, by się stać małżonką zrujnowanego już nieco materyalnie, dość młodego jeszcze wdowca, który wszakże świecił niknącym blaskiem dawnego mienia.

Poznanie się z wdowcem było przypadkowe.

Stało się to około roku 1777. Tę datę widziałem wyrytą na jej ślubnym pierścieniu.

Wszystko działo się jak w bajce starych piastunek, lubo opowiadam tu rzecz najzupełniej prawdziwą, opartą na tradycyach rodzinnych.

Przyszła pani podstolina, a wówczas jeszcze panna chorążanka parnawska, wraz z matką odbywała jakąś podróż; niedługą wprawdzie, bo w okolicy sąsiadującej z niemi, ale za dni jesiennych, po drogach złych, mostach chwiejących się, groblach wązkich i śliskich od ciągłej słoty.

Zepsucie się powozu uzupełniło niewygody, przykrości podróży, gdy zaś nie znaleziono stosownej do wypoczynku gospody, gdzieby można było

przeczekać reperacyę powozu, wytworzyła się klęska prawdziwa dla kobiet znużonych i strwożonych...

Gospody dogodnej, choćby nieco czystej, nie było wcale. W sąsiedniem wszakże, tuż przy gościńcu, miasteczku, Werbie, w zameczku, otoczonym fosą i wałami, mieszkał niestary wdowiec, lubiący żyć wesoło, podstolim tytułowany, Łukasz Rotharyusz...

Epoka saska ciągłych biesiad, zdawało się, już ustąpiła z widowni życia, zrywano z istnieniem bezmyślnem, lecz te zmiany nader powoli rozwijały się. Bywały zakątki, i to podobno nierzadkie, dokąd niełatwo zdołały się przedrzeć prądy inne, lepsze... Do Werby na Wołyniu, w powiecie Krzemienieckim, one znać nie przedarły się były. Od rana bowiem do nocy, od zmroku do świtu, prawie codziennie grzmiała tam kapela, na zameczku, strzelano z moździeży, wznoszono toasty, gdy dni uroczyste nadchodziły, lub gość się zdarzył. O uroczystości i gościa łatwo wszakże było: więc zameczek weselem wciąż brzmiał.

I wina, i prochu zużywano moc wielką. Pierwsze lało się strugą do spragnionego gardła biesiadników, za pośrednictwem puharów olbrzymich, o różnych kształtach, dziś trudnych do opowiedzenia. Miałem niektóre z nich w ręku, gdy już od lat wielu nieużywane w skarbczyku spoczywały i, zaiste, dłoń dziecięca z trudnością unieść je mogła... Spotykałem i takie, co rozmiarami zdumiewały, że jednak nie miały podstawy—postawionemi być nie mogły: należało je więc wychylić do dna, lub cisnąć o ziemię, a wówczas zawartość zalać by mogła całą izbę, była bowiem garncową... wychylano ją przeto... Proch psuto przy tych libacyach wcale

hojnie: towarzyszyły toastom wystrzały. Pan domu posiadał na zameczku własną załogę, niegdyś liczną, ale wówczas do dwudziestu tylko konnych zredukowaną... Ułani ci niezawsze przy libacyach jedynie strzelali: w dawniejszych nieco latach widziano ich z podstolim w Konfederackich Barskich szeregach, gdy walczyli pod Tyńcem i Lanckoroną.

Takim to był ów wdowiec, pan na zameczku, do którego podwoi zakołatały zdrożone kobiety. Przyjął je radośnie i gościnnie.

Było ich dwie: matka i córka. Panna Katarzyna, acz dwudziestą ośmą wiosnę liczyła, odznaczała się zgrabną wielce postawą a nawet i pięknością, której ślady o wiele dziesiątków lat później jeszcze spostrzegano. Oprócz piękności rozum w niej przedewszystkiem uderzał.

Pan zameczku kazał spiesznie naprawiać powóz, a tymczasem zagrzmiały mury od hucznej zabawy. Słota sprowadzała gości pod dach, gdzie wciąż się bawiono; oprócz przybycia przypadkowego chorążyny napływali i inni, zwykli biesiadnicy.

Trzy dni naprawiano powóz i trzy dni biesiada trwała. Skoro jednak, po naprawieniu powozu przygodni goście odjechali, wysłał podstoli pod ich dach dziewosłębów, prosząc o rękę tej, którą do jego siedziby przypadek sprowadził...

W krótce potem grzmiały znowu wielkim hukiem moździeże na wałach Werby. Podstoli wprowadzał młodą małżonkę do swego domu. Chwila to była, zaiste, uroczysta a błoga w następstwa dla owej rodziny... Podstolina całem swem długiem życiem dowiodła jak znakomicie obowiązkom sprostać umiała, jak po zgonie męża majątek, najzupełniej zachwiany, ocaliła; liczną a nieletnią dziatwę od

biedy ochroniła, wychowała, na stanowiska społeczne wprowadziła; a wreszcie, wytrwałą pracą, z resztek zniszczonej fortuny wytworzyła mienie dostatnie, zapewniające byt każdemu z dzieci...

Pożycie małżeńskie podstoliny trwało lat kilkanaście, Bóg je ubłogosławił liczną dziatwą. Gdy lata pana na zameczku, w Werbie, miały się ku schyłkowi, a działo się to w przedostatnim dziesiątku lat XVIII w., nawiedzać go nieomieszkały liczne niemoce. Pasmo życia zbyt wesołego rwać się i plątać zaczęło; wszystko wskazywało, że nić żywota ku końcowi się ma: dłuższego wątku, pomimo wysiłku, niepodobna było wysnuć...

Ratowano się mineralnemi wodami. Odbywano podróż zagranicę, do wód, do uczęszczanego już niemało od wieków Karlsbadu. Podróż z Werby do Karlsbadu odbywano w sposób, o jakim teraz nikt nie marzyłby nawet. Odbywano ją, rozumie się, swemi końmi, ale przytem z licznym taborem powozów i furgonów, z kucharzami, z ciżbą sług i z ośmnastu zbrojnymi ułanami którzy tworzyli eskortę bezpieczeństwa. Podróż do Karlsbadu z Werby na Wołyniu, leżącej o jakie mil trzynaście na wschód od Lwowa, trwała sześć tygodni. Podstolina już i wówczas rozwijała energię wielką, acz przejawiającą się ze spokojem i taktem, rządność niezmierną, zapobiegliwość gospodarczą, które to przymioty później stały się dźwignią jej prac: z niemi tak wiele w życiu dokazać zdołała.

Przykładem jej rządności są rachunki najszczegółowsze z podróży Karlsbadzkiej, które prowadziła przez cały ciąg wędrówki tak długiej, iż samo zajechanie i powrót zabrały około trzech miesięcy. W archiwum rodzinnem, w głuchem, wiejskiem ustro-

niu zachowano je dotąd. Służyć one może kiedyś będą dla badaczy jako materyał do dziejów obyczaju; dla nas zaś są jednym z rysów postaci tej, zaiste, niepospolitej w zakresie stosunków nietylko niewieścich.

Podróż Karlsbadzka nie przyniosła radykalnego wyleczenia. O ile długo dopisywały podstolemu siły, wśród gwarnego i zdrowiu niezbyt sprzyjającego sposobu życia, o tyle nagle gasnąć zaczęły i zgasły prawie niespodzianie.

Za dni rozpoczynających ostatni dziesiątek lat XVIII stulecia zgasł pan zameczku w Werbie... W posępny wieczór styczniowy ostatni raz zagrały moździeże na wałach... Żegnano orszak pogrzebowy odprowadzający ciało zmarłego do mogiły.

Ten co za życia dalekim był od ascetyzmu, umierając, pragnął, by go złożono w klasztorze mnichów żebraczego zakonu, w podziemiach kościołka OO. Kapucynów, w Starym Konstantynowie.

Stało się wedle woli. Ciało tam odprowadzono, bez względu iż od Werby miejscowość to była dość odległą...

Wóz żałobny otaczała liczna, osierocona rodzina. Oprócz żony i syna z pierwszego małżeństwa, widziano siedm'oro dziatwy małej z powtórnych ślubów: czterech chłopców i córki trzy. Najstarszy z chłopców szesnastą wiosnę zaledwie rozpoczynał, czy też i tego nie liczył—reszta to drobiazg... Obok wdowy i sierot szli domownicy, rezydenci, szła i załoga zameczku, owi ułani, których widzieliśmy jak po sześć tygodni spędzali na kulbace eskortując powozy do Karlsbadu. Nieśli oni swe lance, lecz już po raz ostatni.

Skoro podziemia klasztornego kościołka pochłonęły trumnę ich wodza, a niegdyś współtowarzysza mocowań się orężnych barskich rycerzy, zarówno ułanom, jak i rezydentom, rzeczywistość stanęła w swej wielmożności przed oczyma.

Fortuna zmarłego, oddawna zachwiana, runąć już wówczas musiała. Spostrzegł to zastęp domowników i w wielki płacz uderzył. Dach ochraniający ich przez lat wiele—znikał nagle. Stosunki domowe zmienić się musiały i rzeczywiście zmieniły się.

Ułani, skoro zamknięto drzwi grobowca, już wnet na dziedzińcu kościelnym skruszyli swe kopie, lance, i z płaczem ruszyli w świat szeroki. Jeden tylko, co starszym wśród nich był, pozostał jako domownik na długie lata wśród rodziny zmarłego. Widziano go później, znacznie później, jak gasł w bardzo sędziwym wieku u jednego z synów dawnego swego chlebodawcy... Coś tak, niby cień, niby coś pośredniego między mglistą rzeczywistością a legendą, przesuwa się w mej pamięci (około r. 1844) ów dowódca załogi zameczku, mocno zgrzybiały, dogorywający, w małym dworku w Radziwiłówce, w Berdyczowskiem, gdzie był szczupłego obejścia władcą niezależnym. Syn dawnego chlebodawcy—Wojciech Rotharyusz, człowiek niemałego serca—otaczał go opieką, troskliwością, zamknął mu wreszcie powieki.

Podobnie jak do wieku XIX przetrwał ów jedyny żołnierz z zameczku w Werbie, nazwiskiem Turski, przetrwała też i lanca ostatnia—znać niewszystkie skruszono na owym pogrzebie. Miałem ją w mej dłoni, w pierwszych dniach po zgonie podstoliny (w r. 1852). Późniejsze losy drzewca

pamiątkowego nieznane. Obojętność, niewiadomość zapewne wydały je na zatracenie.

. . . . . .

Zgon męża był chwilą wielkiego przełomu w życiu późniejszej matrony. Nie spodziewano się, iż przetrwa przełom, iż zeń wyjdzie zwycięsko... Przewidywania złowróżbne zawiodły...

Pozostała sama z siedmiorgiem małych dzieci, z fortuną zrujnowaną, z interesami zagmatwanemi. Jutro dla niej, dla dzieci, mgłą szarą było otoczone, zdawało się, że z rozbicia nic unieść nie zdoła, nic nie ocali dla dzieci i sama się ugnie pod naciskiem życia twardego... Stało się wszakże inaczej. Samotna kobieta zdołała starczyć za wielu, zdołała prawdziwie męską, żelazną niejako dłonią ująć ster spraw domowych. Ujęła kierunek z energią niezłomną, ze świadomością zadania ciężkiego i już go odtąd wcale z rąk swych nie wypuszczała. Ster spraw domowych w jej ręku był drogą skuteczną do wybrnięcia z interesów.

Werbę z zamkiem sprzedała, sprzedała też i inne posiadłości stopniowo, oględnie; wprowadziła odrazu po zgonie męża wielkie oszczędności, zmieniła stopę życia—wyższą na inną, szlachecką, ale dostatnią. Zaledwie parę lat upłynęło a już całą reformę stosunków domowych przeprowadziła.

Summy otrzymane za dobra pokryły długi i jeszcze pozostał kapitał, który włożyła w nowe, dogodne nabycia. Kupiła w innej zupełnie okolicy, na pograniczu Podola, parę wiosek, Samczyńce i Derkacze z okruch pozostałych po upadłej fortunie, i tam urządziła nowe swe życie, tam wychowała dzieci, tam je wyposażyła i w świat wyprawiła, tam pracą wieloletnią zdobyła dostatek i spokój.

Nowe, inne życie zaszczepiła na innem polu, niejako na nowinie, która bujnem żniwem wynagrodziła jej ciężki znój...

Ostatnie sześćdziesiąt lat życia to okres nowy w istnieniu tej rządnej, rozumnej niewiasty, okres pełny spokoju i pomyślności... Spokój i pomyślność sobie jedynie zawdzięczała, własnej pracy, energii, rozumnej rządności. Nieszczęście jej nie zmogło. Wyższa nad wszelkie ciosy losów, wyszła z zapasów z przeciwnościami mocniejsza i tryumfująca, aby za dni sędziwej, długoletniej starości używać dobrze zasłużonego spoczynku... Sam spoczynek był u niej pracą, bo właściwie nie opuszczała aż do zgonu steru gospodarstwa i interesów: gdy już nie mogła do wszystkiego dłonią dotknąć się, sięgała bodaj myślą, a ta jej myśl, aż do końca życia, na każdej, by najmniejszej sprawie piętno swe wyciskała.

. . . . . .

Taką przeszłość miała sędziwa matrona, witająca na ganku swej siedziby, o ile pora roku na to pozwalała, przybywającego „pana brata"... Brat to jedyny a ukochany, zawsze od lat wielu doradca, jedyny współpracownik jej znoju ciężkiego przy dźwiganiu splątanego brzemienia interesów. Dokładał on tu nie dłoń, lecz doświadczenie swe męskie, acz młodszy znacznie, dokładał wiedzę prawną i wytwarzał owo uczucie, nieraz w życiu niezbędne, że się nie jest samotnym...

Stary dwór tej niepospolitej niewiasty nie był obszerny, chociaż wielekroć mieścił w sobie tłumne koła rodziny, sąsiadów, znajomych, co zaś ważniejsza nie liczył wśród swych izb ani jednej zbytecznej, mniej potrzebnej, zbudowanej dla kogoś, na-

pokaz, nie dla siebie. Wzniosła go ona, podobnie jak wszystko, co ów dom otaczało. Przybywszy z zameczku w Werbie, zastała pustkowie na nowej siedzibie, i na tej pod każdym względem „nowinie“ wszystko od pnia zmuszoną była wznosić i dźwigać... Z życia dawnego, z siedziby dawnej wywiozła tylko część skarbczyka rodzinnego, obrazów kilka z kaplicy i wreszcie to, co za skarb cenny świadczyć mogło—przeświadczenie, że z życiem zbytkownem, nieopatrznem, by największe zasoby wyczerpującem, zerwać stanowczo i nazawsze należało.

Wszystko w jej domu i otoczeniu o urzeczywistnieniu tego przeświadczenia mówiło, wszystko tchnęło prostotą, powagą, ładem, na ślad zbytku nic nie naprowadzało: zdawało się, że świat go wcale nie zna, bo pani domu nie znała. Niegdyś—przed dziesiątkami lat—wyrzekła się go, i ślubu umiarkowania, w milczeniu złożonego, święcie przez życie długie dochowała...

Sąsiedzi jej, bliżsi, dalsi, chętnie wznosili domy murowane, z pozorami pałacyków, z obszernemi salonami, z wyniosłemi bramami; ona, wzniósłszy wygodny, drewniany budynek, wcale niewyniosły, o siedmiu izbach, na tem poprzestać postanowiła i poprzestawała. Ściany może tam i rozszerzały się—jak chce poeta—lecz objąć wszystkich kół rodzinnych, pod ten dach często przybywających, nie zdołały. Z latami za ciasno się stało... Więc, nic nie dobudowując, wznosiła oficyny w miarę potrzeby większe, mniejsze, aż z nich, poza domem, na oddzielnym placyku cały niby rynek powstał otoczony oficynami różnego miana. Nazywano je: „wielka“, „mała“, „Nosowica“... Na środku placyku wznosił się dąb, który tam był najstarszym przybyszem.

Pioruny go opaliły, burze konary stargały, lecz on zawsze dumnie szczyt obnażony z liści wznosił, na szczycie zaś bocian gniazdo swe miał. Wśród gości, którzy na owym placyku, w oficynach, tygodniami nieraz gościli, i ten bocian gościem był, a dumnym mienić się mógł, gdyż siedzibę posiadał najwyższą

Wnętrze dworu odznaczało się zadziwiającą prostotą. Czystość, porządek, ale też brak wszystkiego, co byłoby obliczonem na jakąś szczególną wygodę, a trąciło miękkością. Zdawałoby się, i słusznie, że zamożna, przytem stuletnia prawie kobieta ma prawo do szczególnych wygód, do wypoczynku, do jakiejciś ciszy niezwykłej, wśród domowego gwaru.

Nic podobnego tam nie spotykano: żadnej bokówki, żadnego gabineciku zacisznego, gdzieby w ciągu dnia wypocząć mogła pani domu. Wszystko tak zawsze było jakby wciąż czuwano. A że do czuwania wprawiać się lubiono, świadkiem kogut, który w środku domostwa miał swą siedzibę. Kto w domu nie nocował, nie mógł nawet domyślać się obecności czujnego ptaka.

W przedłużeniu sieni głównej domu spotykano coś, niby alkowę ciemną, przechodnią, gdzie— prawdopodobnie w klatce zamknięty — przebywał kogut, spełniający funkcyę excytarza. Budzika w całym domu nie posiadano... O kilka kroków dalej poza tą alkową ciemną, na korytarzu, przebiegającym tylną część domostwa i dzielącym go na dwoje, stał w szafce wyniosłej zegar stary, gdański, z kukułką. Wybornie wywiązywał się on ze swego przeznaczenia, ale, widocznie, zamało tego było. Kogut uzupełniał, czego zegar nie zdołałby dokonać.

Przed świtem podnosił Kogut głos swój doniosły, piał ochoczo a rozgłośnie, budził, zagrzewał do czujności, ostrzegał o zbliżającym się dniu... Na to ostrzeżenie ten i ów otwierał oczy; ognie rozpalano, życie powoli budziło się, ożywało, wchodziło na tory zwykłego znoju... Goście, pospolicie ulokowani w oficynach, nie słyszeli ptasiego hejnału, lub inne koguty wyśpiewywały im okrzyki czujności spóźnioną dobą nocną; ja jednak przysłuchiwałem się nie innemu, tylko temu koguciemu śpiewowi: nas bowiem, jako przedniejszych gości, pospolicie lokowano w budynku głównym... Zdawało mi się w mej myśli dziecięcej, iż najcelniejszy to śpiewak wśród koguciego rodu: i, może, o niewiele myliłem się...

Jeżeli Mohortowy kogut, zwany „Zegarkiem", który „był jak sokół na to unoszony, aby znać dawał kiedy nocną dobą czas zmieniać straże"... godnym się stał umieszczenia w poezyi, kogut, o którym mówię, nie ustępował mu zaiste... Pilny, czujny, obowiązek swój spełniał skrupulatnie, jak wszystko co pod owym dachem żyło i pracą dzień zapełniało.

Sień domu, wedle obyczaju starych budynków, jak ją widzimy w kamienicach dawnych, rodów możnych w Krakowie, lub w starych mieszkaniach patrycyuszów gdańskich, szeroką stosunkowo była pierwotnie, później zmniejszono ją, oddzielając część na alkowę, gdzie przebywał śpiewak ptasich hejnałów. Z sieni trzy biegły drogi: na lewo, do rozległej izby jadalnej; wprost, w głąb mieszkania, na prawo, do przedniejszej części domu. Wchodzimy...

. . . . . .

Pierwszy pokoik długi, wązki, o jednem oknie, spełniał funkcyę kilkoraką. Był ulubionym przybytkiem dzieci. Różni wnukowie i wnuczki, prawnukowie i prawnuczki, mieli tam arenę wyborną do zabaw, acz na przestrzeni zbyt ścieśnionej. Lecz ten pokoik przechodni miał i inne przeznaczenie. Wśród nielicznych mebli posiadał obszerne biuro, które zeń czyniło pewien rodzaj kancelaryi gospodarskiej a zarazem i kassy. W biurku tem staroświeckiem, lecz wcale niewykwintnem, o licznych skrytkach, szufladach, ustawione były rzędem wory i worki opieczętowane, z kartkami oznaczającemi summę w nich zawartą. Była to więc kassa—nie ogniotrwała nie żelazna—o takich tam wówczas nie słyszano—lecz zawsze napełniona, zawsze wielce zasobna. Kilkanaście worków srebra zwykle w niej widziano.

Dzisiaj to rzecz nie do uwierzenia, iż kassa zasobna mieściła się u wejścia do domu, jakby dla wszystkich otwarta, bez żadnej straży i opieki, bez żadnego nad nią szczególnego czuwania; a jednak wcale nie znano przykładu, by kto zamierzał na nią się targnąć. O jej zasobności powszechnie wiedziano, ale nikt inny, jedynie poziom moralności ówczesnej jej strzegł.

Odsyłanie do banków sum większych oszczędności nie leżało w zakresie obyczaju ówczesnego; zresztą i banków w miastach bliższych wcale nie było. Lokowano niekiedy kapitały u możnych, lecz podstolina i tego nie czyniła. Trzymała wszystko u siebie, w owem biurku szarem, o wcale niepokaźnej postaci.

Następny pokój tworzył główne ognisko życia. Tam zwykle, codziennie, Mszę św. odprawiał miejscowy kapelan, od czasu gdy wiek nie pozwalał gos-

podyni domu do kaplicy uczęszczać, o kilkadziesiąt tylko kroków od mieszkania odległej. W tej izbie, niejako naczelnej dworu, pospolicie przebywali goście, których nigdy prawie nie brakowało, tam i gospodyni czas spędzała na jakiejciś ręcznej robocie, w ostatniej dobie życia.

W głównej izbie domu prostota zupełna: nigdzie przeładowania licznemi meblami, nigdzie pstrocizny, ścisku sprzętów, nigdzie zaniedbania. Spotykano jedynie sprzęty niezbędne, wszystko nosiło znamię jakby bardzo niedawnego zamieszkania, acz przeszło pół wieku oddzielało już od owej chwili, gdy owdowiała pani rozwiązała nici wiążące z dawnemi dobrami i tu, na pustkowiu, kładła fundamenta i nowego domu i życia, które odtąd płynąć miało innymi prądy.

Nie idziemy do dalszych izb starego dworu...

W pierwszej, która tworzyła niejako atrium całego domostwa, gwar, lecz jakiś poważny, stłumiony, chociaż osób zebrała się gromadka liczna... To przeddzień Wigilii Bożego Narodzenia. Pokrewne rodziny zbiegły się tam, aby pod dachem babki i prababki spędzić dnie dorocznych uroczystości. Tłumnie tam i gwarno, wszakże niehałaśliwie; a chociaż każda godzina nowego gościa przysparza, huczek jednak nie wzmaga się. Pani domu zbytecznego gwaru nie lubi, brak więc hałasu, rozmowy toczą się swobodnie, lecz niegwarnie... Co chwila słychać jak sanki suną, jedne po drugich, po szklistej powierzchni śniegu; co chwila przez podwójne, szczelnie zamknięte okna dobiega odgłos dzwonków... Wychyla się ten i ów do okna, niewiele może dojrzeć przez zamarzłe szyby, czeka więc cierpliwie, aż nowa postać wejdzie.

I takich postaci nowych w owym dniu i w następnym, Wigiliowym, wchodzi niemało. Jedni przyjeżdżają sami, inni z rodziną, z dziatwą. Zdumieć by się mógł obcy przychodzień, gdzie się to wszystko mieści; jak dom niewielki zdoła w swych ścianach zamknąć tę ciżbę, połączoną w jedną rodzinę węzłami krwi i powinowactwa.

Na pierwszym niejako planie uwydatnia się postać samej gospodyni domu, uderzająca powagą i jakimś nieujętym, jednak niepospolitym wdziękiem starości: wielki spokój bił z jej oczu pełnych rozumu. Obok malutki, dziwnie proporcyonalnej budowy jej brat, a mój dziadek, dalej jej dwaj synowie, już również w wieku podeszłym, dwóch innych śmierć oddawna zabrała. Z córek już tylko jedna—Zofia Czarnołuska z córką swą zamężną, Łepkowską i wnuczką malutką.

Dwaj synowie podstoliny to ziemianie o wziętości znacznej i szacunkiem powszechnym otoczeni, obaj ludzie serca ku niedoli ludzkiej otwartego. Przeszło ich życie na szerszych obszarach. Starszy, p. Wojciech, spędzał lata na publicznych ziemiańskich urzędach, do których pole było, w pierwszej ćwierci XIX w., szeroko otwarte; młodszy, p. Jan, z orężem rozpoczynał życie. Na wieść o wejściu Napoleona, po bitwie pod Jeną, do Warszawy, tajemnie opuszcza ławę szkoły Krzemienieckiej i zaciąga się pod sztandary wojska ks. warszawskiego. Widziano go w pułku ks. Konstantego Czartoryskiego; był pod Raszynem, pod Sandomierzem, i w owej dobie kolegował, przy żołnierskiej misie z Henrykiem Rzewuskim, wówczas młodziutkim, późniejszym autorem Listopada.

Przyszły twórca Rycerza Lizdejki znać sam niewielkim był rycerzem. Postawiono go raz

podczas owej potrzeby, 1809 r., młodziutkiego, ośmnastoletniego, na widecie nocnej, gdzie miał kilku żołnierzom przewodniczyć...

Nazajutrz o świcie p. Jan posłany dla zdjęcia posterunków nie znalazł Rzewuskiego. Zdziwienie było niemałe, gdyż noc przeszła spokojnie. Żołnierze również nie wiedzieli, gdzie się im zapodział ich młody wachmistrz. Niepodobna było przypuścić by Austryacy tak cicho, bez wystrzału go porwali... Woła tedy p. Jan: Henryku! Henryku!

...Echo jedynie odpowiada.

Miejscowość krzakami była okryta. Rzucono się ku krzakom i, z niemałem zdziwieniem i zgorszeniem, za rozłożystą olszyną, znaleziono zgubę w całości. Spał p. Henryk w najlepsze, niby za dni zupełnego pokoju.

Przygoda niezbyt rycerska, późniejszego szermierza pióra, utkwiła w pamięci nietylko p. Jana, ale i jego służącego, Nicefora, który znacznie starszy od swego pana pędził z nim razem życie obozowe. Nicefor w epoce kiedy go znałem suwał już z trudnością nogami, acz jeszcze starał się trzymać prosto, jakby wciąż siedział na łęku ułańskiego siodła.

I razu pewnego, o kilka lat później, gdy już podrastającem chłopięciem, na trawnikach ogrodu leżąc, czytałem wychodzącego właśnie wówczas, jako dodatek do Dziennika Warszawskiego, Rycerza Lizdejkę — powieść Henryka Rzewuskiego—stanął przedemną starowina, pytając, co tak pilnie czytam... — Powieść o rycerzu Lizdejce, hrabiego Rzewuskiego, odparłem Niceforowi... Żachnął się stary.

— No, no, do czego to przyszło—zamruczał— o rycerzach tam jakichciś prawi ten, co nawet jedną noc żołnierzem być nie umiał...

Nie podobała mi się uwaga Nicefora, bo w mej czternastoletniej głowie autor Listopada urastał na bohatera na każdem polu. Lecz na uwagę nie odpowiedziałem uwagą—zamilkłem, gdyż i Nicefor, z pod sztandaru legionów, był dla mnie również powagą, był bohaterem, i to niemałym...

. . . . . .

Szary świt grudniowy zaledwie zaczął się wydostawać z głębin ciemności na powierzchnię otulonej w duże zaspy śnieżne ziemi, a już w dniu Wigilii liczne gromady gości starego dworu budzić się i wstawać zaczęły. Piania kogutów na godzinę przed świtem dawały ku temu hasła: czujne ptaki dworskie pierwsze odzywały się, za nimi biegły głosy innych, dalszych z koguciej rzeszy i nawoływania skrzydlatych straży, płynąc ku wiosce, zlewały się w chór rozgłośny...

Światła ukazywały się w oknach oficyn, to jaśniejsze, to mniej jasne: w niektórych izbach gościnnych płonęły tylko posępne świece łojowe, w innych duże kłody na kominie rzucały blask jaskrawy. Przy światłach barwy i mocy różnej budziły się uśpione postacie gości spoczywające na łóżkach, bądź na słomie, bądź na sianie obfitem, wonnem, z którego usłano dla nich posłania. Poduszki tonęły w miękkich łożach z siana. Improwizowane te łoża kobiercami pokrywano, nieraz bardzo cennemi, odznaczały się one wygodą, znacznie przewyższającą wszystko, co można było w naszych hotelach otrzymać.

Pierwsze światełko pospolicie padało z okien malutkiej, najdalej wsuniętej w głąb drugiego dziedzińca oficynki. Siedziba to Kapelana. Stary Bernardyn, x. Ignacy, słuszny, szczupły, z twarzą ascety, zwykle wcześnie wstawał do modlitwy, w dniu Wigilii wcześniej, niż zwykle: czekała go bowiem praca dłuższa; późnym wieczorem, około północy „Pasterka", a Msza w owym dniu również bardzo wczesną bywała.

Malutka ta oficynka śmiało mienić się mogła jednem z ziarnek światła dla wioski i bliższej okolicy... Gwar powtarzanego elementarza rozlegał się wciąż w jej ciasnych, ubożuchnych izdebkach. I w chwilach przedświtowego wstawania zasiadała do elementarza gromadka dziatwy, złożona z różnych pachołków, z chłopców służących do Mszy, z różnych niedorostków, w jakich liczny dwór obfitował.

Skoro nadeszła godzina wschodu słońca grudniowego roznoszono kawę po izbach i pokojach gościnnych; niektórzy poprzestawali na piwie grzanem, a że był to dzień postu, podawano je w kubkach bez śmietany, z grzankami w oliwie lub oleju smażonemi.

W chwilach świąt dorocznych i liczniejszych zjazdów rodzinnych, gospodyni domu objeżdżała pospolicie wszystkie pokoje gościnne wczesnym rankiem, sankami zimą a dorożką w dniach lata i wiosny, oddając gościom dzień dobry, zapytując jak spali, i czy komu czego nie brakuje... Wizyty te, rozumie się, tyczyły się tylko starszych, poważniejszych gości. Do innych wysyłała którego z synów, do najmłodszych jeszcze kogoś z młodszych delegowała.

Na Mszę św., która odbywała się w saloniku głównym w dniach późniejszej, już zbyt sędziwej starości gospodyni domu zbierali się nie dość goście lecz i służba dworska i czeladź domowa, a chwile uroczyste sprowadzały niejeden wóz wieśniaczy, niejedną kapotę samodziałową. Z możności tego zetknięcia się światów różnych wytwarzała się nieraz korzyść prawdziwa dla świata maluczkiego, świata twardego trudu. Przedział między dwoma światy nie był zresztą tak wielki, jak dziś w epoce haseł demokratycznych. Nie spotykano nawoływań, nie grzmiały te hasła w dziennikarstwie, lecz życie samo oparte na chrześciańskim ustroju społeczeństwa, wytwarzało jednolitość większą, niż ta, co nieraz buduje się sztucznie.

Nic dziwnego, pierwsza brała wzory swe z Golgoty, druga czerpała z ksiąg mówiących o hasłach wielkiej rewolucyi francuskiej. Pierwiastek nieziemski długo wśród społeczeństw górował, póki nie usunięto go z życia, póki czci człowieka, i wszystkiego co zeń pochodzi, nie postawiono ponad wszystkiem.

Codzienna Msza św. odprawiana w pokoju trwała zwykle krótko, nie przeszkadzała zatem powszednim pracom dnia: nieinaczej też było w oną Wigilię... Zbierać się przeto codziennie mogło tam, u stopni naprędce ubranego ołtarza, wszystko co żyło, wszystko co mogło. Na odgłos dzwonka umieszczonego na dziedzińcu, obok kaplicy, śpieszyli starsi i młodsi z czeladzi, śpieszyli wyżsi i niżsi w hierarchii domowej. Dla nikogo nie było to zaleconem, śpieszyli nie z rozkazu, ale z wewnętrznej potrzeby—tworzyła owa chwila dla nich wytchnienie ducha.

Kiedy chłopcy x. Ignacego zadługo niekiedy przy elementarzu zasiedzieli się i brakowało, by kto służył do Mszy, wówczas lokaj stary, Jan, stawał ochoczo w roli ministranta, chociaż fatalnie go z ministranturą pamięć i umiejętność łaciny zawodziły. O. Ignacy głuchy nieco, bardzo latami obarczony, domyślał się, że Jan tnie bąki i prawdziwe herezye wypowiada, nie wstrzymywał go wszakże. Jan więc z dziwną śmiałością mruczał szybko wyrazy, niebędące wcale łaciną, ani tembardziej ministranturą.

Niekiedy, ku ogólnemu zgorszeniu, podczas Introit'u, wybiegały z ust Jana takie wyrazy. „micus, micus, Deus meus inimicus"..: Chociaż się gorszono, ale nie zwracano uwagi starego na te niewłaściwości, szanowano jego lata sędziwe i zasługi długie... Szary tłum nie rozumiał zresztą łaciny, nie zwracał przytem uwagi na mruczenie szybkie przygodnego ministranta, i dopiero wtedy budził się niejako z zachwytu nieziemskiego, w jaki unosiła go chwila modlitwy, gdy po ostatniej Ewangelii poważnie szedł x. Ignacy z patyną ku gospodyni domu, od niej zaś ku innym, licznym, i zanurzał się wreszcie w ową ciżbę ubożuchną, w ów tłum o losie twardym, niosąc wszystkim słowo pokrzepiające spokoju... „Pokój z tobą", „pokój z tobą"—szeptał starowina głosem znużonym, to już tak szeptał i tak obchodził z patyną szarą tę ciżbę rok pięćdziesiąty czwarty...

Jeszcze chwila i tłum rozbiegał się do swych prac codziennych.

Może dziś niezrozumiałą wyda się rzeczą, iż kilkanaście minut wspólnego podniesienia ducha, wspólnej modlitwy, lekarstwem najskuteczniejszem

umiały się stać i stawały się... Życie Chrystusa, cierpienia i śmierć dla prawdy nie uważano za rzecz daleką, za abstrakcyę niejako, lecz patrzano na nie jako na obecną rzeczywistość i cierpienia rzeczywiste; cierpienia dnia miały w nich swe pociechy, ukojenie...

Lotem ptaka przelatywał i znikał dzień grudniowy.

Godzina uczty braterskiej, chrześciańskie, agape, godzina uroczystego wytchnienia po trudach roku całego zbliżała się z dziwną chyżością. Zapełniano czas poważnem czytaniem.

W kuchniach, w izbach, czeladzi, w różnych oficynach, w jadalni obszernej, umieszczonej na drugiej połowie domu, krzątanie się było wielkie, chociaż bez gwaru zbytecznego—nie znoszono go tam z zasady — lecz w pokojach bawialnych cisza panowała zupełna... Z polecenia pani domu czytano głośno: domowi i goście, starsi i młodsi otaczali czytającego. Nikt nie uchylał się od słuchania; kapelan nawet nie schronił się do swej oficynki. Z księgi zawierającej Kazania Skargi rozlegał się głos donośny, przypominający w dniu Wigilii, w dniu święta braterskiej miłości, jak należy urzeczywistniać ową chrześciańską miłość bliźniego i płynącą z niej cnotę—miłosierdzie. W słowach tych skupiały się niejako wszystkie lekarstwa na bole społeczne.

...„Bez miłości nie waży nic, ani czystość, ani post, ani miłosierdzie“ — brzmiały słowa Skargi w księdze uwiecznione.

...„Bądźcie miłosierni, bo ludźmi jesteście“— brzmiały te słowa w dalszym ciągu... „Wszyscy miłosiernymi bądźmy, bo bez tej cnoty żadna się Bogu nie podoba... Nie wszyscy mogą pościć, długo

się modlić, za Chrystusa krew rozlewać, ale wszyscy mogą być miłosiernymi, aby ludzkie nędze bliźnich swoich oddalali pociechą, płaczem, żalem, pomocą i radą. Nie możesz dać wiele, aby brat twój nędzy nie cierpiał, daj mało. Nie możesz dać pieniędzy, daj poradę, upomnienie, naukę, słowo dobre i pocieszające. Ty, któryś jest zdrowy, pomóż schorzałemu, któryś nie upadł, wspomóż leżącego; któryś bogaty, nie opuszczaj ubogiego. Nie czekaj, abyś sam na sobie nie poznał co to jest cierpieć nieludzkość innych i jak to dobrze nie zamykać miłosierdzia upadłemu... Nie czekajże nad sobą ręki Boskiej i karania, które niemiłosiernych uniża. Uczcie się na cudzej nędzy, abyście swojej nie doznali"...

Słuchano w skupieniu myśli; acz i to się zdarzało, że ten i ów z umysłów lżejszych nie wytrzymał do końca, cichaczem wysuwał się z sałki, aby zapalić fajkę pokryjomu, na ganku, na mrozie, lub zamiast słowom Skargi przysłuchiwał się dźwiękom dzwonków spóźnionych gości. Wysunięcie się wszakże dyskretne paru letkiewiczów nie przeszkadzało czytaniu, które niejedne dobre ziarno rzuciło w serca słuchaczy... Synowie sędziwej matrony pełnili czyny miłosierdzia zalecane przez Skargę. Starszy wśród nich, p. Wojciech, już wówczas sędziwy, nad grobem stojący, z dziwną nieraz prostotą dźwigał tych, co własnemi siłami dźwigać się nie zdołali; gdy zaś obdarowany w ciężkiej potrzebie zdumiewał się wysokości darów, czy nie są nad możność, dawca dodawał ze skromnością: „Bóg ma więcej, niż rozdał"... I nie było snać nad możność, syn jego większe od ojca mienie posiadał: na gruncie czynów miłości bliźniego mienie urasta.

Najstarsza z wnuczek, córka najstarszego syna od lat wielu nieżyjącego, Walerya z Rotharyuszów Bilińska—w rodzinie pospolicie Walerką nazywana—piękna wówczas i w sile lat, nie wiem, czy w onym dniu wsłuchiwała się pilnie w słowa wielkiego mówcy XVI stulecia. Ale te wielkie dary, zapisy krociowe, jakie z czasem, po jej zgonie, spadły na miasto Lwów, aby założył z nich szpital dla nieuleczalnych i inne instytucye dobroczynne, kto wie, czy w owych czytaniach i rozmyślaniach babki nie mają swego źródła... Co z lekka tylko trącało o umysł kobiety młodej, próżnej, to, po kilku dziesiątkach lat, znalazło oddźwięk silny w sercu niewiasty złamanej, zestarzałej, boleścią smutków rodzinnych w istnieniu swem podkopanej, a samotnej, bo w sposób dziwnie tragiczny jedyna jej dziecina zeszła ze świata.

Miasto Lwów uczciło pamięć dobroczynnej pani, nadając i instytucyi przez nią wznoszonej, i jednej z ulic, nazwę „Bilińskich", lecz rozpatrzywszy się ściślej w okolicznościach, widzimy, iż kłos jej miłosierdzia urosł z ziarna ongi rzucanego pilnie a długo dłonią pracowitej babki, która słowami Skargi wielekroć mawiała: „Żadne pożyteczniejsze ziarno na roli serc waszych siać się nie może jak miłosierdzie"...

I to ziarno, i inne pożyteczne ziarna na roli dziecięcych serc naszych siała owa babka. Jeśli z tych ziarn nie wszystkie urosły, wina to nie siewcy, ale gleby, która niezawsze okazała się urodzajną.

. . . . . .

— ...„Gwiazda, pierwsza gwiazda", wołaliśmy my, dzieci, gdy o zmierzchu ukazały się promyki pierwszej gwiazdy. Okrzyk dziecięcy wywoływał

szmer w całem tłumnem zgromadzeniu, które w owej chwili tłumniejszem się zdawało, bo całe zastępy sług z różnych szczebli hierarchii domowej liczną ciżbą tłoczyły się na dworskie pokoje, by dzielić się opłatkiem.

Wnoszono światła, świece łojowe i woskowe różnobarwne, w wysokich świecznikach, z umbrelkami obszernemi, blaszanemi, i bez umbrelek; światło stawało się hasłem do wyruszenia w uroczystym pochodzie do uczty wigilijnej.

Zanim pochód do izby jadalnej na drugą połowę domu wyruszył, stanęła sędziwa matrona na środku sali. Podtrzymywano ją, by dłużej o mocy własnej stać mogła... stała tedy, i tak, chwiejąc się, rozpoczęła dzielenie się opłatkiem.

Trwało to dłuższą chwilę. Gromady koła rodzinnego otaczały zgrzybiałą niewiastę, która była dla wielu matką, babką i prababką... Cicha, milcząca, poważna, napozór prawie zimna, przyjmowała oznaki czci ze spokojem, nierozrzewniając się, każdego darząc dobrem słowem, stosownem życzeniem, uwagą życzliwą, wyrazami pociechy lub otuchy.

Przesuwały się przed jej wzrokiem liczne lata, całe stulecie, olbrzymie zmiany, klęski, przewroty... z wielu rzeczami myśl jej oswoiła się, starość, jak mniemano, a wcale niesłusznie, stępiła wrażliwość jej uczuć. Nie, stokroć nie; głębin uczuć czas nie zniszczył, pozostały do końca jej dni jednakiemi, wrażliwość ich nie stępiła się z biegiem lat. Czas dla niej posiadał w zanadrzu jeszcze cios niejeden: miały przed jej wzrokiem urość w przyszłości cenne bardzo dla niej mogiły—mego dziada a jej brata i jego córki... Boleści to zbyt wielkie dla serca, które całego stulecia smutki pochłonęło. Zdawało

się, iż to serce zbolałe unieść więcej nie zdoła, iż nie przeżyje straty brata tak ukochanego: stało się inaczej; przeżyło owo serce i to, ale już odtąd słabiej bić zaczęło...

Jeżeli spokojną a zimną okazywała się, to jeno w ten spoób przejawiał się hart jej ducha, który ją nie opuszczał do najsędziwszych lat. Ta moc ducha niepospolitego sprawiała, że i w onej rzewnej chwili dzielenia się opłatkiem z blizkimi jej sercu i myśli zachowywała spokój i powagę: szafować zewnętrznemi oznakami uczucia niezwykłą była.

Z bawialni do izby jadalnej sunął powolnie długi łańcuch domowych i gości, ale po drodze na każdym kroku przystawał. Przodująca pochodowi pani domu dzieliła się owym „chlebem anielskim" ze służbą i czeladzią... o najlichszych, najbardziej maluczkich niezapominano. Każdy miał swe prawa, prawa równe z innymi do jej pamięci, jeśli przez życie z prawdą i cnotą szedł... A tych domowników, sług, czeladzi, różnego stopnia i miana, szereg nieskończony miał swe gniazdo pod dachem podstoliny. Powiększany nad potrzebę zastęp sług sprawiał, że w okolicy niespotykano biedaków, szukających i nie mogących znaleść pracy, przytuliska, kęsa chleba za okruchy trudu. Każdy, bodaj mało uzdolniony, na dach i pożywienie zapracować tam mógł; a że i inne dwory rządziły się tą zasadą, iż służbą liczną otaczano się, na brak pracy, na czasy złe nie narzekano, ludzi wykolejonych nie widziano. Kto już raz tam stanął, nie opuszczał tego dachu, chyba dla trumny: starzy słudzy trzymali się gniazd swych chlebodawców, niby własnych, stawali się jakby jedną z nimi rodziną.

U mego dziada, stary sługa, Michał, który i matkę moję, w latach gdy była Jena i Wagram,

i mnie, znacznie później na ręku nosił, który u dziada półwieku przebył, po zgonie pana nie chciał jego dachu opuścić, acz pod tym dachem inne warunki życia wytworzyły się. Michał czekał, azali nie wróci pod ten dach wnuk „starego pana"... Oczywistość wskazywała, iż oczekiwania były próżnemi. Wnuk starego pana nie wracał. Michał wszakże nie zrażał się, czekał... Dziewięćdziesiąty rok wskazywał zegar jego istnienia, stosunki wciąż zmieniały się na znacznie gorsze, wśród murów, które ongiwzniósł jego dawny pan; on, do tych murów węzłami wspomnień przywiązany—czekał, czekał, nie doczekał się... Mury zaczęły rozsypywać się. A on? Zmarł na posterunku starcem przeszło dziewięćdziesięcioletnim.

Pokój ci, pracowniku strudzony, dwóch pokoleń wierny piastunie.

I ludzie tacy, i czasy, co ich zrodziły, niezrozumiałemi dziś są, materyał do ich poznania zatraca się; chęci nawet wśród dzisiejszych brak do badań przedniejszych rysów fizyognomii owych czasów i ludzi.

A jednak nie były to typy wyjątkowe: niejeden podobny można byłoby zapewne odnaleść wśród owych tłumów, z któremi pani dworu starego dzieliła się opłatkiem, dążąc do jadalni na Wigilię.

. . . . . .

W izbie jadalnej, znacznie od innych większej a przynajmniej dłuższej—światła obfitość, czystość wzorowa i ład tworzyły jedyną ozdobę. Izba nie miała innych mebli nad stół nieskończenie długi, dość wązki, po obu stronach którego stały w pewnej, znacznie mniejszej części krzesła i stołki drewniane, o kształtach przypominających epokę potrzeby

Wiedeńskiej; dalej już tylko ławy i zydle widziano najzwyczajniejsze, ale lśkniące się od czystości.

Na krzesłach i stołkach zasiadali przedniejsi, starsi, dalej młódź, dzieci, domownicy, oficyaliści, mieścili się na zydlach, ławach. Jedna ze ścian posiadała bardzo wysokie w ścianach szafy, inne pustemi były; obrazów, ozdób, nigdzie ani śladu; na głównej tylko wprost wejścia ścianie maluczki wizerunek Chrystusa. Wszystko odznaczało się prostotą niezmierną, niby klasztorną.

Gdy zwolna prowadzona staruszka stanęła u swego krzesła, wyróżniającego się od innych jeno tem, iż posiadało poręcze, kapelan odmówił krótką modlitwę, którą wszyscy z cicha powtórzyli: tak tam czyniono przed każdem jedzeniem.

Jeżeli skromną zawsze widziano tam zastawę, to owa uczta wigilijna prześcigała prostotą swą zwykle skromny, tameczny obyczaj. Czystość, obfitość jadła i napoju zastępywały, nie mówię zbytek, bo go tam wcale nie znano, lecz wszelki objaw zamożności, do którego uczty starego dworu miały wszelkie prawo. Nic podobnego tam nie spotykano. Szary, wązki obrus okrywał stół, zastawa była cynowa, a z pod obrusa wyglądało siano, przypominające ubóstwo Chrystusowej kolebki. Tuż obok w rogu izby stał snop słomy, na podstawie z siana ustawiony; uzupełniał on symbolikę wymownie, przypominając rolniczą podstawę bytu społeczeństwa.

Myśl o roli nasuwała wciąż myśl inną, o tych, z którymi pracowano na owych polach rozległych, żywiących zarówno mieszkańców dworu, jak i wiejskie, siermiężne, ubożuchne rzesze.

Spójnia z tymi współpracownikami wciąż oplatała stosunki ówczesne. Pod dachem owego dworu

nigdy o tej spójni niezapominano; powszednie sprawy dnia tysiące nasuwały drobnych okoliczności zacieśniających węzły łączności, która tak długo trwała jak długo przykładano do lemiesza codziennej pracy własną dłoń: później najemne ręce nie zacieśniały, owszem częściej rozluźniały wszelką nić spójni.

Uczta była długą: rozpoczynając się od polewki migdałowej, składała się z wielu dań z ryby, a zamykała ją potrawa z pszenicy, miodu i maku, którą w czasach pogańskich raczono bożków. Bez tradycyonalnego dania tego Wigilia obejść się nie mogła.

Wogóle mnóstwo tradycyj prastarych, obyczajowych otaczało ową biesiadę braterstwa; nie zapominano nigdy o żadnej, wiernie trzymano się zwyczajów. Oplatały one niby bluszcze zrąb domostwa, i dopiero wówczas, gdy przyłożono siekierę do korzeni bluszczowych, węgły rozluźniać się zaczęły i, wreszcie, zrąb życia rodzinnego stanowczo zachwiał się.

Do szeregu tradycyj zaliczyć należy zasadę oszczędności w życiu codziennem. Zasada ta w czyn wprowadzona dawała niezaprzeczoną moc zwalczania wszelkich trudności; rządząc się nią, zdołała podstolina dokazać tego, co dla dobra rodziny dokonanem zostało... „Zbytek w domu, mawiała ona, powtarzając słowa jednego z dawnych pisarzy, jest jako suchoty ciała, powoli stęka, ale pewna śmierć“...

Nie była więc zbytkowną i owa uczta wigilijna, jak wogóle żadna uczta pod owym starym dachem. Jeszcze jej nie ukończono, jeszcze kapelan nie odmówił dziękczynnej modlitwy, hasłem odejścia będącej, a dały się słyszeć poza oknami szybkie stą-

pania; chrzęst zmarzłego śniegu, uginającego się pod licznemi stopy wyraźnie dolatywał do ucha biesiadników... To wieśniaczki tłumnie szły ku dworowi, niosąc wigilijną wieczerzę... Przyjmowano uprzejmie ich skromne dary, w zamian nakładając do ich naczyń potrawy z pańskiego, wigilijnego stołu...

W ten prastary a wzruszający, zaiste, sposób łamano się chlebem powszednim. Symbolika to braterstwa takaż, jak dzielenie się opłatkiem, ale w pewnych tylko okolicach spotykana, i w onych, gdzie moje dziecięce lata upływały, ściśle zachowywana. U mego dziadka widziano toż samo.

Chata w oną noc przyjścia Zbawiciela na ziemię żywiła dwór, a dwór żywił chatę... Braterstwo stanów, przyniesione przez Chrystusa na ziemię, przypominano sobie w sposób może zbyt ludzki, zbyt realistyczny, powszedni, ale też ze stosunków powszednich, drobnych życie się składa. Przypominanie braterstwa w stosunkach codziennych nie szło na marne, ścieżki, któremi ów chleb kroczył, trawą nie zarastały.

Uroczystość nocy pamiętnej w dziejach ludzkości radośnie obchodzoną z wieczora, przydłużano do bardzo późnej godziny. Domostwo stawało się gwarnem i jakby jeszcze bardziej zaludnionem. Podczas gdy w dalszych pokojach przyjmowano wieśniaczki i, napełniając ich naczynia wigiliowemi pokarmami, gwarzono z niemi przyjaźnie o ich sprawach domowych, troskach i radościach rodzinnych, w bawialnych pieśń kolendowa brzmiała, o radośnej „nowinie“, „która przyszła z Niebieskiego „Dworu“... o Tym, który w „żłobie leży“, o „Aniele“, wreszcie, co „pasterzom mówił“...

I owe pieśni kolendowe, owe okrzyki wesela płynęły ze ścian dworu ku strzechom wieśniaczym, gdy zaś hasła czujnego kura wiejskiego zwiastowały północ zbliżającą się, już cała wieś brzmiała jedną, poważną, radośną pieśnią kolendową... Dźwięki kolendy polskiej jednoczyły się w rozlewny chór z ludową kolendą rusińską, w której dziecina nowonarodzona mówi: „oj ja detyna małeńka, niżka moja boseńka"... a wśród tego nastroju uroczystego zabrzmiał dzwonek dworskiej kaplicy, zwołujący na Pasterkę. Łagodne jego dźwięki wtórowały echom kolend wieśniaczych...

Czuwano we wsi, we dworze, oczekiwano z pewnym radosnym i nawpół trwożnym niepokojem Pasterki... Kaplica oddawna już była oświetlona; z rozwartych podwoi biła łuna jaskrawego światła. Ku światłu temu ciągnęły szeregiem długim ze dworu i ze wsi postacie wynurzające się z mroków nocnych. Wychodziły one z głębin ciemności, a znikały w wązkich podwojach rzucających na nie wielkie snopy światła... znikały otoczone aureolą blasków świątyńki.

Widzę dotąd wszystkie te postacie i zachowam w pamięci do końca mych dni, widzę je jak przesuwają się i nikną...

Przeszły one, owe postacie świetlane i zniknęły wraz ze swemi czasy, ze swym obyczajem, przeszły do dziedziny zapomnienia, do grobów na licznych, szeroko rozrzuconych mogilnikach.

Zniknęły. Ślady ich życia nie zatrzymała pamięć późniejszych, ślady ich gniazd—czas, zmienne losu koleje, wpływy obce bijące nieustannie o ostatnie belki naszej narodowej łodzi, lub własna obojętność, zburzyły, zatarły... Ze starego dworu,

ze starego obyczaju nic nie zostało... Smutno dokoła, a pogodniejsze chwile są jedynie, wedle słów poety, „w krainie lat dziecinnych“.

„Jedna już tylko dziś kraina taka,
W której jest trochę szczęścia dla Polaka—
Kraj lat dziecinnych!.. On zawsze zostanie
Święty i czysty“...

Tak rzekł wieszcz wielki. Te słowa, za nim powtarzając, składamy na grobach przeszłości.

KONFEDERAT.

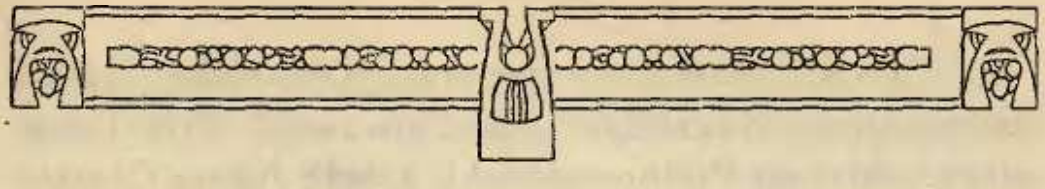

Konfederat.

W pierwszym dziesiątku lat XIX wieku, gościniec biegnący od rozwartych pól Ukrainy ku wybrzeżom Bugowym, od Berdyczowa, przez Jampol nad górnym Horyniem, przez Krzemieniec, Beresteczko, Poryck, do Włodzimierza i dalej, niezwykle bywał ożywiony. Linia ta komunikacyjna i dla handlu, i dla stosunków towarzyskich posiadała niemałe znaczenie. Płynął gościńcem handel, ale też płynęły zamiary i myśli dążące do podniesienia światła, do odrodzenia Wołynia, szerząc zamiłowanie nauki, krzewiąc pojęcia o konieczności wzniesienia wyższego przybytku wiedzy, budząc nieznaną, a przynajmniej mało dotąd uprawianą ofiarność na cele cywilizacyjne. Myśli, dążności, praca cywilizacyjna przeważnie, wyłącznie nawet, przesuwały się przez tę część gościńca, która legła między Poryckiem a Krzemieńcem. Dziesiątki, setki razy nieustanne podróże Tadeusza Czackiego wyżłobiły głębokie bruzdy na owym gościńcu... Kto przy nim mieszkał, a miał chęć i czas wpatrywania się w postacie w ciężkich kolasach dążące z Krzemieńca do Porycka, lub naodwrót, mógł widzieć to wszystko co najznakomitszem było nietylko w ówczesnym Wołyniu, ale nawet w całym kraju.

Czacki, Kołłątaj, generał Kropiński, Julian Niemcewicz, Kasztelan Jan Tarnowski, szef Drzewiecki, biskup Podhorodeński, książę Adam Czartoryski, Joachim Lelewel, Aloizy Feliński, cała falanga professorów i uczniów szkoły Krzemienickiej—nie mówiąc o tłumnych kohortach uczniów rzeczonej szkoły, co z czasem mieli uróść na chlubę swej ziemi—kroczyli nieraz owym szlakiem w pierwszym, drugim dziesiątku lat XIX wieku... Zajazdy o pokaźniejszem obliczu, o murowanych facyatach w miasteczkach jeszcze wówczas niezniszczonych, niezupełnie zamarłych, jak Beresteczko, Horochów, Kozin, lub karczmy przydrożne na „Królewskim moście", w Tesłuhowie, lub „Zielona karczma" między Łobaczówką a Beresteczkiem, były ich gospodą, wytchnieniem, noclegiem... Ruch nieustanny, życie wrzały na tym gościńcu i w osadach przy nim leżących...

Po roku 1831 wszystko się zmieniło: instytucye pożytku ogólnego, naukowe, zawiązki prac społecznych zniknęły, runęły, w proch się rozsypały, ludzi najlepszych, najcelniejszych ubyło, życie zamarło na wszystkich polach.

Zmiany zaszłe w kraju odbiły się we wszystkich objawach istnienia społeczeństwa. Kraj stopniowo stawał się wielką pustynią, zaczęto zaszczepiać nową, obcą kulturę... Cofanie się na każdem polu, upadek materyalny, zaciemnienie umysłów, wzmożenie się ilości gruzów, tam gdzie niegdyś były świetne siedziby, świadczące o starej cywilizacyi, dobrym smaku, zamożności—spotykano na każdym kroku.

Drogi nawet, przed niewielu laty bardzo uczęszczane, zaczęły trawą zarastać: paraliż życia dotk-

nął wszystkie objawy istnienia społeczeństwa... Gościniec, o którym mówimy, dzielić zaczął losy prowincyi, kraju—i on, podobnie jak inne, trawą zarastał... Stał się martwym, gdyż wszystko dokoła zamarło...

Życie, raczej jego słabe iskierki, tlejące gdzieś w ducha głębinach, pozostało jeno w kołach rodzinnych, ukryte w węgłach dworów i dworków szlacheckich, wciąż jednak drzące, wciąż w obawie, by nie sięgnięto pod dach ognisk domowych... Węgły domów rodzinnych tworzyły wszakże twierdze niepodobne do zdobycia dla obcej myśli, dla obcego obyczaju. Załogą i zarazem wodzami tych warowni były kobiety—matki rodzin, które w onych latach, po klęsce listopadowej epoki, umiały ocalić ducha narodowego wśród młodych pokoleń, zdołały wypiastować szeregi młodzieży niezrywające z tradycyą, z przeszłością... Piastunki młodych pokoleń szły, zdaje się, za hasłami jednego z wieszczów, głoszącemi: „Wytrwać, wytrwać—to zadanie! Choć ci wszystko w poprzek stanie“...

Zdawało się, iż ciche pracowniczki w gniazdach rodzinnych—a ich praca nie szła na marne—wsłuchane były wciąż w dźwięki poezyi wielkiego chóru wieszczów. Echa gęśli narodowej z trudnością dochodziły do ucha gniazd rodzinnych, odciętych od świata, strzeżonych pilnie od wszelkich wpływów zewnętrznych, a jednak dochodziły... Wielki chór poetów z dalekiego Zachodu słał do kraju słowo podnoszące, krzepiące, zalecające ani na chwilę nie tracić z oczu ziemi ojczystej, jej służyć, dla niej pracować, gdyż tylko „kraj się pracą i ofiarą z tej otchłani wydobędzie“...

W ustronnych, cichych wioskach Wołynia, pod

dachem słomianym nizkich, szczupłych dworków, a niemniej i w domostwach o podnioślejszej postawie—w drugim dziesiątku lat epoki polistopadowej—spotykano nader często całe stosy podręczników szkół już wówczas zamkniętych, zburzonych; starano się bowiem przy pomocy ksiąg systemu dawnego wskrzeszać wśród gniazd rodzinnych szkołę swojską, zniszczoną. Uczono w domach, prywatnie, stroniono od nowej szkoły publicznej.

O takie podręczniki w języku ojczystym łatwo było; ze zburzonych szkół księgi rozsypywały się obficie po miasteczkach, dworach szlacheckich, skupiały się w rękach przekupniów, antykwaryuszy, jako rzecz pozbawiona zupełnie prawie wartości, gdyż nowe szkoły i ludzie sprowadzeni do nich nowi, innego języka i innej kultury, zaopatrywali się w książki skreślone w mowie obcej, zastosowane do systemu nowego... Krzemieniec stał się przedewszystkiem spichrzem owych dawnych ksiąg elementarnych, podręczników polecanych ongi przez Komissyą Edukacyjną, używanych później w Krzemienieckiej szkole i innych, z epoki odrodzenia światła na Wołyniu, za dni Czackiego. A w Krzemieńcu, znany około XIX wieku, i przedtem, antykwaryusz, żyd Kielman posiadał główny ich skład.

Kielman był, zaiste, postacią nader ciekawą, żabytkiem dawnego, licealnego Krzemieńca... Niezmierna szkoda, iż przed laty, gdy jeszcze nie zaczęły tynki opadać ze ścian dworków dawnych professorów licealnych, gdy ogród botaniczny chwastem nie był zupełnie zarósł, gdy jeszcze tam spotykano parę postaci z grona nauczycielskiego szkoły, której tradycye w całej pełni jeszcze żyły, nikt nie ujął pióra, by chociaż ogólnymi rysy naszkicować

postać Kielmana... Typ to był godzien pióra... Wielki miłośnik dawnych ksiąg i dawnego Krzemieńca, żyd ten, zagrzebany w stosach bibuły drukowanej, poczęści pisanej—posiadał bowiem i manuskrypta—żył wyłącznie wspomnieniami ksiąg starych, które przez ręce jego przeszły i odblaskiem niedawnych wtedy tradycyj licealnych. Kto wie, może łudził się, iż szkoła Czackiego zmartwychwstanie. Takie złudzenia niekiedy widywano wówczas...

Sąsiadka Kielmana, właścicielka zajazdu przy ulicy Szerokiej, w Krzemieńcu, Juwelowa, której brama wciąż stała otwarta dla powozów i bryczek ziemian całego powiatu i paru ościennych, miała wciąż to złudzenie, i licznej swej szlacheckiej klijenteli w zaufaniu, z cicha, nieraz o swych nadziejach mówiła. Nie mogła się snać pogodzić ze stanem rzeczy, z upadkiem liceum i z jego następstwami, z upadkiem, ruiną miasteczka... „On liceum odda"... szeptała Juwelowa poważniejszym ze swych gości. Pod tym wyrazem On rozumiała potężnego mocarza Europy ówczesnej, którego uroku nie były jeszcze zaćmiły dymy bitew na Krymie.

Kielman, zdaje się, bardziej z rzeczywistością umiał się liczyć: nie wygłaszał wróżb tak śmiałych. Jasne oczy jego i pogodna twarz zasępiały się wszakże zawsze, gdy potrącił w rozmowie o przeszłość rodzinnego miasteczka, gdy smutne dziś porównywał ze świetnością niedawnej, wczorajszej doby.

Smutek Kielmana poważny nie był mniej głębokim, niż owego „Księgarza ulicznego", w Wilnie, którego wyraziste rysy potomnym przekazał w swej poetycznej gawędzie Syrokomla... I Kielman mawiał nieraz, patrząc na opustoszałe mury licealne, toż

samo co stary „Księgarz uliczny“, pod arkadami gmachów Święto-Jańskich w Wilnie: „Ile przez moje ręce przeszło za lat dawnych—prawdziwych Elzewirów w pergamin oprawnych!—Czy to raz professorska figura zgarbiona—płaciła po dukacie listy Cycerona?“...

Nie żałował on zarobku dawnych czasów, ale bolał nad brakiem ludzi dawnych i tej szkoły zamarłej, która była karmicielką miasteczka i podnosiła je na stopnie nieco wyższej kultury. Do stosów zadrukowanej bibuły, któremi zapełniał dwie izdebki, przywiązywał wprawdzie wielkie znaczenie, sprzedawał jednak towar swój za bezcen; często na grosze oceniał; jedynie coś bardziej rzadkiego, a obszernego, posiadało u niego wartość kilku złotych... Były tam w istocie w stosach bezładnych, zakurzonych, rzeczy rzadkie, były białe kruki, ale w epoce upadku miasteczka zabrakło — ludzi, któryby tem się interesowali. Jeden jedyny może z miejscowych, Samuel Nowoszycki, miłośnik ksiąg, bibliograf, historyk zamku Krzemienieckiego, sięgał do tych pokładów myśli ludzkiej i wydobywał z głębin czasem cenny skarb. Wojna Chocimska, poemat XVII wieku, w rękopisie z oddartą kartą tytułową, z owych ciasnych, zapylonych izdebek Kielmana poraz pierwszy wydostał się na świat i powołał na karty dziejów literatury zapomnianego poetę, Wacława Potockiego; a wydostanie się to dokonanem było za pośrednictwem Samuela Nowoszyckiego. Historycy literatury, gdy mówią o znalezieniu „Wojny Chocimskiej“, wspominają S. Nowoszyckiego, o Kielmanie zapomniano.

Oprócz ksiąg i manuskryptów, antykwaryat posiadał jeden niezwykły okaz, był nim syn właści-

ciela owych drukowanych skarbów. Młody, ale o twarzy zdaje się starszej nad wiek, ułomny, z dużym garbem, zagrzebany wśród brogów bibuły zadrukowanej, stale w najdalszym zakątku izdebki schowany, nad książką pochylony, wciąż uczył się i czytał: doszedł, jak mówiono, do znacznych rezultatów w tych zabiegach samouka, posiadł bez nauczyciela i żadnych wskazówek łacinę i grekę, zaznajomił się z pisarzami klasycznymi starożytnego świata... Kielman patrzał jednak ze smutkiem na swego jedynaka, oderwanego od rzeczywistości dla studyów, które nic mu w przyszłości nie wróżyły, nie widział w nim następcy swego handlu.

Za dni rozpoczynających drugą połowę XIX w. straciłem z oczu Kielmana i nie słyszałem już odtąd ani o nim, ani o jego antykwaryacie, ani o losach niezwykłego, garbatego samouka... Pochłonęły pamięć o nich zawieje dziejowe, burzące resztki przeszłości, zmiatające całe pokolenia, cały cykl pojęć, niemały dorobek cywilizacyjny; nie dziwmy się, iż huragan nie oszczędził wspomnień o malutkich atomach zburzonego światka.

. . . . . .

W dzieciństwie mojem niemało korzystałem z niewyczerpanej, Kielmanowskiej kopalni ksiąg. Nietylko dawne, szkolne, polskie podręczniki brano dla mnie z antykwaryatu Krzemienieckiego, ale dużo i innych pożytecznych książek z rzeczonego źródła płynęło. Mnóstwo wydawnictw o przeszłości naszej mówiących, o zabytkach prastarych kraju wydobywano ze stosów potroszę już butwiejących, i niemi mnie otaczano.

Wcześnie przeto zapoznałem się z przeszłością naszą, wcześnie rozsnuły się przedemną chwile jas-

ne i ponure minionych dziejów i zrozumiałem warunki ciężkiego bytu narodu.

Księgi, tworzące moje otoczenie, stały się nietylko środkiem nabywania wiadomości, lecz stawały się dla mnie czemś blizkiem, pokrewnem, patrzałem na nie jako na istoty żyjące, na mych mistrzów, pełnych spokoju, wyrozumiałych, dobrotliwie do mnie wyciągających ramiona, hojnie obdarzających tem, co się na ich kartach mieściło. Byli to zresztą nie dość iż mistrze, lecz zarazem i towarzysze ówczesnych, pacholęcych lat; innych wcale wtedy nie miałem...

Działo się to w jesieni, poprzedzającej tak zwaną „wiosnę narodów", a zatem w r. 1847. Rok to pamiętny w epoce mego dzieciństwa. Losy zmieniły mi miejsce pobytu i warunki otoczenia. Zamieszkiwałem wioskę leżącą na ustroniu, obok traktu, o którym tu wyżej wspomniałem, co łączył Wołyń wschodni i południowy z krawędziami zachodniemi na nadbużańskich łąkach. Sąsiadowałem z tą częścią gościńca, która biegła od Beresteczka przez Haliczany, pamiętne w dziejach aryanizmu naszego, przez Horochów, do Porycka.

Terytoryum wioski, bardzo obszerne, posiadało wówczas duże lasy, poczęści tym gościńcem, niegdyś ruchliwym, przecięte, i swemi kończynami zachodniemi nader zbliżone do granicy Galicyjskiej. Na owem terytoryum szerokiem, w głębi, lasów, istniała mała, z kilku zaledwie chat złożona osada, niegdyś zapewne założona przez rodziny wyszłe z Mazowsza, trzebiące lasy, wyrabiające gonty, dranice, bale. Karczowników tych nazywano „budnikami". A więc i osada, rzucona o pare kilometrów od gościńca, a o pół mili od wioski, nosiła nazwę „Budy"

czy też „Budki“. Wieś z przysiółkiem mało miała stosunków, „Budki“ tworzyły światek odrębny. Rodziny, które ongi na trzebieżach osiadły i dały początek malutkiej osadzie, już nie istniały, wygasły, lub wywędrowały z powrotem do siedzib swych pierwotnych. Pozostało kilka chat zamieszkałych przez wieśniaków i paru szlachciców, rozbitków z burz życiowych... O jednym z tych ostatnich więcej niż o innych mówiono: był człowiekiem większego poloru i gdzieś, kiedyś jakąś rolę głośniejszą odegrał, jak mówiono. Nazywano go niekiedy „konfederatem“.

Rozczytując się nieustannie w książkach, któremi wcześnie mnie otaczano, pragnąłem ujrzeć własnemi oczy bohaterów czasów, przesuwających się przed moją myślą z kart książek.

Niestety, żaden nie nadchodził; ale natomiast małe bodaj promyki odblasków dni minionych nawiedzały mię, pod postacią bądź tradycyi, jeszcze z pierwszych ust słyszanych, bądź nasuwając memu oku obrazy miejsc i wypadków z niezbyt odległej przeszłości. Te tradycye płynęły z ust wielorakich, lecz przedewszystkiem dwaj starcy, wieśniacy, przynosili mi je ochotnie... Skwapliwie im się przysłuchiwałem, i ich rozmowy tworzyły żywą illustracyę zdarzeń dziejowych, o których książka mówiła.

Opowiadania wieśniaków obu, razem wzięte, tworzyły spory odłam tradycyi dziejowej, od r. 1792 do 1831... Starszy wśród nich, Harasym, pomimo wieku dość późnego, świetnie się trzymający, zawsze pełen pogody, chociaż z powodu swych zajęć, jako strażnik lasów, nie bywał częstym gościem wej dworze, nieomieszkał przy każdej bytności, boda. w paru słowach, coś rzucić z tego co pamiętał

Pamiętał zaś, jeśli niedużo, na ilość faktów, to rzeczy ciekawe, a przez daleką przeszłość oddawna zatracone. Z jego dorywczych słów i półsłówek, z niedopowiadań okraszonych niekiedy uśmiechem jowialnym pogodnego staruszka, z jego relacyj prostych a tchnących prawdą, występowały ogólne bardzo, ale wyraziste kontury śpiesznego dążenia Suworowa, w jesieni 1794 r., z południa, przez Wołyń, nad Muchawiec i za Bug, ku Wiśle... Opowiadający był wówczas w Kowelszczyznie, patrzał na hufce spieszące na wozach, robiące marsze długie bez wytchnienia, zapamiętał postać groźną żołnierzy, którym wciąż wskazywano, że za trud niezwykły czeka ich nad Wisłą nagroda niezwykła.... Twierdził wielekroć opowiadający, iż z całego zachowania się i wyglądu żołnierza widać było, że niósł on burzę. Los Pragi usprawiedliwiał przewidywania Harasyma. Słyszał on coś i o bitwie pod Krupczycami, opowiedzieć o niej jednak nic nie umiał, była to już dla niego okolica zbyt odległa. Natomiast niektóre szczegóły masakry w paru dworach w Brzeskiem, dokonanych przez to żołdactwo, które on widział na wozach pędzące, wsiąknęły w massy ludowe, dobiegły Kowelszczyzny i pozostały w całej swej grozie w jego pamięci...

Roku 1812 dzieje również mu obcemi nie były, przynajmniej o ile te wypadki na małym widnokręgu wsi ustronnej przedstawiały się jego oczom i utkwiły w pamięci. Już wówczas narator przeniósł się był z Kowelszczyzny do powiatu Dubieńskiego, na to leśne pogranicze Berestecko-Horochowskie. Okolica w głąb Wołynia posunięta nie dawała mu możności widzieć nawet nieprzyjaciela, słyszał jeno o nim. Słyszał, że szyki Szwarcenberga nie celowały

karnością, iż sam Szwarcenberg, zatrzymawszy sęi w Hołobach, niby wciąż się rwał do blizkiego Łucka, ale jakóś do niego dójść nie mógł... Tu starzec znacząco się uśmiechał. Snać do ludu doszły legendy—później przez źródła poważne stwierdzone, jak np. „Pamiętniki Eustachego ks. Sanguszki“—że blask dukatów, z prywatnej dłoni płynących, tak wielce oślepił austryackiego sprzymierzeńca Napoleona, iż na drugi brzeg Styru nie mógł w żaden sposób trafić... „On nie szedł naprzód, lecz my go się bali i po lasach chowaliśmy się z całym dobytkiem“... „Panowie nasi toż samo robili“... mówił Harasym.

Ten szczegół ostatni najbardziej charakterestycznie zarysowywał ówczesne zachowywanie się ziemian polskich na Wołyniu. Stronili przeważnie od wiru walki; mało rozumiano chwilę dziejową...

Harasym w opowiadaniach swych sięgał, jak widzieliśmy, w głąb czasów ubiegłych, do Suworowa; o Dwernickim oczywiście też wiedział, wszakże dwudniowej bitwy jego pod Boremlem niemal naocznym był świadkiem, huk dział z pod Boremla odbijał się echem doniosłem o węgły jego chaty, ale o czasach walki listopadowej niewiele wiedział, czy też niewiele mówić lubił. Zbyt niedawnemi mu się wydawały te czasy i wypadki, a on wciąż zwracał się myślą i wyobraźnią w przeszłość głębszą, bo ona z jego wspomnieniami własnej młodości ściśle się jednoczyła, w owym kraju lat dziecinnych chętnie przebywał.

Drugi zaś z wiejskich bajarzy, ogrodnik Hryćko, człowiek jeszcze niestary, o twarzy zawsze starannie wygolonej, o nogach dziwnie pokręconych, przedewszystkiem, nawet wyłącznie, mówił o roku

1831, o boju Dwernickiego pod Boremlem... Hryćko był postacią poniekąd tajemniczą. Utrzymywał, iż nigdy nie przekraczał płotów ogrodu dworskiego i innego zajęcia w życiu swem nie uprawiał nad szczepienie drzew owocowych, zasiewanie i pielęgnowanie kwiatów; nigdy innego oręża w ręku nie miał nad laskę, którą podpierał się, jako kaleka. I rzeczywiście, poza dworski ogród prawie wcale on nie wychylał się; kwiaty lubił i pielęgnowanie kwiatów, trawników z niezmiernem upodobaniem—można rzec z głębokiem ukochaniem—prowadził. Z prawdziwą dumą i zarazem z rozradowaniem szczerem pokazywał kwiaty, które mu się na wiosnę rozwinęły, chlubił nasionami i szczepami dającemi dobre, niespodziane wyniki... Milczący, pogodny, do kwiatów łagodnie uśmiechający się, Hryćko ożywiał się, wyprostowywał, gdy na swej lasce wsparty, w głębi ogrodu, rozpoczynał opowiadanie o szczegółach bitwy Boremelskiej... Zagadnięty, nim rozpoczął opowiadanie, pilnie rozglądał się, nasłuchiwał zbliżających się kroków jakiegoś nieproszonego świadka, przechylał głowę, w jedną i drugą stronę, niby ptak siedzący na gnieździe; upewniwszy się wszakże, iż niema innych słuchaczy, oprócz kwiatów, krzewów i świegotliwych ptasząt, zdobywał się na wielomówność niezwykłą: jakiś promień zapału zstępywał na tę twarz smagłą, o rysach regularnych, na czoło wyniosłe, otoczone kruczemi włosami, spadającemi równemi pasmami ku ramionom.

W chwilach gdy ta niezwykła swada go nawiedzała—a nawiedzała tylko w ową godzinę opowiadań o Boremlu i Dwernickim—znikał cichy, pokorny ogrodnik, a stał przedemną niby inny człowiek. Czarny wąs jego drgał nerwowo, sukmana

szara, z czarnemi potrzebami, skrojona na wzór kapot mieszczan Beresteckich, roztwierała swe poły, poza któremi ukazywały się wyprężone muskuły całego ciała, ręce wykonywały ruchy gwałtowne, gestykulował laską, wskazując na wsze strony: te gesty szybkie illustrowały rapsod bojowy.

„Tu Styr, tam góra, na niej pałac, biją w niego kule armatnie z poza rzeki, tam lasek, za nim Chryniki, tu Nowosiółki, wzgórza... Krakusi idą do ataku, czwórkami, konie rżą, śpieszno im biedz na baterye... Krakusi śpiewają, a armaty tak grają, że ziemia jęczy, ich śpiew zagłusza huk dział"... „Jeszcze dwa pacierze, a krakusi na wzgórzu".

Wszystko to wygłaszał gwałtownie; zdawało się, że w chwili, gdy mówił, brał udział w wirze, w zamęcie bitwy...

Słuchałem zapatrzony w opowiadającego: wielkie starcie orężne, pod wpływem opowiadań człowieka przejętego treścią swej naracyi, wskrzeszało w wyobraźni dziecięcej obraz bitwy; zarysowywała się ona dziwnie wyraziście, jej niektóre epizody w tej postaci, jak je wówczas wygłoszono, pozostały nazawsze w pamięci... Teren walki, o parę lat później, zwiedzany bywał wielekroć przezemnie. Niemało to przyczyniło się do lepszego utrwalenia w umyśle fragmentów bojowych. Nie jedną godzinę spędziłem w opustoszałych murach pałacu Boremelskiego, w późniejszych latach, i widywałem kule działowe w ścianach...

Najmniejszy szelest, niekiedy silniejszy powiew wiatru, wstrzymywał opowieść w chwili może wielce ciekawej, gdy losy boju ważyły się. Nigdy nie pytałem, skąd Hryćko „kulawy"—pod tem przezwiskiem znano go—posiada tyle szczegółów o bitwie Bo-

remelskiej. Zdawało mi się to rzeczą najzupełniej naturalną, iż o niej, dużo wie: później, znacznie później, nasuwały się powątpiewania, azali bajarz wiejski nie jest improwizatorem jedynie, że wszystko to może powstało przeważnie w jego wyobraźni, iż on boju własnemi oczy nie oglądał, wrażeń uczestnictwa nie doświadczał.

Przychodziły po wielu latach spóźnione uwagi, iż opowiadacz ani świadkiem, ani tembardziej uczestnikiem bitwy nie mógł być, wszakże kalectwo stawało temu stanowczo na przeszkodzie, bez laski wcale nie chodził; zapytany zaś kiedyś o przyczynę kalectwa ponuro odparł, że „wiatr go zawiał", nader dawno, w dzieciństwie jeszcze. Ta odpowiedź utrwalała mniemanie o niemocy całego życia.

A jednak, jednak, raz się zdarzyło, gdy fornale nie zdołali rady sobie dać z koniem znarowionym, ogrodnik kaleka kazał się nieco unieść, dosiadł konia i zażył go tak wprawną dłonią, iż rozhukany wierzchowiec przyszedł do zupełnej równowagi. Ktoś z obecnych starych wieśniaków, uśmiechając się, mruknął: „przypomniały mu się dawne lata"...

I znowu upłynęły, już nie lata, lecz dziesiątki lat, i wpadła do mych rąk książka generała rossyjskiego Puzyrewskiego, o wojnie 1831 r., w której znalazłem dłuższy ustęp o bitwie pod Boremlem, wraz z planem dokładnym. Czytając ową relacyę poważną, na źródłach urzędowych opartą, ze zdziwieniem spostrzegłem, iż w wielu razach szczegóły znanemi mnie były. Zdziwiłem się, skąd wiem o nich: powstawały to w mej pamięci, oddawna zagrzebane, wspomnienia bajarza wiejskiego, wspomnienia z lat dziecięcych; szczególnie pewien

epizod szarży jazdy, na wzgórze pod Nowosiółkami, na planie generała Puzyrewskiego tak z całą ścisłością wskazany, jak mi to przed bardzo wielu laty opowiadał Hryć „kulawy“...

Wówczas dopiero przekonałem się, że ogród nie był wyłączną jego przez życie całe siedzibą, a uprawa kwiatów, szczepienie drzew wyłącznem zajęciem... Nie ulegało już odtąd dla mnie żadnej wątpliwości, iż był on uczestnikiem boju, o którym z tak szczerym zapałem opowiadał, iż ten cichy miłośnik kwiatów biegł ongi z innymi pod Boremlem, w tej szarży jazdy, śpiewając tak doniośle pieśń nadziei, iż grzmot dział niemocen był stłumić echa pieśni...

. . . . . .

Oprócz dwóch bajarzy wieśniaczych, którzy swemi opowiadaniami niejako illustrowali księgi, w których się rozczytywałem, i uzupełniali swą opowieścią prostaczą czego książka nie dopowiedziała, ukazał się na horyzoncie zarania życia mego jeszcze jeden typ, typ i wówczas bardzo już rzadki— „konfederat“...

Samotny, w książki wpatrzony, po porannej pracy, czułem się wielekroć tak znużony, iż potrzeba zmiany wrażeń pędziła mię nietylko poza dom, poza ogród, ale daleko poza wieś, na ów gościniec, o którym wspominałem, iż niegdyś roił się mnogością podróżnych, iż patrzał na wybitniejsze postacie, znane w całym kraju. Lecz w roku 1847 było na nim pusto i cicho: kilka wozów wieśniaczych, fura żydowska, konny patrol straży pogranicznej, czuwający pilnie, azali nie zoczy przemytnika, który wraz z nieoclonemi towarami mógł przemycać rzecz dla owych okolic najniebezpieczniejszą — książkę,

gdzieś daleko na Zachodzie drukowaną—to wszystko, co na nim wówczas spotykano. Na ów gościniec pędziła mię i ciekawość, czy nie zobaczę „konfederata“, który zamieszkiwał mały dworek na przysiółku nazywającym się Budki, a właśnie część drogi do Budek biegła tym gościńcem.

„Konfederata“ jednak na gościńcu nie spotykałem. Mówiono, że rychło do nas nadejdzie—nie nadchodził...

Upływały tak dni na oczekiwaniu.

Raz, gdy miałem przed sobą historyę polską, Józefa Miklaszewskiego, wydanie (z r. 1829) ozdobione portretami królów i mapką, i już dobiegłem de końca dziejów, do chwili ostatniego rozbioru, pomimo oględnych wyrazów dziejopisarza, w całej ohydzie stanęła przedemną robota konfederacyi Targowickiej; zrozumiałem sromotę ludzi, którzy kopali grób dla niepodległości własnej ojczyzny i myśl moja napróżno szukała rozwiązania tej zagadki—co ich do tego popchnęło.

Turkot zajeżdżającego wózka, dobiegający z poza okna, przy którem siedziałem, skierował myśl moją w innym kierunku. Pamiętam wybornie ową chwilę...

Na dziedziniec wtoczyła się mała bryczka, ciągniona przez parę nędznych, wygłodzonych, wzajemnie na siebie wspierających się koni. Dwie tylko osoby pochylone, skurczone widziano w bryczce, tak mizernie wyglądającej, jak i cały zaprząg: woźnicę i postać obwiniętą w duży płaszcz, w którym postać ta, na głównem siedzeniu, tonęła. Woźnica, kilkunastoletni wyrostek, w letnim przyodziewku i słomianym kapeluszu, acz wicher listopadowy niósł przedsmak zimy, z trudnością zmuszał wychudzone szkapy, iż truchtem do ganku dobiegły.

Z bryczki słomą napełnionej, z pewnym wysiłkiem, wybrnęła postać w szeroki płaszcz owinięta... Po chwili przybysza witano; mówiono, że przybył gość z Budek—pan Tchorzewski. To nazwisko obcem mi nie było, służyło ono „konfederatowi", którego oddawna pragnąłem widzieć. Przypatrywałem się mu z ciekawością. Widocznie pilnie weń wpatrywałem się, gdyż do dziś stoi w mej pamięci ten człowiek dość odległej przeszłości.

Pierwsze wrażenie było w pewnej mierze rozczarowaniem. Nazywano go konfederatem, mniemałem, że jest Barskim, a Barszczanie, owi „rycerze Maryi", stawali w mej wyobraźni jako ludzie o postaci marsowej, o kształtach olbrzymich. Barski rycerz w mem pojęciu ówczesnem był olbrzymem. Pan Tchorzewski najzupełniej nie przypominał tego ideału rycerza, co to „stawał na placu z Boga ordynansu"... Ukazał się oczom moim człowieczek nikły, zawiędły, wzrostu mniej nieco niż średniego, powleczony cały jakby barwą orzechową. Wszystko składało się na tę barwę: kolor surduta, twarzy, wreszcie peruki małej, nieco wytartej, spłowiałej. W ruchach był sztywny, poważny; powagi i wiek mu dodawał, liczył bowiem—jak mówiono—lat osiemdziesiąt parę.

— Nie—w myśli mej mówiłem—to nie może być konfederat Barski. Oni inaczej wyglądali...

I rzeczywiście nie myliłem się. Pan Tchorzewski nie był Barskim konfederatem, ale „Targowickim"...

To odkrycie wywołało we mnie uczucie jakiejciś zgrozy: właśnie byłem pod wrażeniem zdania wyczytanego w historyi Miklaszewskiego o tej konfederacyi: zdawało mi się, że widzę przed sobą gra-

barza niepodległości... Mały ów, zawiędły, a jak teraz uważam, rozpamiętywając przeszłość—nieszczęśliwy człowiek, wcale nie był potworem, ale krótkowidzem, jednym z tych licznych, co trzymając się kłamki pańskiej, szli na oślep tam, dokąd prowadziła ich pycha, samowola tego lub innego możnowładcy... Szli bezwiednie ku przepaści tłumnie a ochoczo, wcale nie zdając sprawy co czynią, dokąd idą, szli ciżbą wielką; poszedł i pan Tchorzewski, sam zapewne nie wiedząc dokładnie jak znalazł się w tym tłumie. Wierzyli inni przemożnym potentatom, wierzył również i on... Takich było wielu, i on stanął w liczbie tych bezwiednych, automatycznych szeregowców związku Targowickiego... Ani wielkiej, ani żadnej wybitniejszej roli w związku nie odegrał, był pionkiem, ginącym w tłumie. Zdaje się, iż go w to bagno zaprowadził Benedykt Hulewicz, przy którym dworował czas pewien, podczas gdy pan Benedykt, od kolebki prawie związany z Potockimi, przy Szczęsnym Potockim wieszał się, używany do pióra w sprawach robót Targowickich... P. Tchorzewski robił wrażenie człowieka, który, nawet po upadku niepodległości, nie zeznawał na jak mylne ścieżki go wprowadzono. Więcej niż w pół wieku po rozbiorze zdawał się nierozumieć co go otacza, jaki jest stan kraju...

Faktem jest, co głęboko wyrył się w moim umyśle, iż ów konfederat Targowicki, w r. 1847, powtarzał z cała powagą te zdania, których nauczono go w czasach, gdy Targowica teroryzowała Wołyń.

Po tem pierwszem z nim spotkaniu widywałem go nieraz, i nieraz słyszałem z jego ust te słowa: „To szczęście prawdziwe, iż nas zabrała wielka monarchini. Co za spokój dokoła. Niema najazdów

Tatarskich, w jassyr nas nie pędzą"... Dziś gdy słowa owego człowieczka, o barwie orzechowej, o obliczu zawiędłem i zimnem, dobiegają z głębin przeszłości do mej pamięci, ustala się coraz bardziej w mojem mniemaniu przekonanie, że ten niedobitek knowań Targowickich bezwiednie wszedł w bezdenne topiele niecnych robót, iż jego główną winą — ciemnota, brak oryentacyi wśród zdarzeń dziejowych, do których zrozumienia nie dojrzał umysł: takich jak on Wołyń ówczesny posiadał całą ciżbę. Przebaczenie zupełne powinno otoczyć ich mogiły... Inni, przemożni mecenasi tłumów, przodownicy knowań zbrodniczych, wyszli z tej smutnej epoki z pełnymi trzosy; maluczcy, szary tłum, podobny do owego biedaka z Bud leśnych, wychodzili z dłonią czystą, a umysł tępy oszczędził im nawet bolesnych wspomnień, iż, gardłując za przewódcami Targowicy, przyspieszyli godzinę upadku niepodległości. Nie posiadali samowiedzy swych czynów: nie rozumieli, iż źle czynią...

. . . . . .

Dziwna losu ironia. Wśród czterech postaci, których cienie blade, o niewyraźnych konturach, starałem się utrwalić dla przyszłości, trzej pierwsi— żyd i dwaj wieśniacy, rusini z rodu, ale z miłością dla ziemi, co ich zrodziła—boleją nad stanem, który ich otaczał. Ostatni, szlachcic, polak z krwi i kości, cieszy się z porozbiorowej terazniejszości, od smutku daleki, składa własnem wyznaniem dowody, iż w ciągu pół wieku niczego nie zapomniał, niczego się nie nauczył... Nie sądźmy, by takich, jak ten ostatni, było wielu. Nie, on był nietylko wyjątkiem ale unikatem... Ci inni, również maluczcy, nawet bardziej na szary koniec usuwający się, bo nieherbowni, bo

więcej ubodzy mieniem, byli duchem zamożniejsi i—nie tworzyli wyjątków w onych czasach w owej epoce, może mniej dawnością lat obarczonej, lecz nader różnej od lat dzisiejszych; te cienie, tu zarysowane, bywały dość często rzeczywistością dla oka, które pragnęło ich dojrzeć...

GNIAZDO REYTANA.

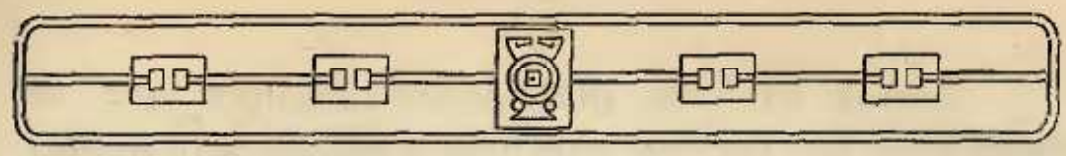

Gniazdo Reytana.

Za dni Ludwika Filipa, Francya gościła u siebie długie lata tysiące ziomków naszych. Spotykano wówczas w Paryżu i na prowincyi, w małych i większych miastach, spotykano w najdalszych zakątkach odległych departamentów typy nieznane i nigdy przed tem niewidziane, nietylko we Francyi, ale na całym Zachodzie. Były to typy różnych okolic ziemi naszej, które niespodzianie wyszły na odgłos wypadków listopadowych z pod strzech naszych dworów, z zagród zaścianków, z głębi puszcz litewskich, z wiosek wołyńskich, z pałacyków Podola...

Wyszli i nie wrócili...

Nie widziały ich odtąd knieje litewskie, nie widziały nasze niwy, wieść nawet o nich wśród swoich milkła i gasła, stawali się żywcem pogrzebani dla najbliższych, dla ziemi rodzinnej... Natomiast tam daleko, dalej niż za siódmą rzeką, niż za dziesiątą górą, pod niebem cieplejszem, wśród ludzi innej kultury, innego obyczaju, na bruku miast cudzoziemskich, widziano te postacie bardziej niż smutne, gdyż bólem złamane, zadumane, zwrócone myślą najczęściej ku wschodnim horyzontom widnokręgu, skąd wyczekiwały bodaj powiewu wiatru z pól rodzinnych...

Tłumy to były niezmierne. Płynęły one od Wschodu na Zachód szeroką ławą, przez wielkie obszary Niemiec, gdzie ich podejmowano gościnnie, serdecznie, nieraz z ogromnym zapałem; nieraz ich przejście przez ziemie niemieckie stawało się—prawdziwym tryumfem. Kto w owych latach nie był w Niemczech, nie widział tego entuzyazmu niemieckiego dla naszych tułaczy, przedzierających się wśród tysiącznych wielekroć prywacyj, nad Ren i za Ren, nie może należycie odtworzyć w swej myśli jak wysoko urastał ówczesny zapał synów Germanii. We Francyi również i serdeczności i zapału dla niespodzianych gości było dużo. Gościnność francuska okazała się stateczną, długotrwałą. Entuzyastyczne powitania, błyskotliwe owacye szybko przeminęły; spłonęły niby ogień traw stepowych; ale życzliwość Francyi dla przybyszów pozostała trwała na długie lata: i rządy ówczesne i społeczeństwo francuskie, otaczały ich stateczną, przez szereg lat niegasnącą opieką... Wszystko to wprawdzie zmieniło się z czasem, ale zmiany nadeszły znacznie później.

Pomimo jednak tej opieki troskliwej i trwałej, wielu z niej nie korzystało, dobrowolnie od niej usuwano się. Byt wielu, bardzo wielu, stawał się z biegiem lat bardzo ciężkim, nie do zniesienia, dorównywał powolnej śmierci głodowej. Poddawano się losom z rezygnacyą, nie sarkano. Nici sympatyi łączące z towarzyszami doli dodawały im sił, chociaż i przed tymi najbliższymi taili objawy swej bezbrzeżnej biedy; dla bliższych, dla ziomków, również jak i dla cudzoziemców, nie okazywali, ani głębin swej duszy smutkiem przesiąkniętej, ani swej

materyalnej nędzy, którą znosili ze stoicyzmem przez długie lata tułactwa...

Ponad biedą, ponad tysiącznemi prywacyami, górowała tęsknota bezbrzeżna za wszystkiem co własne a dalekie.

Pokolenie, do którego zaliczały się te zastępy tułaczy, odczuło swą tęsknicę głębiej i silniej niż późniejsze... Miłowano bardziej, tęskniono i smucono się mocniej... Było to znamieniem lat ówczesnych.

Do pierwszych zastępów tułaczy, którzy zmuszeni byli iść pod obce niebo, przyłączali się później inni, liczni, dążący dobrowolnie na Zachód. Pędziło ich jakieś uczucie niewytłómaczone, „jakieś heroiczne pragnienie dzielenia z nimi tułaczego życia“: widziano w gorącem swem pragnieniu dzielenia z innymi gorzkiego chleba tułactwa ofiarę ekspiacyjną, do której liczni chcieli swą dłoń przyłożyć... Ci nawet, co nie spodziewali się znaleść wśród swoich, na tułactwie, zbyt uprzejmego przyjęcia, wobec których opinia była nieco uprzedzoną, ulegali sile atrakcyjnej wychodźtwa i dążyli za innymi... Choroba, brak środków, cisza i spokój życia rodzinnego nie przeszkadzały duchom przejętym ideą łączenia się z innymi na szlakach tułactwa zrywać ze spokojem domowego ogniska i ciągnąć poza słupy graniczne własnych siedzib, chociaż nic ich z kraju nie wyrzucało. Takim był Kazimierz Brodziński, takim Stefan Witwicki... Brodziński kilka lat łamał się z trudnościami, z niemocą swych sił słabych i braków materyalnych; wreszcie, gdy wszystkie usunął przeszkody i podążył na Zachód, nad Elbą, w Dreźnie, śmierć go spotkała... Przed rozpoczęciem tułaczki dobrowolnej, nakreślił w li-

ście do Bogdana Zaleskiego parę myśli odbijających wybornie ów nastrój ówczesnych ludzi i ożywiające ich uczucia... „Tęsknię—pisze Brodziński—jakby u was była ojczyzna...“

Pozostawieni w opustoszałych zagrodach rodzinnych, tęsknili jeszcze bardziej za swymi, z którymi nietylko połączyć się nie mogli, ale nawet żadnej wieści otrzymać nie mieli prawa... Ani list, ani żadna wiadomość nie zdołały się przedrzeć z Zachodu na Wschód przez pilnie strzeżone kordony.

Napróżno nasłuchiwano miesiące, lata; nawet westchnienie nie nadbiegało od smutnych a pełnych rezygnacyi gromad z nad Sekwany lub Rodanu.

Dzisiaj wydaje się to dziwnem, nieprawdopodobnem; wówczas było rzeczą zwyczajną, nikt się temu nie dziwił. Pogodzeni byli najzupełniej ze smutną rzeczywistością swych dni...

* * *

W takiej epoce zobopólnej tęsknoty i tych, co pozostali na Wschodzie, i tułających się na Zachodzie, zdążała około r. 1842, przez równiny Szampanii, gościńcem wiodącym od Renu do Paryża, ciężka landara, na wysokich resorach, już wówczas uważana za staroświecką, mocno naładowana różnemi pudłami, tłómoczkami i tobołkami różnej miary, wagi, kształtów i wyglądu. Największym pakunkiem był szeroki, wysoki, skórzany tłómok, uwiązany poza landarą, na którym siedziała kobieta młoda, w stroju wieśniaczym jakiegoś nieznanego kraju... Cały zaprząg, składający się z czterech koni, o uprzęży w owych okolicach wcale niezna-

nej, woźnica z twarzą chmurną, z dużemi, sumiastemi wąsami, budziły podziw. Stawano na gościńcu, by się przypatrzeć pociągowi, woźnicy, kobiecie trzymającej się sznurów tłómoka i odgadnąć, skąd, z jakiego kraju dążą...

Domysłom nie było końca. Kiedy zaprząg zatrzymywał się w gospodach przydrożnych, drzwi zajazdu oblegały tłumy.

Na pytania liczne, gwarne, nie odbierano wszakże odpowiedzi; ani woźnica, ani kobiecina, uwieszona poza powozem, nie rozumieli po francusku. Wprawdzie pani, siedząca w powozie, mówiła nieco w tym języku, lecz nie biegle, z akcentem wybitnie cudzoziemskim, odpowiadała zaś na natrętne pytania lakonicznie, z pewną niechęcią.

Pani, jadąca w landarze, przepełnionej niezliczoną liczbą pudełek, była osobą już bardzo niemłodą; jakiś ból uwydatnił się w rysach jej twarzy, znużonej długą podróżą i niepokojem. Niepokój jej wzrastał, im bardziej się zbliżali do celu podróży. Wreszcie, po wielu dniach wędrówki długiej, nużącej, gdy siły koni i cierpliwość woźnicy, nieumiejącego dać sobie rady wśród obcego otoczenia, wyczerpywały się najzupełniej, stanął ten niezwykły zaprząg u bram Paryża. Byli już u celu podróży.

Przybycie tej pani, jej woźnicy i służącej w stroju wieśniaczym, umieszczonej poza staroświecką landarą, stało się wkrótce wypadkiem niezmiernej doniosłości dla tłumów wychodźców naszych, mieszkających w Paryżu. Rozbiegła się wśród nich wiadomość, iż z głębi Litwy, z Mińskiego, przybyła do Paryża swym powozem, z własną służbą i własnemi końmi pani Anna z Reytanów Gieryczowa.

Nie chciano wierzyć pogłosce, obiegającej szyb-

ko przedmieścia i odległe dzielnice stolicy, zamieszkałe przez naszych tułaczy. Wkrótce jednak przekonano się, że pogłoska, chociaż trąciła fantastycznością, jest prawdą zupełną.

To przybycie pani Anny Gieryczowej do Paryża po części tylko zaliczać się mogło do pospolitych wówczas objawów ciągnienia na Zachód, by się połączyć z tłumami tułactwa. Inne względy przeważnie rolę tu odgrywały. Pani Gieryczowa wśród szeregów ówczesnego wychodźctwa miała syna, od kilku lat niewidzianego i zdawało się, że już go nigdy nie zobaczy. Energiczna kobieta wypowiedziała wszakże walkę nieprzyjaznym losom: postanowiła z synem się połączyć i, bez względu na wszystkie przeszkody i trudności, zamiar zamieniła na czyn.

Zebrała wszystkie fundusze, jakie posiadała w kraju i, uruchomiwszy w ten sposób dość znaczny kapitał, przywiozła do Paryża środki materyalne, które miały się stać podstawą bytu dla niej i syna.

Połączywszy się z synem, pani Anna wytworzyła w Paryżu jedno z tych małych gniazd rodzinnych, gdzie tułacze znajdywali chwile zapomnienia i ukojenia wśród bolów i tęsknoty, jakie im miały towarzyszyć do końca istnienia.

Nieliczne, ale ścisłymi węzły wspólnych losów połączone z jej synem grono tułacze, wśród długich z nią rozmów, przysłuchując się jej opowiadaniom o Litwie dawnej i ówczesnej, przenosiło się myślą do swych zagród rodzinnych, do tych pól piaszczystych, do szarych dworów, z którymi przed laty się rozstali i nigdy już ich ujrzeć nie mieli.

Wśród tego grona spotykano prawie stale to

kółko Litwinów, które w owej epoce Adama Mickiewicza odwiedzało dość często i zaliczało się prawie do jego domowników, jak Bergiel i Stefan Zan, a również gościło u gorejącego jasnym płomieniem kominka pani Gieryczowej... Niekiedy zasiadał tam, w późniejszych nieco latach, Karol Baykowski, z owruckiego Polesia, już po r. 1846 do Paryża przybyły.

Gdy się wyczerpywały tematy współczesne, gdy wszystko, co było z bolów, trosk i obaw i zawiedzionych nadziei teraźniejszości, opowiedzianem zostało, pani Anna zwracała się w swych opowiadaniach do lat dawnych, do coraz starszych wspomnień z lat swej młodości i dziecięcych wrażeń... Nie przechodziły te pogadanki na pole wielkich wypadków dziejowych, nie mówiły o ludziach, którzy zapisali swe imię na kartach nieśmiertelności, lecz zarysowywały w sposób prosty, wcale niekunsztowny, ze znamieniem jednak wybitnem prawdy zupełnej, wszystko, co było charakterystycznem w jej otoczeniu z lat dziecięcych. Miały one urok tem większy dla słuchaczy, iż p. Gieryczowa była Reytanówną, bratanką Tadeusza Reytana, że dziecinne jej lata upływały w końcu XVIII w. w tejże samej Hruszówce pod Lachowiczami — w Słucczyznie — gdzie się urodził, mieszkał i umarł Tadeusz Reytan.

Kolebka Tadeusza Reytana była zarazem i pani Gieryczowej kolebką. Jeśli się tam nie urodziła, to wychowała od dziecięcych lat; i jej myśl, w późniejszych kolejach życia, gdy się cofnęła wstecz, od paryskiego kominka do dawno ubiegłych, spokojnych dni młodości, spędzonych na Litwie, zawsze się opierała o ten dwór w Hruszówce i o wielką

rozłożystą lipę, w której cieniu ona wzrastała, a również i ten rozgłośny jej stryj.

Już ona nie pamiętała stryja; zdaje się, iż przed jego zgonem na niewiele na świat przyszła; ale wspomnienie o nim wychylało się niemal z każdego węgła starego dworu; każdy sprzęt go przypominał; w „murowance“ zaś — tak nazywano oficynę, blisko dworu stojącą — przechowywano cały Dyaryusz jego poselstwa i inne papiery, które ze szczególną czcią pielęgnował młodszy brat Tadeusza, Stanisław.

Opowiadania pani Gieryczowej, dorywcze, niesystematyczne, później przez nią fragmentarycznie zostały spisane. Bardzo być może, iż niejedno z tych ułamkowych notat zaginęło, tak, że całości złożyć niepodobna, ale i z tych okruchów prześwieca w ogólnych konturach kolebka Reytanowska. Po jej zgonie ułamek jej wspomnień wydano; są to fragmenty, dalekie od wytworzenia całości.

Wdzięczna dla ziomków, którzy ją i jej syna otaczali sympatyą prawdziwą, spisywała dużo ze swych wspomnień dla tych przyjaciół-tułaczy, a Bergiel był pośrednikiem między nią a Adamem Mickiewiczem, któremu ułamki kart z tych wspomnień zanosił.

Po każdej takiej do wieszcza wyprawie z kartkami wspomnień pani Gieryczowej, wracał Bergiel uradowany, mówiąc, iż poeta z rozrzewnieniem je odczytał i zachęcał do dalszej pracy pamiętnikarskiej. Relacye Bergiela stawały się bodźcem dla staruszki; wydobywała przeto ze swej pamięci coraz to nowe wspomnienia; znaczna wszakże ich część uleciała i przebrzmiała wśród grona tułaczego, u gościnnego, paryskiego kominka. Spisała ich bar-

dzo mało: zaledwie pięćdziesiąt malutkich stronnic, i to w sposób nieco chaotyczny, bez planu i jednego ciągu, zapewne nie myśląc o tem, że dorywcze jej relacye mogłyby stać się podwaliną dla przyszłego biografa Tad. Reytana. Zresztą, wśród jej opowiadań to, co o Reytanie mówi się, jest cząstką wspomnień najmniejszą. Prawdopodobnie wiedziała ona o nim więcej niż opowiadała, niż zapisała, ale rozrzewniały ją niezmiernie reminescencye z ostatnich lat życia stryja; o nich wcale mówić nie chciała.

Jeden, zapewne ostatni, ze słuchaczy tych opowiadań u kominka paryskiego, w r. 1904 zmarły, Karol Baykowski, mówił piszącemu te wyrazy, iż Gieryczowa, poza tem co zapisała, niewiele więcej wiedziała o stryju i zwykle dodawała rozpytującym się ciekawie: „to rzecz zanadto bolesna, nie będę mówić o ostatnich chwilach Tadeusza, to przechodzi siły moje...“

Nie wiemy, skąd zaczerpnęli wiadomości ci, którzy pisali, iż miejscem urodzenia Reytana jest Struszów — wieś bliżej nam nieznana — niewątpliwie nie inna miejscowość, lecz stara rezydencya tej rodziny, Hruszówka, jest jego kolebką. Pani Gieryczowa kwestyę tę poruszała, wskazywała wyraźnie Hruszówkę jako miejsce urodzenia stryja. Wszystko to co mówiła stwierdza, że nie gdzie indziej, lecz w Hruszówce przyszedł na świat.

Hruszówka, położona w Słuckiem, blisko Lachowicz, posiadająca teraz około 2300 morgów dobrej gleby, przy końcu XVIII i na początku XIX wieku miała stary dwór, w którym mieszkał Tadeusz Reytan, poseł na sejm, w młodości podkomorzycem nazywany. Dwór, do dzisiaj może istnie-

jący, był domostwem, obszernem, wygodnem, piętrowem, z gankiem od frontu wyniosłym, o czterech wielkich kolumnach drewnianych, u którego szczytu gnieździły się jaskółki. Od strony ogrodu biegły obszerne galerye, miejsce przechadzki w dnie słotne i zarazem przejście do ogrodu, starannie utrzymywanego i obfitującego w owoce. Gruszki tameczne w okolicy słynęły, a w cienistych wirydarzach ogrodu była kaplica, świadek radości i smutków całych pokoleń.

Izby dworu obszerne, budową swą, i oknami o małych szybach, w ołów oprawnych, świadczyły, iż to domostwo nader stare. Zdaje się, iż podobnie jak interesy właścicieli, były w rozprzężeniu, tak i stan dworu, przy końcu XVIII w., był mocno zaniedbany. Pokoje rozległe, z drzwiami źle zaopatrzonemi, w dniach jesiennych stawały się polem dla harcu wiatru, a zimą spotykano w sieniach śnieg. Narzekał na to młodszy brat Tadeusza, Podkomorzyc, Stanisław Reytan, gospodarujący wtedy w Hruszówce, i często powtarzał: „Już to prawda, że dom Reytanów otwarty, drzwi się nigdy nie zamykają...“—wszystko się chyliło do upadku. Liczne izby, bokówki, pokoje bawialne, szatnie, napełnione były mnóstwem sprzętów, wśród których spotykano rzeczy cenne i niemało pamiątek rodzinnych. Do tych ostatnich przedewszystkiem zaliczały się portrety: konterfekty ojca i dziada Tadeusza przedstawiały ludzi rycerskich, postacie ich poważne, w zbrojach, surowo patrzały z ram obrazów. Tadeusza portret dawał obraz męża w średniej dobie lat, ubranego w żupan i kontusz o barwach województwa Nowogródzkiego. Obok tego portretu był wizerunek Kościuszki, w późniejszych już latach zawieszony.

Spotykano przytem i portrety rodzin spowinowaconych, jak archidyakona Wodzyńskiego, słynnej niegdyś z piękności Ludwiki Kosińskiej, która była żoną jednego z Reytanów i inne.

Prawdziwą ozdobę sal bawialnych tworzyły zwierciadła ogromne, w złoconych ramach, pięknej roboty: nabyto je do paradniejszych izb dworu już po zgonie Tadeusza, ze zbiorów ruchomości sprzedawanych na licytacyi w jednej z Radziwiłłowskich rezydencyi, po śmierci księcia Karola „Panie kochanku."

Wejście do starego, a ozdobnego dworu, dostatnio we wszystko zaopatrzonego, stanowił dziedziniec nader obszerny, z bardzo starą, rozłożystą lipą, na środku dobrze utrzymanych trawników. Pod jej cieniem nietylko Tadeusz Reytan, lecz kilka pokoleń przed nim urastało. Lipę tę więc otaczano oddawna szczególną sympatyą i pieczołowitością całej rodziny. Uzupełnieniem starej siedziby była oficyna, zwana „murowanką", domek stosunkowo niewielki, mienić się mógł wszakże historycznym; tam bowiem najwięcej przechowywało się pamiątek po Tadeuszu—archiwum to rodzinne, skład piśmiennych świadectw o krótkiej, pamiętnej jednak działalności niezapomnianego stryja pani Gieryczowej.

* * *

Dwór w Hruszówce zarysowywał się w pamięci pani Gieryczowej takim, jak się odbił na soczewce jej wrażeń dziecięcych, jakim go widziano około r. 1796. Zapełnione wtedy były wszystkie izby obszernego dworu; tłumnie tam i gwarnie przesuwała się ciżba rodziny, domowników i sług starej siedziby. Podkomorzyc, Stanisław Reytan, najmłodszy

z braci Tadeusza, wówczas był głównym gospodarzem. W opowiadaniach bratanki ten stryj Stanisław, stary kawaler, nieco dziwak, nieco wierszopis, gościnny, lubiany przez sąsiadów, staje przed nami jako postać sympatyczna, skłonna do marzeń, pędząca życie mniej czynne, więcej oddane kontemplacyi, rozmyślaniom o niedawnej przeszłości, o tych chwilach, gdy nić żywota braterskiego rwać się zaczęła. Z usposobienia swego p. Stanisław był wesół, żartobliwy, ale jakieś w dniach młodości zawiedzione, czy też raczej niewłaściwie umieszczone uczucie zwichnęło mu życie, rzuciło cień na drogi jego istnienia. — Później spotkały go inne troski, z zakresu szerszego, większej doniosłości, niż złamane uczucie osobiste. Zaczął więc mniej obcować z ludźmi, więcej z własną myślą, chętniej zamykał się w „murowance", która patrzała na chorobę i zgon brata, pisywał tam wiersze, tłómaczył poezye francuskie dość udatnie *), rozczytywał się nieustannie w papierach rodzinnych, w owym Dyaryuszu poselstwa Tadeusza na sejm i czuwał pilnie a zazdrośnie nad archiwum rodzinnem. — Do archiwum w „murowance" nikt nie miał wstępu, oprócz podkomorzyca Stanisława; on tam urządził swą sypialnię, tam codziennie długie godziny spędzał, czytając, przeglądając, notując, myśląc o przeszłości. Papiery, w nieładzie rozproszone po podłodze i pułkach małych izdebek „murowanki", pyłem były

*) P. Gieryczowa z tych tłómaczeń stryjowskich zapamiętała ułamek maluczki, który za nią powtarzamy: „Strumyku ukochany, wsi naszej ozdobo, — Wielkie, jak widzę, mamy podobieństwo z sobą: Lecz gdy dobrze uważam, ze wszechmiar niestety! — Szczęśliwiej ty do swojej, niż my, lecisz mety".

okryte, i biada temu, ktoby tknął chociaż jeden świstek z tych fascykułów, ktoby powziął śmiałą myśl okurzenia z pyłu i pajęczyny tych pamiątek dawnego życia.

„Murowanka“ i papiery rodzinne, Dyaryusze sejmowe—to niemal cały świat podkomorzyca. Tam przesiadywał całe dni posępny, poważny, samotny, milczący, ćmiąc nieustannie tytoń z dużej piankowej fajki. O tych papierach, o ich treści mówić nie lubił. Można przypuszczać, iż obawiał się, że wzrok obcy sprofanuje resztki zagasłego istnienia...

Kiedy przychodził z oficyny do domu, do krewnych, domowników, rezydentów, myśl jego wypogadzała się, wrodzona mu wesołość wydobywała się na powierzchnię, zdawało się, że to inny człowiek, nie ten, co przed chwilą w „murowance“ dumał posępny nad papierami: stawał się wesołym, żartobliwym, pogodnym z pogodnymi i śmiejącymi się... Jeśli jednak, korzystając z wesołego usposobienia, ktoś z młodszych członków rodziny, rzucił pytanie: czy niemożna co z tych papierów obejrzeć, wydostać, przeczytać, podkomorzyc zasępiał się, porywał fajkę i szybko uciekał do ukochanego archiwum, nie dając żadnej odpowiedzi...

Podczas gdy w „murowance“ najwięcej przesiadywał główny gospodarz domu, w obszernych izbach dworu wygodnie mieściła się reszta domowych. Oprócz krewnych, których na czas dłuższy lub krótszy nigdy tam nie brakowało, stale mieszkających lub chwilowo goszczących, niemało przebywało, lata całe, różnych rozbitków płci obojga, dla których los był macochą a dwór w Hruszówce ostoją stateczną wśród przygód życia. Nazywano ich rezydentami...

Takich rozbitków, stale mieszkających w Hruszówce, było grono liczne; wraz z krewnymi domowe towarzystwo składało się pospolicie nie mniej niż z dwudziestu osób. W izbie jadalnej było więc gwarno a wesoło.

Pani Gieryczowa o rezydentach i rezydentkach, oddawna tam stale mieszkających, jeszcze z epoki Tadeusza Reytana, napomykała dość ogólnikowo, ale z tych krótkich wzmianek widzimy, że galerya typów ciekawych była długa, i szczerze żałujemy, że nie zarysowała nam wyraziściej tych sylwetek rozbitków z różnych epok naszej doli i niedoli.

Mieli oni tam swe zajęcia, — swe funkcye stałe, lub dorywcze, których im nie narzucano, ale oni sami brali je na siebie, — spłacając poczęści, nieraz zupełnie, należność nietylko za dach i chleb, ale za spokój, za pogodę ducha, za serdeczną opiekę, którą ich otaczano... Wśród rezydentek widziano Burgiełłównę, posiadającą różne funkcye gospodarcze w Hruszowieckim dworze; pod jej szczególną opieką była apteczka domowa, zapełniona więcej konfiturami niż lekarstwami; bawiła tam również od dłuższego czasu stolnikówna, Jadwiga Wołkówna, typ osoby niezaradnej, ale z wielu dobrymi przymiotami; wychowana była do życia bez pracy, los tymczasem na inne tory ją sprowadził... Powstawały niekiedy między niemi małe rozterki, godzone przez podkomorzyca...

Zastęp rezydentów szczególnie się powiększył po walkach Kościuszkowskich. Wielu oficerów pozbawionych zostało wszelkich warunków istnienia dalszego. Rozebrały ich dwory zamożniejszej szlachty, ręcząc za ich poprawne zachowanie się, niektórzy z nich stawali ochoczo do pracy gospodarczej,

inni trudnili się interesami prawnymi; zawiązujące się zaś wkrótce potem legiony znowu ich pewną część zabrały z kraju, dając im właściwsze pole działania.

Z szeregu oficerów 1794 r. rezydowali w Hruszówce: Grabiński, kapitan Nereziusz, porucznik Jacyna. Nazwiska innych wypadły z pamięci p. Gieryczowej; podobno było ich tam więcej. Najdawniej przebywał w tej starej siedzibie Reytanów, jako niegdyś tylko rezydent, później główny plenipotent ich interesów, wtedy już mocno zawikłanych, Antoni Zaremba. Bawił on tam od czasów konfederacyi Barskiej i Tadeusza Reytana, dla którego zachował wielką cześć i tę cześć zaszczepiał w umyśle młodziutkiej wówczas bratanki niepospolitego męża, późniejszej Gieryczowej.

Tworzenie się legionów niemało się przyczyniło do uszczuplenia liczby rezydentów: dawni wojskowi wysuwali się powoli i przedzierając się przez dobrze strzeżone kordony, spieszyli na Lombardzkie pola... Czy się wszyscy przedarli—nie wiemy. O jednym tylko Grabińskim zachowała się tradycya, że brał udział pod Bonapartem w wyprawie Egipskiej i zapewne los go stawiał w obozach w jakieś bezpośrednie zetknięcie się z wielkim wodzem, gdyż w epoce konsulatu zapragnął stary weteran z pod Szczekocin i z pod Piramid przypomnieć się pierwszemu konsulowi. Na odwadze cywilnej Grabińskiemu nie zbywało; brak tylko znajomości języka francuskiego dotkliwie dawał mu się uczuć. Posiadał wprawdzie pewien zapas wyrazów, lecz jak je z sobą połączyć, jak je użyć w zestawieniu z innymi, by stać się zrozumiałym — nie miał najmniejszego pojęcia...

Któż się jednak zraża takiemi drobnostkami... Wyrusza śmiało nasz Grabiński na audyencyę do Bonapartego i pali doń tego rodzaju francuską oracyę: „Vous en Egypte, moi en Egypte; Vous Consul, moi soldat. Vous argent, moi rien“...

Nieznany nam rezultat przedstawienia się Grabińskiego pierwszemu konsulowi, ale wieść o tej mówce szeroko rozbiegła się po świecie, zawędrowała nawet do Lachowicz i Hruszówki, gdzie ją spotkała p. Gieryczowa i wniosła później do swych opowiadań i notatek ze wspomnień.

Z czasów swego dzieciństwa zapamiętała ona jeszcze jedno imię z szeregu rezydentów, był to doktor, Anglik, O'Connor. Właściwie nie należało go mieszać z tłumem rezydentów, gdyż nie zaliczał się do rozbitków na fali życia: praktyka lekarska przywiodła go tam. Że jednak ówczesne pokolenia miały inne zapatrywania na rezydentów, niż obecne, widząc w nich przedewszystkiem przyjaciół domu i rodziny, może więc słusznie do nich i O'Connor zaliczać się... Prawdopodobnie był to potomek tego lekarza O'Connora, z pochodzenia Irlandczyka, który na sto lat przedtem znanym się stał w Polsce, jako nadworny lekarz króla Jana III w ostatnich latach jego życia. Tamten, wróciwszy do Anglii, opracował opis Polski pod względem historycznym, geograficznym i obyczajowym, ten zaś, który gościł w kolebce Reytana, rozszerzał u nas pojęcia o użyteczności torfu.

* * *

Papiery, przechowujące się pod opieką Podkomorzyca w „murowance“, lata czekały na ciekawego badacza, któryby je chciał zużytkować na

pożytek badań dziejowych. Wreszcie zakołatał do dworu w Hruszówce Julian Niemcewicz. Przybył on tam umyślnie w celu zbadania całej piśmiennej po Tadeuszu Reytanie spuścizny. Pragnął bowiem, jak mówił, napisać jego życiorys. Dopytywał się o wszystkie szczegóły, związane z życiem tego niepospolitego męża o spiżowym charakterze, jaki rzadko się spotykał za dni doby Stanisławowskiej.

Bez pozwolenia Podkomorzyca niepodobna było zdobyć wstępu do archiwum domowego, a podkomorzyc i wobec Niemcewicza stawił opór stanowczy, mówiąc, że wszystko, co się tyczy wystąpienia na sejmie jego brata, opisane w gazetach ówczesnych. Po długich wreszcie naleganiach zgodził się, że „Dyaryusz sejmowy" i inne papiery, tyczące się Tad. Reytana, zostaną na miejscu przepisane i kopie wręczone Niemcewiczowi, oryginały zaś dokumentów pozostaną nietknięte dłonią obcą w rodzinnem archiwum. Tak się też stało.

Przepisanie było poruczone młodziutkiemu bratankowi pani Gieryczowej, Henrykowi, synowi brata jej najstarszego, Kazimierza... Chwila przepisywania stała się prawdziwie radosną dla tej Reytanówny, czczącej tak głęboko pamięć stryjowską. „Z zapałem rzuciłam się — opowiadała ona o wiele lat później — do odczytywania „Dyaryusza", nie mogłam się oderwać od tych papierów"... Gdy jednak wszystko już zostało przepisane, sięgnęła po kopię „Dyaryusza" i ze zgrozą zobaczyła, iż młodziutki kuzynek poopuszczał wszystko, co było dosadniejszem, silniejszem wyrażeniem, wszystko co było przesiąknięte głęboką wiarą religijną i mocą niezłomnych przekonań. Szczególnie starannie pousuwał, w kopiach dla Niemcewicza przygotowanych,

wszystkie zaklęcia „na Imię i Rany Zbawiciela i Matki Jego Bolesnej“... — „Ja, mówiła Gieryczowa do swych przyjaciół w Paryżu — chociaż nie byłam jeszcze wówczas tak silnie przejęta tą wiarą, która dziś, dzięki Bogu, jest całą moją siłą i pociechą, zgorszyłam się już samem uchybieniem rzetelności“... Energicznie zapytany młody przepisywacz, odparł po francusku zgorszonej i zmartwionej ciotce, że uważa to za rzecz zbyt dziwną mieszać do spraw politycznych imię Zbawiciela i Matki Chrystusowej... Odpowiedź ta napełniła ją niezmiernem oburzeniem...

Tak więc mędrkowanie niedowarzonego przepisywacza sprawiło, że materyał do ważnej chwili dziejowej dostał się do rąk Niemcewicza nie w swej pierwotnej formie, lecz zmienionej; może nietylko w tych szczegółach, które zauważyła Gieryczowa, lecz i w innych; nie w jednym ustępie, ale w wielu... Cały wszakże ten materyał historyczny, również w kopiach, wręczonych Niemcewiczowi, jak i w oryginałach, niezmiernie cennych, przechowywanych z taką czcią przez podkomorzyca, Stanisława Reytana, obecnie uważać możemy za zaginiony... Wypadki burzliwej epoki przeszkodziły Niemcewiczowi skreślić żywot, który zamierzał. Papiery Niemcewiczowskie uległy rozproszeniu... Czy zaś archiwum, złożone w „murowance“, w kolebce Reytana, ocalało — nie wiemy...

Późniejsze pokolenia już nie dorastały do posągowej miary mężów, których charakter, moc ducha odzwierciedlać miały ułamki pyłem okrytych, butwiejących papierów. Nie stawano na straży niemych resztek życia dawnego; późniejsi sami już go zrozumieć nie mogli, ono dla nich obcem się stało...

Iskry życia dawnego Hruszowieckiego dworu los zagasił, lub uniósł daleko... Jedną z iskierek przechowywała na bruku paryskim p. Anna z Reytanów Gieryczowa. — Tym zniczem dzieliła się z rzeszą tułaczą, ale niedługo... Kilkanaście lat tworzyła na obczyźnie dla syna, dla towarzyszy jego doli, ognisko domowe, przy którem snuła nić wspomnień o ludziach charakterów spiżowych, przejętych do głębi ducha swego zasadami nauki Chrystusowej. Te wzory zostawiała otaczającej ją gromadce, jako pokarm na dalszą pielgrzymkę tułaczą... „W głębi duszy mojej — mówiła do najbliższych ta spadkobierczyni zasad stryjowskich — pewna jestem, że ten tylko dla społeczeństwa owocnie pracować może, ten tylko, kto pojmie i spełniać będzie ofiarę przenajświętszą Zbawiciela“...

Rdza tęsknoty, która zbyt szybko strawiła na obczyźnie nie jedno istnienie, dosięgła wkrótce do dna zbolałego serca myślącej, mężnej niewiasty... Przeżyła chwile wielkich złudzeń 1848 r., weszła w późniejszą dobę nowych złudzeń, ale do jeszcze jednej chwili, która mogła rozniecić na krótko iskrę pogody i nadziei w jej sercu, sił już zabrakło... Legła na łożu cierpień, co nie miały być długiemi: wezwany lekarz zbliżał się do niej; poruszeniem dłoni wstrzymała go i, wznosząc łzawy wzrok w górę, ku wyżynom nieziemskim, wyszeptała: „tam mój lekarz...“ Ostatnie to były jej wyrazy. Po paru minutach duch jej uleciał do tych przestworzy, skąd oczekiwała ukojenia dla bolów i cierpień swego długiego żywota... Kiedy składano jej szczątki w mogile na obcej ziemi, rozpoczynał się rok 1857.

DAWNY ŻYTOMIERZ.

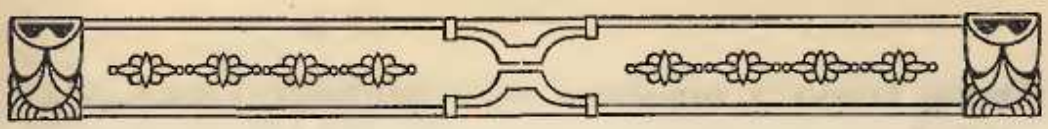

Dawny Żytomierz.

Wnet po zgonie cesarzowej Katarzyny, syn jej, cesarz Paweł I, regulując stosunki w kraju świeżo wcielonym do Rosyi, polecił, aby ustalono w jednem z miast stolicę dla wytworzonego nowego zarządu prowincyi, do składu której wchodził Wołyń i część województwa kijowskiego z Żytomierzem i Owruczem. Prowincya odtąd miała się nazywać gubernią wołyńską. Trzy miasta wskazywano jako najbardziej nadające się na stolicę zamierzonej gubernii: Zasław, Zwiahel i Żytomierz. Każda kandydatura na miasto gubernialne miała swych zwolenników, obrońców, i popierana była w stolicy. Za dni cesarzowej Katarzyny II (w latach 1795 i 1796) kandydatury Żytomierza nie brano w rachubę, dwa tylko inne miasta były przedmiotem rozważań — nawet ochrzczono je na swój sposób, dodając Zasławowi głoskę „I" na początku, a Zwiahel zdobył nazwę Nowogrodu Wołyńskiego, lubo na skraiskach wschodnich Wołynia leżał. Dopiero podczas rządów Pawła I zaczęto mówić o Żytomierzu, iż byłby najwłaściwszym na stolicę gubernii nowej. Pierwsza myśl powstała w umyśle szambelana, późniejszego senatora, Józefa Augusta Ilińskiego, który w swoim czasie miał możność zrobić przysługę temu monarsze, gdy ten był jeszcze na-

stępcą tronu, i pozyskał jego zaufanie i szczególne względy.

Legenda mówi, iż urzędnik wyższy, wysłany z Petersburga dla orzeczenia na miejscu, które z trzech miast tu wymienionych najbardziej nadaje się na stolicę nowej prowincyi, odbywał tę podróż w jesieni; brnął ze znużeniem wielkiem przez Polesie litewskie i ukrainne, przez Rohaczów, Żłobin, Mozyrz, Owrucz; wydawało mu się, iż zapada w coraz to większe bagna, obawiał się, że za Żytomierzem będzie droga jeszcze gorsza, błota bardziej grzązkie, kraj dzikszy. Nie pojechał więc dalej, lecz wysłał sprawodzanie z Żytomierza nad Newę, że zwiedził trzy miasta i przekonał się, że wszystkim warunkom najlepiej odpowiada Żytomierz. To rozstrzygnęło losy miasta, wówczas małego, o znaczeniu żadnem, acz już przeszło od stu lat odgrywającego rolę wojewódzkiego.

Poza ową legendą o urzędniku obawiającym się utonięcia w trzęsawiskach wołyńskich jest zapewne rzeczywistość inna: wpływy Józefa Augusta Ilińskiego, cieszącego się względami cesarza Pawła, mianowanego podówczas radcą tajnym, senatorem, obdarzonego dziedzictwem starostwa ułanowskiego na Podolu, zaważyć tu musiały stanowczo.

Dla senatora Józefa Augusta Ilińskiego wspomnienie Żytomierza łączyło się ze wspomnieniami osobistemi lat dziecięcych, gdyż jego ojciec, Jan Kajetan Iliński, był tam starostą grodowym i fundatorem Bernardynów, a on w tem miasteczku wojewódzkiem, ale o postaci wówczas ubogiej i wiejskiej, za dni pacholęcych często przebywał.

Senator Józef August Iliński korzystał ze swych wpływów ówczesnych, zaopiekował się więc

przyszłością Żytomierza, zrobił go stolicą prowincyi.

W chwili gdy Żytomierz kreowano na miasto gubernialne, w r. 1797, był on miasteczkiem o przestrzeni małej, ludności nielicznej, z przedmieściami stosunkowo obszernemi, tonącemi wśród ogrodów, łąk i pustkowi, mało uprawnych, porosłych po części krzakami.

Dawny Żytomierz wcale nie dotykał rzeki Teterowa, był od niej prawie o ćwierć mili odległy; zabudował się obok zamku wznoszącego się na stromem urwisku, na lewem wybrzeżu rzeczki małej, o dnie płytkiem, kamienistem, nazwiskiem Kamionka. Zameczek, który, zdaje się, liczył więcej na swą miejscowość obronną, od strony Kamionki, niż na umocowania sztuczne, był zawsze otoczony jedynie ziemnem obwarowaniem i palisadami, tudzież fosą głęboką od strony przeciwległej, a nie posiadał żadnych murów i baszt obronnych, z kamienia lub cegły wzniesionych. Kiedy go pierwotnie wznoszono, i kto wznosił, śladów kronikarskich brak. Legendy, przesuwające założenie zameczku i zarazem całej osady w głąb średniowiecza, nie posiadają uzasadnień. Wśród tych legend długo trwała tradycya o wojowniku, czy też mężu świątobliwym, o człowieku dobroczyńcy osady pierwotnej, o jakimś „Żytomierzu“, który miał być założycielem zameczka i skupionej przy nim osady. Legenda nie weszła do kronik, ale miała trwać długo w pamięci pokoleń. Niektórzy, pragnąc widzieć w niej odblask faktu dziejowego, przytaczają na usprawiedliwienie twierdzeń swych, że do końca XVIII w. lub nawet do początku wieku XIX, wśród chat mieszczan tamecznych istniał obyczaj świętowania

w dniu 19 listopada (st. st.), kiedy w spisie imion słowiańskich przypada „Żytomira". Zapytywani o powód obchodzenia uroczystości, nie umieli się wytłómaczyć, powoływali się tylko na starą tradycyę... Żadna wszakże tradycya, ani też notatka starych kronik, które mówią o różnych gródkach wołyńskich—dziś już nieznanych, zapomnianych, przechodzących z rąk do rąk książątek waregskich, jak Peremyl, Peresopnica *) — o Żytomierzu nie wspominają.

Dopiero pamiętna wyprawa Gedymina na Kijów, gdy ciągnął on przez Brześć, Wołyń i zajął po długich szturmach gródek żytomierski, po raz pierwszy na kartę dziejową wprowadza Żytomierz.

Stryjkowski twierdzi, że zdobycie Żytomierza, „bronionego przez wiele szlachty kijowskiej", miało miejsce na wiosnę r. 1320, inni o rok później podają ów fakt. Gedymin zmusił załogę zamku Żytomierskiego do poddania się i uprowadził jako jeńców na Litwę, warownię zaś osadził swymi bojownikami. Najdawniejsza to wiadomość historyczna o Żytomierzu.

Połączenie Litwy z Polską wpłynęło w sposób nader zbawienny na życie umysłowe i ekonomiczne ziem litewskich i wogóle całej spuścizny Gedymi-

---

*) Peremyl, ongi miasto, stolica księstwa, dziś wieś, własność Pletruszewskich w w. XIX; leży blizko Beresteczka, nad Styrem, na Wołyniu w pow. Dubieńskim. Pisał o nim, prostując wiadomości błędne o jego położeniu, M. Dubiecki, w „Tyg. Illustrowanym", w r. 1869. Peresopnica, w pow. Rówieńskim na Wołyniu o parę mil od Równego, już w w. XII stolica księstwa, później wieś mała, uboga, posiadała w połowie w. XIX 23 chaty. Od roku 1842 własność rządu.

nowej. Już pierwsze akta zespoleń dwóch państw, tak bardzo różnych pod względem swych praw i kultury, wprowadzają promień wolności, który skutecznie walczy z ciemnotą i niewolą, istniejącemi niepodzielnie wśród ziem owej spuścizny w. książąt litewskich. Osady małe, około zameczków grupujące się, zamieniają się na miasteczka i miasta zdobywające szybko prawa tak zwane magdeburskie. W połowie XV w. już widzimy Żytomierz w liczbie 14 miast litewskich, rządzących się prawem magdeburskiem, t. j. mających swój samorząd. Stoi więc pod względem prawnym w jednym szeregu z przedniejszemi miastami w. ks. litewskiego, jak Kijów, Kowno, Grodno, Wilno, Witebsk.

Pozycya geograficzna i zewnętrzne stosunki nie sprzyjają jednak rozwojowi Żytomierza. Zagony tatarskie wielokrotnie niszczą jego okolice, dobiegają do obronnego zameczku, za którego palisadami szuka ludność ocalenia. Zameczek, z wałów ziemnych i częstokołów drewnianych złożony, z trudnością daje to ocalenie, niemniej chronią się poza jego umocowania i zamożniejsze warstwy ze swem mieniem, i lud wiejski z ubogim dobytkiem. Pierwsze lata XVI w. dotkliwie odczuło miasto: najazdy tatarskie, nie sięgając wszakże zamku, pustoszą kraj dokoła. W owym czasie bunt Glińskiego owładnąć pragnął zamkiem, szturmy przypuszczał kilkakrotnie, zdobyć jednak nie zdołał... W dalszym przebiegu życia historycznego widzimy, iż ponad poziom sielski miasto niewiele urasta. Po unii lubelskiej, kiedy tworzono województwo kijowskie, jednem z jego trzech powiatowych miast został Żytomierz, odtąd starostwo grodowe, i takiem pozostał do następnego stulecia, przepełnionego

klęskami ogólnemi Rzeczypospolitej. Po odpadnięciu Zadnieprza i czasowej stracie — jak brzmiała umowa — grodu wojewódzkiego, przeniesiono do szczupłego i niezamożnego Żytomierza sądy ziemskie i grodzkie z Kijowa (w r. 1667) i temsamem uczyniono zeń stolicę województwa kijowskiego. Tymczasowość po traktacie grzymultowskim (w r. 1686) zamieniła się na stan trwały, gdyż Rzeczplta zrzekła się Kijowa. Odtąd Żytomierz jest miejscem sejmików — które tylko z początku, chwilowo odbywały się we Włodzimierzu, i miejscem „okazywania" całego rycerstwa województwa... Tak trwało do drugiego rozbioru, który, w r. 1793, wciela całe województwo kijowskie, a więc i Żytomierz, ze wschodnią częścią Wołynia, do państwa Rosyjskiego.

. . . . . .

W chwili, gdy przechodził Żytomierz pod berło obce, zajmował — jak mówiliśmy — przestrzeń szczupłą i miał wygląd małomiasteczkowy. Granice właściwego miasta biegły z kierunkiem dróg, prowadzących do sąsiednich miasteczek, Cudnowa i Wilska, które to trakty stały się z czasem ulicami— Cudnowską i Wilską. Długość obu ulic nie była znaczną. Pierwsza kończyła się na spadzistości góry, druga mierzyła znacznie mniej, niż połowę dzisiejszej długości. Obie ulice tworzyły dwa ramiona trójkąta, wśród którego legło właściwe miasto, trzecia linia to bieg Kamionki, nad którą, ponad stromą spadzistością, zawisł zameczek, oddzielony od miasta głęboką fosą. Zamek z kończynami miasta — jak widzimy nader małego — łączyła ulica „Zamkowa", dziś nazywająca się „Katedralną". Ulica Zamkowa u swego początku przy zamkowej fosie tworzyła „rynek", a drugim wylotem opierała

się o łąkę (dzisiejszy plac przed Bernardynami); na środku tej łąki tracono i grzebano różnych złoczyńców. Między ulicą Zamkową a Cudnowską był labirynt przecznic wąziutkich, nieregularnie zabudowanych; lecz ta gmatwanina uliczek, w XVIII w., wcale nie była drugorzędną dzielnicą, posiadała bowiem kościół Jezuitów i mury ich kollegium, mieszczące w sobie szkoły.

Katolicyzm wszedł na wybrzeża Teterowa i Kamionki znacznie wcześniej, niż Żytomierz wystąpił na widownię dziejową. Kroniki czeskie mówią, że chrześcijaństwo z Zachodu już w X wieku oparło się o wybrzeża Styru i patrzało na założenie Łucka. Źródła polskie wielokrotnie podają, iż pierwsze szeregi Dominikanów polskich, ze św. Jackiem na czele, docierały do Kijowa już około r. 1225, i mieszkańcy tameczni budowali wówczas — na przedmieściu, nazywającem się „Padół" — pierwszy kościół katolicki pod wezwaniem N. Maryi Panny, przy którym stanął klasztorek Dominikanów. W tejże samej epoce, lub w latach najbliższych owej chwili, a więc około r. 1230, kilku Dominikanów wytworzyło pierwszą misyę chrześcijańską w Żytomierzu: założono kościół, stanął klasztorek. Czasy to tak dawne, iż nawet dziejopis zakonu kaznodziejskiego, w XVII stuleciu, Okolski, nie umie już odpowiedzieć na pytanie, w którym roku miała miejsce erekcya Dominikanów w Żytomierzu. Trudno wymagać od archiwów, by coś przechowały, jako wskazówkę dla poszukiwaczy. W kraju otwartym dla najazdów nieustannych, gdzie miecz i pożoga nieprzyjacielska wciąż srożyły się, o zachowaniu śladów piśmiennych działalności religijnej nie może być mowy. Kiedy zaczęli pracować — nie

wiemy; to tylko jest pewne, że w XIII w. stanęli na owym straconym posterunku, że dawali życie swe w ofierze, stwierdzając niejednokrotnie krwią, u progów świątyni przelaną, swą wiarę i gorliwość apostolską. Roczniki zakonu kaznodziejskiego wymieniają czterech męczenników Dominikanów, zamordowanych przez Tatarów w klasztorku dominikańskim, żytomierskim: rzecz się działa jeszcze w epoce Jagiellońskiej. Klasztor z kościołem spalone, podczas jednej z późniejszych inkursyj nieprzyjacielskich, przestały być siedzibą zakonu kaznodziejskiego. Opustoszałe mury w XVII w. nie mogły być podniesione — czasy były zbyt ciężkie: czambuły Chmielnickiego w przymierzu z Tatarzynem, lub bez sprzymierzeńca, w morzu krwi topiły dorobek cywilizacyjny wielowiekowy. W wieku XVIII chwilowo byli tam Bazylianie, ale i ci, dla nieznanych nam powodów, ustępują. Mury podupadłej i zrujnowanej świątyni — zdaje się najpierwszej, jaka tam stanęła — do połowy XIX w. ruiną były. Rząd postanowił zużytkować resztki murów, by z nich wytworzyć katedrę prawosławną; domurowano do starych ścian podłużnych nowy wyniosły front. Robota szła pomyślnie, spodziewano się rychłego ukończenia, gdy niespodzianie, w nocy z 12 na 13 czerwca 1853 r. (st. stylu) straszny huk obudził znaczną część miasta. Nazajutrz smutny widok ukazał się oczom żytomierzan, cała część murów nowych runęła, pozostały tylko stare, poszczerbione ściany, świadkowie dawnych lat i innego życia. Rumowiska nowe pozostawały długie lata nietknięte, nie usuwano ich i świątyni nie wznoszono.

Wojny Chmielnickiego zniszczyły najzupełniej na znacznej przestrzeni siejbę życia duchowego:

świątynie wszelkich wyznań, wraz z wsiami i miasteczkami, zamieniono na zgliszcza, z których z trudem wielkim i bardzo powoli kraj podnosił się. Po stracie Kijowa, dyecezya kijowska długo była bez katedry, bez stolicy biskupiej. Tułano się. Była myśl tron biskupi kijowski wznieść w Białej-Cerkwi. Zaniechano jednak wprędce zamiaru; miejscowość pod względem bezpieczeństwa nie dawała rękojmi trwałości.

Osada była wprawdzie obronną, zbyt wszakże wysuniętą w głąb pól rozwartych i zbliżoną do kończyn chrześciaństwa i wszelkiej kultury, a więc wysoce zagrożoną. Myśl wytworzenia w Białej-Cerkwi stolicy biskupiej powstała w umyśle Jędrzeja Chryzostoma Załuskiego, około r. 1690, wprędce jednak została zaniechaną.

Szybko zmieniają się biskupi, pastorał kijowski z rąk do rąk przechodzi; brak bezpieczeństwa, brak kapłanów, brak funduszów, które poginęły, nie dają możności ustalić się.

Chociaż w XVII w. na tronie biskupów Kijowskich, a szczególniej po traktacie Grzymułtowskim, szybko rządcy dyecezyi zmieniają się, niemniej niejeden zostawia po sobie ślady trwałe. Posterunek był niebezpieczny, praca na nim ciężka, lecz nie zabrakło pracowników wielce zasłużonych. W czasach najcięższych, gdy hordy tłumów zdziczałych, prowadzone przez Chmielnickiego, wytwarzały ową „ruinę“, która pochłonęła owoce wiekowej pracy cywilizacyjnej, widzimy w Żytomierzu pastorał biskupów kijowskich, w r. 1656, po Wespazyanie Lanckorońskim, w dłoni pracowitej i dobroczynnej Tomasza Ujejskiego, Sandomierzanina, męża cnót wielkich i religijnej gorliwości. O nim dyssydenci

mówili: „niech wszyscy księża i biskupi kościoła Rzymskiego będą Ujejscy, a nas wszystkich do jedności łatwo z sobą zachęcą“... Współczesne świadectwa o nim twierdzą, iż powszechnie nazywany był „ojcem ubogich“. I słusznie. W żywocie jego opisanym przez X. Brictiusa T. J., na początku XVIII w., czytamy o takim fakcie: „widząc bez obuwia żebraka, senatorskie obnażył nogi, a ubogie pokrył“... *)

Zapał apostolski biskupa Ujejskiego spowodował, iż zrzekł się w r. 1677 godności swej i przywdział suknię zakonu Jezuitów, mniemając, że skuteczniej pracować będzie w szeregach pełnych karności tego zgromadzenia. Ostatnie dwanaście lat życia spędził w Kollegiach Jezuitów, umarł, w r. 1689, w Wilnie, miany za świętego. Czynione były później starania o jego beatyfikacyę.

Ciało „błogosławionego“ Tomasza Ujejskiego, w r. 1821, przy całym szeregu uroczystości religijnych, przewieziono z Wilna do Żytomierza, gdzie, złożone w katedrze, przypomnieniem stało się naszej pracy cywilizacyjnej w tych krajach zabużańskich, nieustannie wystawionych na wrogie podmu-

*) Żywo to nam przypomina analogiczne zdarzenie z arcybiskupem warszaw., wołyniakiem, Z. Sz. Felińskim, który po powrocie z 20-letniego wygnania, z Jarosławia, nad Wołgą, zamieszkawszy w r. 1883 na Podolu galicyjskiem, na wsi, w Zwiniaczce, między Dniestrem a Zbruczem, spełniał podobne czyny miłosierdzia. Nie brakowało ich zapewne i na wygnaniu, gdyż lud miejscowy nad Wołgą, przechodząc obok jego niegdyś mieszkania, trzykroć się żegna, a o powód zapytany, mówi: „tu mieszkał mąż Boży“, „zdieś Prawiednik żił“...) (Patrz: Maryana Dubieckiego, o arcyb. Z. S. Felińskim, artykuł w Encyklop. Wielk Illustr.).

chy, usuwające dorobek kultury chrześciańskiej, zachodnio-europejskiej...

Nie brakowało i przed Ujejskim i po nim ludzi wyższej miary wśród biskupów Kijowskich. Jak w epoce przed „ruiną", wyróżniał się, za dni Władysława IV, Andrzej Szołdrski, budzący tam wciąż stygnące życie religijne, tak później Samuel Ożga, dwaj Załuscy, wspomniany Andrzej Chryzostom i uczony Józef Andrzej, Kajetan Sołtyk, zostawiali po sobie pamiętne ślady pracy lub zbożnej myśli, której nieraz trudno było urzeczywistnić się.

Pierwsza ćwierć XVIII w. była epoką najsmutniejszą dla dyecezyi kijowskiej, jej stolica stanowczo już wysunęła się z rąk Rzeczypospolitej. Zatrważający stan kraju, pod wielu względami, odbija się i na polu życia religijnego. Obalone za dni „ruiny" świątynie i dawne fundacye długo podnieść się nie mogły. Był wciąż brak świątyń i kapłanów. Długo wahano się gdzie ustalić stolicę dyecezyi mocno zniszczonej. —

Wreszcie Jan Samuel Ożga, od r. 1722, biskup kijowski, postanawia zarząd dyecezyi tam wytworzyć, gdzie była nowa stolica województwa uszczuplonego i zniszczonego. Znalazł przytułek przy kościele parafialnym w Żytomierzu, wówczas jeszcze drewnianym.

W pierwszej połowie XVIII w. Ożga rozszerza mały, ubogi kościołek przy ul. Zamkowej w Żytomierzu, zamienia go na katedrę biskupią, murowaną. Nim przerabianie uskuteczniono, nim można było odemknąć podwoje tej nader skromnej katedry, Ożga odprawiał pod namiotami nabożeństwo. Mieszkania dla biskupa i kapituły stanęły znacznie później, za pasterstwa Kajetana Sołtyka,

które trwało nader krótko. — Od biskupa Ożgi (od r. 1724) Żytomierz staje się stolicą dyecezyi kijowskiej.

Już w połowie epoki Saskiej widzimy pewne, maluczkie wprawdzie, niemniej ukazujące się wciąż, odblaski uspokojenia stosunków wewnętrznych, po wstrząśnieniach XVII w., po wojnie Karola XII, po ciągłych przesuwaniach się po ziemiach Rzpltej wojsk Piotra I. I dla Żytomierza w owej epoce nastąpiły dni pewnego uspokojenia: stają instytucye, mające cele umoralniania i rozszerzania światła. Kazimierz Stecki, pierwszy z tej rodziny, wzniósłszy się do krzesła senatorskiego, kasztelanii kijowskiej, upamiętnia się fundacyą misyi Jezuickiej; buduje dla niej gmach duży, murowany z kościołem, pod warunkiem, iż Jezuici będą utrzymywali szkołę trzyklasową. Rzucono w ten sposób, w r. 1724, pierwsze podwaliny szkoły średniej w Żytomierzu. Fundacya Steckiego, potwierdzona na sejmie r. 1768, rozszerzona została przez męża wielkiej nauki, Józefa Andrzeja Załuskiego, biskupa kijowskiego, który do owych trzech klas dodał czwartą. Po rozwiązaniu zakonu i wytworzeniu Komisyi Edukacyjnej, zarząd i plany nauki przechodzą do rąk rzeczonej Komisyi, która z dotychczasowej szkoły duchownej wytwarza świecką, „wydziałową“, dla województw kijowskiego i bracławskiego, szybko rozwijającą się i zapełniającą się tłumnie uczniami. Liczba uczących się po dziesięcioletniem istnieniu tej szkoły „wydziałowej“ — odpowiadającej dzisiejszym gimnazyom, a składającej się z 6 klas — w 1784 r. 600 uczniów wynosiła. Ilość to znacznie większa, niż była liczba uczących się po siedem-

Ruiny kościoła jezuitów w Żytomierzu.

dziesięciu latach w gimnazyum żytomierskiem, w połowie wieku XIX.

Szkoły Żytomierskie w epoce po przekształceniu ich, po r. 1831, wydały kilkunastu ludzi, którzy w życiu naszego społeczeństwa odznaczali się duchem obywatelskim. Takimi wśród innych byli: Apollo Korzeniowski, Zygmunt Sierakowski (stracony w r. 1863), Leonard Sowiński, Władysław Kozłowski, Wład. Kamieński, Dr. med. August Kwaśnicki, Dr. Jan Kwaśnicki, Dr. Wacław Lasocki, Adolf Kruczkowski, Dr. Adolf Trachtenberg... Ścisłość każe zastrzedz, że duch obywatelski, czy też wiedza szersza, lub rozwój uzdolnień owych uczni gimnazyum żytomierskiego rozwinęły się przeważnie nie pod wpływem rzeczonej szkoły; lecz gniazda rodzinne tych ludzi, tradycye narodowe, wówczas jeszcze — w połowie XIX w. — niemilknące, główną tu rolę odegrały, nie zaś szkoła, już wtedy obca.

Mury pojezuickie, gdzie stanęła „szkoła wydziałowa", i tam istniała dość długo, przeszły z czasem do XX. Misyonarzy. Jeszcze za dni rządów biskupa Sołtyka, w r. 1757, chciano mieć księży Misyonarzy w Żytomierzu dla kierowania seminaryum duchownem, które założył Sołtyk, wchodząc w układy z Misyonarzami w Płockiem; myśl tę oczywiście bardzo popierał Józ. Andrz. Załuski, mąż również uczony, jak i gorliwy pasterz, ale jego wywiezienie do Kaługi, gdzie półszosta roku strawił, opóźniło ich przybycie do dyecezyi kijowskiej. Dopiero w r. 1783 przybywają Misyonarze do Żytomierza, obejmują mury pojezuickie i zarząd seminaryum, w niem uczą i niem kierują, aż do r. 1842. Byli oni tam pospolicie nieliczni; zaledwie 4 bywało: trzech uczyło, czwarty kapelano-

wał w zgromadzeniu Szarytek, o których później powiemy.

Niektórzy z Misyonarzy żytomierskich zostawili po sobie pamięć chlubną pracy zbożnej, bądź życia bardzo świątobliwego *). Takim przedewszystkiem widzimy Józefa Stańczyka (ur. 1787, śluby zakonne składał w r. 1807). Całe życie pełne pracy i umartwień przebył w Żytomierzu i tam umarł in odore sanctitatis, w r. 1838. Mąż ten nauki a życia wielce ascetycznego piastował godność profesora szkoły alumnów, to kapelana Szarytek, cieszył się niezmierną wziętością i czcią w mieście **). Z kaznodziejskiej wymowy słynął X. Reddyk. Ostatnim superiorem XX. Misyonarzy w Żytomierzu widzimy X. Wincentego Brazewicza, wizytatora klasztorów, którego urząd skończył się wraz z supresyą zgromadzenia, w r. 1842. Ostatnim zaś członkiem zgromadzenia był X. Ignacy Boratyński, później długoletni katecheta gimnazyum żytomierskiego. Doczekał się on na swem stanowisku wielce smutnej chwili, kiedy mu kazano religię wykładać w języku obcym dla uczniów. Chwilę tę bolesną, która w pamięci młodzieży pozostała, odtworzyło w rzewnym a pięknym obrazku fejle-

---

*) Patrz dzieło nader rzadkie, zawierające historyę wszystkich domów Misyonarzy w Polsce, p. t. „Memoires de la Congrégation de la Mission". Paryż, 1864. Tom I.

**) Do niezwyczajnych jego umartwień zaliczyć potrzeba fakt, iż prawie przez całe życie nie spał na łóżku, lecz siedząc na krześle. Przypomina to ascetę X biskupa sufragana warszawsk., Pawła Rzewuskiego, od r. 1865 długoletniego wygnańca w Astrachaniu, który przez lat przeszło trzydzieści w fotelu tylko snu zażywał i to na krótko.

tonowym pióro wysoce cenionego pisarza, Adama Krechowieckiego, ówczesnego gimnazisty i uczestnika owych wrażeń ostatniej lekcyi religii w języku ojczystym, gdy profesor płakał i uczniowie płakali... *)

Założenie instytucyi religijno-filantropijnej, jaką był klasztor SS. Miłosierdzia, zwanych Szarytkami, zawdzięczał Żytomierz troskliwej myśli i ofiarności biskupa J. A. Załuskiego. Po powrocie z wygnania w Kałudze (w r. 1773) złożył on w depozycie u bankiera Teppera 30,000 zł. pol. na założenie klasztoru Sióstr Miłosierdzia, w dyecezyi kijowskiej. Śmierć niespodziana (w r. 1774) nie pozwoliła mu oglądać urzeczywistnienia swej myśli filantropijnej; niemniej jednak zabiegi rozpoczęte wydały owoce. W roku jego zgonu, sprowadzane przez niego Szarytki przybyły z Pułtuska i w jednym z małych drewnianych domów miasteczka zostały umieszczone. Wkrótce dom ten spłonął. Kupiony inny przy katedrze był za szczupły na szpital i szkołę dla sierot. Już w XIX w., chcąc rozwinąć swą działalność opieki nad chorymi i dziećmi, wyniosły się one o półtora kilometra poza miasto. Nad brzegiem Teterowa, u krawędzi obszernego gaju, w miejscowości wyniosłej, suchej, zdrowej, oddzielonej od miasta przestrzenią pustego pola, które zaczęło nosić nazwę „Plac panieński", wytworzyły z fundacyi biskupa J. A. Załuskiego nową siedzibę dla swych chorych i sierot. Cesarz Aleksander I, za wstawieniem się gubernatora Bartłomieja Giżyckie-

---

*) Piękny ten szkic Ad. Krechowieckiego, umieszczony przed laty w „Gazecie Lwowskiej", nie doczekał się dotąd przedruku w zbiorze drobnych jego utworów.

go, powiększył ich uposażenie, nadał im Wilsk; mogły odtąd znacznie rozszerzyć swą działalność humanitarną. Zawsze w ich klasztorze było 14 sióstr, opiekujących się 50 chorymi, wychowujących i uczących sieroty — 160 dziewcząt i 60 chłopców. Prace te wszakże zostały sparaliżowane: w r. 1842 odebrano im uposażenie, jakie posiadały w ziemi. Pozbawione środków materyalnych mniej mogły robić dobrego, pracowały jednak na polu swego powołania aż do chwili, gdy po r. 1863 wypędzono je, a gmachom dano inne przeznaczenie.

Przetrwały więc Szarytki znacznie dłużej, niż Misyonarze. Gmachy tych ostatnich, spuścizna po Jezuitach, uległy profanacyi zupełnej. Kościół rozebrano, budynki klasztorne zamieniono na więzienie. Kościół Jezuitów w Żytomierzu był wyjątkowo pięknym gmachem, nietylko w tem mieście, ale w całej wschodniej połaci dawnej Rzeczypospolitej. Koniec XIX w. tak wyzbył się u nas z wszelkich tradycyi, nawet niezbyt odległej epoki, iż mury „pojezuickie", „pomisyonarskie" dziś nazywają „pofranciszkańskimi", wcale nie wiedząc, iż Franciszkanie nigdy nie byli w Żytomierzu.

Widok kościoła pojezuickiego na jakimciś rysunku, współczesnym istnieniu świątyni, spotykano niegdyś w zakrystyi katedry żytomierskiej, prawdopodobnie dotąd tam istnieje.

Więzienne mury, które w odległej epoce patrzyły na pierwsze szkoły żytomierskie, gdzie witano wizytatorów przybywających z ramienia Komisyi Edukacyjnej, już podczas doby znacznie późniejszej, w ciężkich czasach drugiej połowy XIX w., niejedno cenne wspomnienie zdobyły; przywarły one do tych starych głazów, cegły o nich mówią —

może i w pamięci dzisiejszych pokoleń co pozostało. Z murów tych szedł na śmierć Piotr Choynowski; w obszernej izbie na piętrze, noszącej nazwę № 15, mieszkali liczni ziemianie i nieziemianie bliższych okolic, jak sędziwy, długoletni emigrant po r. 1831, Ezechiel Głębocki, jak Michał Gruszecki, jak lekarze Józef Łagowski i Wacław Lasocki, znani szeroko: pierwszy — zbieracz flory kaukaskiej i nadbajkalskiej, drugi — zasłużony działacz społeczny, założyciel Muzeum ziemi lubelskiej i innych pożytecznych instytucyj, oświecających i podnoszących ekonomicznie lud tameczny...

Wypadki polityczne z końca XVIII, lub z XIX w., niewiele obijały się o węgły cichej mieściny, niemniej zostawiły swe ślady.

. . . . . .

Przedewszystkiem prace przygotowawcze walki Kościuszkowskiej zawadzały o okolice Żytomierskie, Owruckie, Berdyczowskie. Pierwotne plany tych robót tajemnych skupiały się w Mozyrskiem, w dłoni oboźnego w. litew., Karola Prozora, lecz sędzia grodu Żytomierskiego, Dubrawski, odegrywał w nich rolę niemałą, co pociągnęło za sobą udział i następstwa tego udziału wielu Żytomierzan.

W r. 1812 twarda dłoń generała Ertela zaciążyła nad miastem. Doszukiwał się on śladów sympatyi dla kampanii Napoleońskiej. Wówczas odbyło się parę krwawych egzekucyj z rozkazu tego generała, i omal nie został stracony w Żytomierzu, podejrzywany o sympatye dla Francuzów, Wojciech Prószyński, ziemianin z Owruckiego. Już był do słupa przywiązany i skierowano karabiny do jego piersi; goniec urzędowy, od wyższych władz z Ki-

jowa przybyły, wstrzymał w ostatniej chwili egzekucyę. Pruszyńskiego do Kijowa odwieziono.

Listopadowa epoka wstrząsnęła bliskiemi okolicami miasta, lecz nie miastem. Dochodził szczęk oręża z pod Mołoczek, z Owruckiego; echo śmiałego pochodu Karola Różyckiego rozbrzmiewało szeroce, ale miasto nie ucierpiało, życie skupiało się jeszcze wtedy prawie wyłącznie na wsi. Dwory ziemian, zaścianki szlacheckie przenikały prądy zapału i nadziei, dreszcze obaw... Gdy jednak wprędce opadły liście „co wyrosły wolne" i nadszedł drugi listopad owej epoki, Żytomierz patrzał na ciągnące szeregi jeńców... Umieszczano ich w budynkach przylegających do kościoła Bernardynów *).

Wówczas na widowni życia mieściny ukazuje się postać pełna poświęcenia młodej dziewczyny, opiekunki jeńców — nazwisko jej Joanna Boczkowska. Powszechnie jednak znaną była pod imieniem „Joasi"... Młoda, niezamożna dziewczyna skupiała w sobie całą troskliwość o jeńców i dobroczynność miasta. Ona czuwała nad chorymi, odziewała i żywiła przeciągających przez miasto, lub czas dłuższy tam więzionych i sądzonych. Umiała zdobywać dla swego miłosierdzia środki pieniężne od ludzi zamożnych, umiała omylać czujność straży, przenikać do cel więziennych, nieść słowo pociechy i otuchy, a nawet przyczyniła się do ucieczki paru skazańców. Kasztelan Narcyz Olizar, na którego ferowano wyrok śmierci, już po zapadłym wyroku uciekł z

*) Lucyan Siemieński, który był wśród tych jeńców, mówi, w jednej ze swych prac, że więźniów „umieszczono w budynku przyległym f a r z e". Kościoła noszącego taką nazwę w Żytomierzu nie spotykano. Inne źródła wspominają o budynkach Bernardyńskich.

z murów Bernardyńskich, dzięki pomocy i poświęceniu „Joasi“ i poczęści jej brata Antoniego Boczkowskiego.

Działalność ofiarna „Joasi“, niesienia pomocy nieszczęściu, trwała lat parę, t. j. tak długo, jak długo toczyły się sprawy wynikłe z powodu walki listopadowej. Gdy fale wypadków doszły do pewnej równowagi, Joasia zaślubiła p. Kwiatkowskiego, który był jednym ze skazańców i dzięki jej zabiegom wrócił z wygnania; niemniej jednak i w tych nowych warunkach życia prowadziła dalej swą patryotyczną, ofiarną działalność redempcyjną. Pole do tych prac nie było zamknięte, trwały i później skazywania na podróż niepowrotną, nieszczęść nie brakowało. Do smutnych, zgnębionych szła ze spokojem i pogodą prawdziwego anioła pocieszyciela, dla tego też słusznie ją nazywano „Cichym Aniołem“... „Widywałem Joasię w różnych wypadkach — mówi L. Siemieński — w wypadkach często tak trudnych, że zwyczajna kobieta byłaby sto razy straciła głowę, widywałem zawsze czynną, wszędzie obecną, gdzie ratunek był potrzebny, ucierającą się z władzami, kołatającą do serc bogaczy“... *) Zdawało się, że los ją chroni od prześladowań. Stało się inaczej. —

W r. 1836 jakaś nieostrożna korespondencya z zagranicy, jakieś dawne podejrzenia spowodowały jej uwięzienie. Przypomniano ucieczkę kasztelana Olizara, przypomniano niedawne zniknięcie jakiegoś więźnia, przez Austryę wydanego, widziano w

*) Lucyan Siemieński. — „Cichy Anioł“. — Paryż. 1845. — Dziennik Domowy, pismo poznańskie, r. 1842.

tych redempcyach rękę dobroczynną Joasi, przypisywano nawet jej zabiegom wykradzenie z więzienia marszałka Stępowskiego, acz ona w tem udziału nie brała — i osnuto z tych zarzutów sprawę groźną.

Kilka miesięcy, trzymana w więzieniu, surowo indagowana, smagana rózgami, znieważana w swej godności niewieściej, zapadła mocno na zdrowiu; gdy była bliską zgonu wypuszczono ją na porękę. Po paru dniach tej niby wolności umarła. Zgon jej, zwłaszcza w tak niezwykłych warunkach, sprawił w mieście wrażenie olbrzymie, a pogrzeb stał się manifestacyą oddającą hołd poświęceniu i patryotyzmowi. Tłumy, jakich nigdy przedtem razem zebranych w Żytomierzu nie widziano, odprowadziły jej zwłoki do katedry, nazajutrz zaś jeszcze większa ciżba w poważnem milczeniu towarzyszyła trumnie na cmentarz. Cztery mowy, ziemian i obywateli miasta — Feliksa Iwanowskiego, Frankowskiego, Konstantego Millera, Zenona Mogilnickiego — wypowiedziane z niemałym zapałem w kościele, na ulicach miasta i na cmentarzu, głosiły o uczuciach tych tłumów. Dziedziniec kościelny, ulicę Wilską, i dalej drogę aż do cmentarza, kwiatami usłano... nastrój niezwykle podniosły miasto ożywiał... *) Nie przeszkadzano uroczystości, ale, wnet po pogrzebie, odebrano manuskrypta przemówień od mówców i, po przeprowadzonych dochodzeniach śledczych, zapadł wyrok wywiezienia w głąb Rosyi czterech młodych oratorów, za to, iż „ośmielili się mieć zuchwałe i nierozsądne mowy". Feliks Iwanowski

---

*) Konstanty Miller-Kossowski. Uzupełnienie broszury L. Siemieńskiego p. t. Cichy Anioł.

został internowany w Permie, inni również w miejscowościach ościennych Uralowi. Ta banicya, trwająca wszakże nie dłużej jak rok, uwieczniła jeszcze bardziej w tradycyach miasta pamięć „Joasi".

W szeregach emigracyi, we Francyi, długie lata wspominano młode, szlachetne dziewczę z Żytomierza.

W dziennikach emigracyjnych, jak w „Trzecim Maja", wydawanym w Paryżu, w „Dzienniku Domowym", wydawanym w Poznaniu, w kilkanaście lat po zgonie „Joasi" pisano o niej szeroce, wskazując jej poświęcenie, charakter niezłomny, siłę ducha łamiącą kraty i zapory, by nieść pomoc ziomkom.

. . . . . .

Z wązkich, ciasnych, brudnych labiryntów uliczek, otaczających mury pojezuickie, wychodząc na plac, ongi zamiejski, który był, jak powiedzieliśmy, łąką tracenia złoczyńców, a obecnie jest środkową dzielnicą miasta, spotykamy kościół „pobernardyński", niekiedy nazywany „seminaryjnym". Stanął on na zgliszczach fundacyi Bernardynów Jana Kajetana Ilińskiego, starosty żytomierskiego. W r. 1761 wzniósł on drewniany kościołek i szczupły, również drewniany klasztor dla Bernardynów. Zakonnicy ci, osadzeni w zamiejskiej dzielnicy, utrzymywali szkółkę elementarną dla ubogiej dziatwy przedmieść, co trwało do ich usunięcia i zniesienia klasztoru w r. 1832. Przed kasatą swego klasztoru zaczęli Bernardyni zamiast drewnianego murować dla siebie kościół, lecz ich niespodziane wypędzenie nie pozwoliło im dokończyć budowy. Po nich objęło mury i całą ich posiadłość duchowieństwo świeckie; później zaś w budynkach, co

stanęły na posadzie klasztoru bernadyńskiego, umieszczono seminaryum dyecezyalne; dlatego więc stosunkowo nowy ten kościół (liczy 76 lat istnienia) nosi nazwisko pobernardyńskiego lub seminaryjnego, przypominające i dawne i nowsze dzieje owego terytoryum. W murach jeszcze niewykończonych tego kościoła, w r. 1838, odbywały się wybory ziemian wołyńskich.

XVIII wiek, który przynosił Żytomierzowi różne, nieznane uprzednio instytucye, był świadkiem stawania seminaryum dla alumnów unickich. X. Michał Prymowicz, oficyał unicki kijowski, bardzo znaczną sumę, jak na lata owoczesne, ofiarował na tę instytucyę w r. 1776. Miała ona posiąść gmach oddzielny, blizko zamku, przy cerkwi unickiej Przemienienia Pańskiego. Ofiara X. Prymowicza składała się z 200,000 zł. pol., a Rzeczpospolita w uchwale sejmowej, zatwierdzającej tę fundacyę, rozszerzała terytoryum, dodając place. Zmiany i wstrząśnienia krajowe nie pozwoliły fundacyi dokończyć, a stan rzeczy po rozbiorach zupełnie ją uniemożebniał. Były to czasy, gdy wśród licznych reform rozpoczynanych, lub zamierzanych, niemało troszczono się w sferach kierujących w Rzeczypospolitej o podniesienie wykształcenia młodzieży duchownej unickiej. To sejmowe powiększenie uposażenia na seminaryum unickie, zakładane przez X. Prymowicza, jest jednym z dowodów. Jeden z najwyższych umysłów sejmu czteroletniego, Hugo Kołłątaj, pragnął, by alumni obu obrządków razem kształcili się, by, rozdzieleni rodzajem obrządku i językiem liturgii, nie rozdzielali się jeszcze bardziej różnem wychowaniem, ale — jak pisał — „wspólnie mieszkając i teżsame nauki pobierając,

mogliby jednakowo ukształcić się"... Na urzeczywistnienie tej myśli i innych reform zbawiennych zabrakło już czasu — dzień upadku Rzplitej nadchodził.

Unia w dawnym Żytomierzu, z końca XVIII w., posiadała dwie cerkwie unickie, z tych — jedna w rynku, blizko zamku, druga na krańcach miasta, przy zjeździe ku Kamionce. W tamtej dzielnicy, już przedmieściowej, istniał nader starożytny (pod wezwaniem św. Mikołaja) kościołek cmentarny zamkniętego oddawna, najstarszego cmentarza. W połowie zeszłego wieku już był ruiną. Jego fundacya zapewne sięga czasów zbliżonych do osiedlenia się pierwszych Dominikanów w Żytomierzu.

Oprócz tu wymienionych kościołów katolickich obu obrządków, istniała jeszcze jedna świątynia, której pamięć najsłabiej zapewne zarysowuje się w umysłach żytomierzan dzisiejszych. Była to świątynia „staroobrzędowców" — tak zwanych niegdyś u nas „Piliponów". Istnienie tej świątyńki drewnianej, ubogiej, z grubych balów zaledwo ociosanych zbudowanej, istnienie przez nikogo nie niepokojone, w ciągu półtorasta lat, pod opiekuńczemi skrzydłami Rzpltej, jest świadectwem chlubnem naszej, wobec wszystkich wyznań, tolerancyi.

Rozmaici sekciarze rosyjscy, przy końcu wieku XVII i później, uciekając ze swej ojczyzny, do Polski przenosili się, szukając pod naszem niebem tolerancyjnem spokojnego wyznawania swych wierzeń religijnych. W różnych okolicach Rzpltej zakładali swe osady, przychodząc, jak się wyrażano „na pień i na kłodę", to jest na trzebieżach sadowili się pospolicie, zamieniając karczowiska na pola uprawne, budując tam słobody a w nich swe świą-

tynie. Liczne ich osady były na tak zwanym „Trakcie Zapuszczańskim“ (dzisiejsze Suwalskie), na Inflantach, Białejrusi i pod Żytomierzem. Przybycie do Żytomierza przypada zapewne na początek XVIII w., może wcześniej, gdy terytoryum późniejsze Bernardyńskie zamiejskiem było. Poza tem bowiem terytoryum posiadali oni małą osadę — może z kilku zaledwie domów złożoną — a wśród niej swoją świątynię. Kiedy Żytomierz wszedł do składu państwa Rosyjskiego i miastem gubernialnem został, po uregulowaniu ulic, osada Piliponów stała się przecznicą, łączącą ulice Kijowską z Berdyczowską i otrzymała nazwę ulicy „Pilipońskiej“. Cerkiewka posiadała front zwrócony ku ulicy, ale była prawie niewidzialną, otaczał ją ogród.

Tak trwała lat dziesiątki, omal nie dwa wieki. Nikt nie zakłócał spokoju tego oratoryum, ani spokoju jego gospodarzy. Daremnemi były nawoływania, dochodzące z dawnej ojczyzny do sekciarzy, by wracali, daremnemi i manifesty cesarzowej Elżbiety, nawołujące do powrotu — nie wracali. Rozbiory Polski wcieliły ich do Rosyi. Wywołało to dla nich klęskę. Staroobrzędowcy z Białejrusi, z Mohylowszczyzny, zostali z rozkazu Katarzyny II zabrani z rodzinami i dobytkiem i przeniesieni na łono dawnej ojczyzny. Wyprowadzono ich aż za Bajkał i przymusowo kolonizowano. Wytworzyli tam dwie gminy wśród pustyń buryackich, nazywające się Muchur-szibir i Tarbagataj. Zachowali swe wierzenia religijne i pamięć o Polsce, która była ich matką przybraną, lecz snać dobrą, gdyż jedynie siła oderwała od niej. Już drugie stulecie upływa, jak z nad górnego Dniepru przerzucono ich za Bajkał, a jeszcze dotąd ludność syberyjska

nazywa owych staroobrzędowców polakami. Ta nazwa świadczy o starej a życzliwej tradycyi.

Żytomierskim staroobrzędowcom wiodło się lepiej, niż ich współwyznawcom w Mohylowszczyźnie. Wszedłszy dość późno pod berło rosyjskie, w r. 1793, nie byli zabierani; wprędce zaś rozpoczęte rządy cesarza Pawła I, znanego ze szlachetnych usposobień tolerancyjnych, utrwaliły nadzieję spokoju. Dopiero około r. 1853, generał Sinielnikow, przeniesiony z gubernatorstwa woroneskiego na wołyńskie, zburzył ich świątynię. Rzecz przeprowadził dyplomatycznie, acz dyplomatą nie był. Pan ten, wychowany wśród otoczenia głośnego Arakczejewa, dużo skorzystał z poglądów mistrza: lubił jednostajność, wrogiem był rozmaitości. Przybywszy do Żytomierza, zdziwiony, że w niczem nie przypomina ani Woroneża, ani innych miast wschodnich, zaczął go przebudowywać bardzo gorliwie. Prostował dawne ulice, wytykał nowe, zapełniając je, zamiast domami, parkanami, nadawał im nazwy, które nic nie miały wspólnego z istniejącymi stosunkami i z trudnością pozostawały w pamięci mieszkańców. W zapale reformatorskim przekształcania zewnętrznej postaci miasta, postanowił przeprowadzić ulicę przez ową cerkiewkę staroobrzędowców: rozkaz wykonano; świątynia niespodzianie znalazła się na środku ulicy. Dla symetryi zniszczyć ją należało — i zniszczono.

Prawosławnych świątyń Żytomierz przy końcu XVIII wieku wcale nie posiadał, nie miał bowiem wyznawców kościoła prawosławnego. Urzędnicy, którzy zaczęli przybywać jednocześnie z utworzeniem gubernii, stali się pierwszym zawiązkiem gminy religijnej tego wyznania. Pierwotnie wynajęto

dom na cerkiew przy ul. Wilskiej, później, po zniesieniu unii, przybyły dwie przedtem unickie cerkwie; wreszcie, zużytkowano, jak wskazaliśmy, mury dawne podominikańskie, ale szło to opornie. To, co wzniesiono, runęło. Przekształcający wówczas postać miasta gubernator, Sinielnikow, zbudował tymczasową malutką, dość kształtną, drewnianą cerkiew na katedrę prawosławną i jednocześnie skłonił jednego z kupców rosyjskich do hojnej ofiary na cerkiew większą, pierwszą murowaną, która stanęła niedaleko zburzonej świątyńki staroobrzędowców.

Tak więc Żytomierz dopiero w epoce wojny Krymskiej zaczął zapełniać się cerkwiami.

. . . . . .

W pierwotnym Żytomierzu żydów wcale nie było.

Mieszczanie w skardze swej na żydów, w połowie XVIII w., piszą, iż żydom wcale nie było wolno mieszkać w obrębie miasta, że dopiero starostowie zaczęli lekceważyć dawne przywileje i pozwalać żydom rozpościerać się w mieście, których zuchwalstwo dochodzi do szczytu, budować bowiem zaczynają synagogę w rynku. Skarga ta dobitnie wskazuje, iż pierwsze osiedlenie się żydów w Żytomierzu przypada na początek XVIII w. i trwa pod osłoną protekcyi starostów. Wciskanie się żydów do miasta, które od nich obwarowane było przywilejami, szybko posuwało się, gdyż już w r. 1765 liczono domów żydowskich sto kilkadziesiąt. Wszystkie protesty mieszczan pozostają bez następstw.

Zamek żytomierski — najdawniejszy punkt pierwotnej osady legendarnego „Żytomira“ —

oddawna zniknął nie tylko z powierzchni ziemi, ale nawet z pamięci mieszkańców; najmniejszych jego szczątków nie pozostało; sama nazwa poszła w zapomnienie. Obcą, niezrozumiałą nazwą od wielu lat mianują terytoryum, na którem stało zamczysko, puklerz okolicy, stawiający czoło różnym najazdom, od Gedyminowego oblegania do obrony Konfederatów Barskich, zamykających się w nim chwilowo. Nazywają miejsce zamczyska dawnego „Zwiahincówka". Resztki dawnego zamczyska zgorzały w r. 1802, d. 31 paźdz. (st. st.).

Jeden z licznych gubernatorów, rządzących Wołyniem od końca wieku XVIII, upamiętnił swe krótkie rządy zakładaniem ogrodu na zgliszczach zniszczonego zamczyska. Myśl była dobra, ale wykonanie nie odpowiedziało zamiarom. Zaczęto od dania imienia miejscowości i ogrodowi, który tam miał stanąć, drzew wszakże nie zasadzono. Pozostał tytuł — dzieło nie zostało wytworzone. Zabrakło zapewne czasu; pana Zwiahincewa przeniesiono do innej prowincyi — rzecz upadła.

Już w połowie XIX w. mówiono jako o wydarzeniu dawnem, iż gubernator Zwiahincew zakładał ogród, urządzał miejsce zabaw dla miasta na zgliszczach zamczyska, przedsięwzięcia wszakże nie dokonał: pamiątką po przedsięwzięciu upadłem i inicyatorze pozostała nazwa „Zwiahincówka", która najzupełniej zatarła odwieczne dziejowe wspomnienia o zamku.

To rzekome miejsce zabaw przed kilkudziesięciu laty było już pustkowiem, śmietniskiem, o paru małych, więdnących drzewkach; lecz z tego pustkowia roztaczał się piękny widok na wąwóz u podnoża góry, na dnie którego płynęła po ka-

mieniach rzeczka — Kamionka — poza nią, na wzgórzach przeciwległych, chaty przedmieść i wreszcie las. Las ten był przed wiekami pobojowiskiem, polem mocowań się bojowników nieznanych, w epoce również nieznanej, gdyż większa część jego drzew urosła na mogilnikach licznych, zajmujących przestrzeń znaczną. Strzała wypuszczona z góry zamkowej mogła dosięgnąć owego mogilnika prastarych czasów... Przypuszczać można, iż to pobojowisko walk Gedyminowych o posiadanie zamczyska, lub też ślady życia i bojów jeszcze dawniejszych.

Zamek oddzielała od miasta fosa głęboka, później zasypana, i wał wyniosły. Wszystko to zniknęło. Jak również zniknęły palisady uzupełniające obronę, i brama z wieżą bardzo wysoką, i budynek duży. Lustracya z r. 1765 widziała jeszcze ten gmach wewnętrzny, obszerny i zapisała, że wszystko było z drzewa: — i brama, i wieża, i domostwo. Prawie do końca istnienia Rzeczptej trzymano tam załogę. Zdaje się, iż załoga była więcej dla honoru domu, niż dla obrony; ilość bowiem żołnierza była szczupła, uzbrojenie z wielkimi brakami.

Postać zamku wskazujemy według lustracyi ostatniej, przed dobą rozbiorową, ale dawniejsza była inna, znacznie wspanialsza. Pożary, owa plaga ziem naszych, obracająca nader często w popiół całe dzielnice stolicy, nietylko miasta prowincyonalne, nawiedzały i zamek żytomierski. Przy końcu panowania Zygmunta Starego spłonął doszczętnie zamek, a z nim przywileje poprzednich królów, dane mieszczanom. Wszakże odbudować się zdołał wspaniale, gdyż lustracye z r. 1621 mówią o budynkach, których już nie widziano w wieku następnym. Podają one, że zamek pięć wież posiadał,

że miał trzy bramy i kilka budynków. Zniszczyły to najzupełniej krwawe, niszczące wszystko na szlakach swego przejścia zagony Chmielnickiego. Zamek i otaczające go miasteczko od owych dni pożogi już w ciągu stulecia podnieść się nie zdołały.

Ostatnią walką, jaka toczyła się u palisad i wałów żytomierskiego zameczku, była obrona tego posterunku przez Konfederatów Barskich.

Zachodnia i północna część Kijowszczyzny, to teren walk konfederackich. Liczna, zamożna szlachta tameczna, osobiście, pojedyńczo, lub na czele pocztów swych, stawała pod sztandarem Bogarodzicy, idąc, jak wyrażano się, „na azard". Te „azardy" konfederacyi znalazły w Kijowszczyźnie swego historyografa-wierszopisa, który w mowie wiązanej opowiadał konfederackie dzieje Polesia ukrainnego.

Poetą-historykiem Barszczan polesko-ukrainnych był imć pan Serwacy Suchorzewski, komornik kijowski. Opiewał on w swym bojowym poemacie różnych ziemian, jak Proskurów, Rościszewskiego, prowadzącego swój poczt nadworny, Ostrowskiego, który dowodził szlachtą radomyską, oraz „kozactwo sławne i wyborne", kozaków „kornińskich" przedewszystkiem, pochodzących z gniazda Proskurów, z Kornina. *) Zapewne w tych rymach bojowych nie zapomniał wierszopis i o ówczesnej obronie zameczku żytomierskiego przez konfederatów, ale ustępy tyczące się walki u ostrokołów zamkowych snać zaginęły, dotąd ich bowiem nie odszukano.

Wiemy jedynie z tradycyi, która bardzo dłu-

---

*) Patrz: Maryan Dubiecki, w monografii pod tyt. „Karol Prozor". „Przyczynek do dziejów powstania Kościuszkowskiego". Kraków. 1897. str. 182—183.

go, lat przeszło ośmdziesiąt, tułała się pod słomianemi strzechy przedmieszczan, za Kamionką, głosząc, iż garstka Barskich konfederatów, nie mogąc oprzeć się przeważnej sile oblegających skorzystała z podkopu starożytnego, łączącego tajemnymi, podziemnymi kurytarzami zamczysko z rzeką i tą drogą wydostała się z posterunku, którego nie mogła już obronić.

Tradycya mówiła, że wycieczka tajemna z zamku wychodziła na wybrzeże Kamionki, nadzwyczaj daleko, wśród skał i złomów Kamionki, u wylotu dalszego ulicy Cudnowskiej. Skoro załoga wydostała się drogą podziemną do rzeki, ludzie umówieni mieli ogromnemi głazy zamknąć otwór przejść podziemnych, tak iż podziemne kurytarze nazawsze pozostały dla nieprzyjaciela tajemnicą. Kilku tylko ciurów obozowych pozostało w zamku bezbronnym, którzy twierdzili wobec nieprzyjaciela, iż wcale nie wiedzą, w jaki sposób zniknęła załoga... Od owej chwili zaczyna się zupełny upadek zamku *).

. . . . . .

Żytomierz w charakterze miasta wojewódzkiego Kijowszczyzny, od traktatu grzymułtowskiego, t. j. od r. 1686 i jeszcze wcześniej, był miastem małem, z pewną cechą sielskości, którą mu nadawała znaczna ilość ogrodów otaczających miasto, wciskających się w jego obręb. Ten wygląd nawpół wiejski miast wojewódzkich, to właściwość ogólna

---

*) Przed kilku laty pisały dzienniki, że straganiarka ze swym straganem zapadła się na rynku żytomierskim. Zapewne pęknięcie sklepień tajemnego przejścia z zamczyska, w kierunku dolnej części ulicy Cudnowskiej, było tego przyczyną.

w Rzpltej, żyjącej pospolicie życiem bardziej wiejskiem, niż inne państwa. U nas wieś odegrywała zawsze rolę wybitniejszą od miast. Wieś, gdzie były rezydencye magnatów, stawała się ogniskiem światła, zawiązkiem przedsięwzięć politycznych i wydarzenia dziejowe u nas kolebkę swą miały pospolicie na wsi. Nawet konfederacya Barska, której szczęk oręża obijał się o wały zamku żytomierskiego, acz od miasteczka nazwę swą brała, zawiązała się na wsi, w Michałówce, blizko Baru.

I Żytomierz, podobnie jak inne grody wojewódzkie — z małymi wyjątkami — wygląd wiejski miał i długo go zachował. Podniesienie do godności gubernialnego miasta, przy nowym porządku rzeczy, mało go zmienia, lub nie na korzyść zmienia: domy, obejścia tracą swój charakter, obcy język wchodzi na ulice, które nie znały go uprzednio, ale w ciągu połowy XIX w. niezbyt się rozszerza. Przybywają gmachy nowe, nie nader wielkie wszakże, o wyglądzie banalnym, dość szczupłe, często niezdolne zadość uczynić potrzebie.

Wśród gmachów — raczej budynków, trudno je bowiem nazwać gmachami — które przy nowym porządku rzeczy powstały — zwracał uwagę teatr. Teatr stał przy ulicy Berdyczowskiej, wprost wylotu Pilipońskiej. Była to parterowa duża sala, budynek drewniany, tynkowany, front, patrzący wgłąb ulicy Pilipońskiej, naśladował, niezbyt może szczęśliwie portyk grecki, wspierał się na kilku kolumnach.

Budynek teatralny gościł pod swym dachem trupę polską, często stale przebywającą, niekiedy chwilowo goszczącą. W skromnej sali, o ścianach białych, przy blasku świec łojowych, w blaszanych

lichtarzach, zawieszonych u ścian, niejednokrotnie podziwiano grę tych, co byli uczniami i towarzyszami prac scenicznych niezapomnianego Wojciecha Bogusławskiego, ojca teatru polskiego.

Miał ten budynek i swoją chwilę historyczną, gdy zamieniony na salę balową przyjmował cesarza Aleksandra I. Sala obszerna nie mogła zmieścić tłumów ziemiaństwa wołyńskiego i ościennej prowincyi, podejmujących monarchę.

Chwilowem mieszkaniem monarchy był dom gubernatorski, przy ulicy Kijowskiej, wówczas szczupły o piętrze, ale bez skrzydeł, które znacznie później dobudował gubernator Sinelnikow. Na ów bal cesarz Aleksander I jechał przez ul. Pilipońską, która cała gorzała od świateł iluminacyi wspaniałej. Bal rozpoczął monarcha, prowadząc poloneza, później brał udział w tańcach wirowych... Tańczył walca z odpoczynkami kilkakrotnie.

O tym balu pisał dość obszernie Pawsza w swym pamiętniku. Chwila to była najwyższego napięcia złudzeń. Kongres wiedeński od roku już został zamknięty; jego dzieło Królestwo „Kongresowe", z mocno obciętego Księstwa Warszawskiego powstałe, zaczęto organizować... Wówczas to cesarz Aleksander I przybył na parę dni do Żytomierza, we wrześniu 1816 r. Mniemano, że z wyżyn tronu padną słowa, stwierdzające uprzednio już wyrzeczone obietnice, połączenia ziem dawniej odpadłych z nowopowstającym organizmem małego państewka Kongresowego. I chwila, i miejsce zdawały się do wynurzeń politycznych nader stosownemi. Żytomierz był stolicą obszernej prowincyi zabużańskiej; zbiegły się tam przedniejsze rody szlachty miejscowej, urządzono dla monarchy przyjęcie na-

der wspaniałe, na jedną ucztę, na parę godzin tańców i wieczerzę, wysypano sto kilkadziesiąt tysięcy złot. pol. — w ówczesnych czasach summę bardzo znaczną — oprócz słów uprzejmych i grzeczności niezmiernej dla dam, nie otrzymano żadnych wskazówek politycznych. Pomimo tego, zdaje się, nie odczuto rozczarowań, bawiono się wyśmienicie... a w epoce tak rozbawionej, jak lata bezpośrednio idące po kongresie wiedeńskim, główna uwaga pochłonięta była zabawą i jej najdrobniejszemi szczegółami. Pamiętnikarz, po wielu latach, nie zatracił wrażeń z tego balu wyniesionych: wie on nawet kto z kim tańczył... *)

Z hali teatru, napozór niezbyt obszernego, usunąwszy loże, wytworzono salę rozległą, którą suknem wysłano. Na tem suknie tańczono, utrzymując, że wybornie zastępuje posadzkę woskowaną.

Bal miał cechę wyłącznie uczty obywatelskiej; chociaż więc pani gubernatorowa Giżycka honory domu robiła, występowała wszakże w tej roli z tytułu blizkiego pokrewieństwa z marszałkiem gubernialnym Ilińskim, a nie jako gubernatorowa.

Monarcha, wprowadzony przez nią i gubernialnego marszałka, powitany był dźwiękami poloneza. Dziesięć pań zaszczycił cesarz, prowadząc z niemi polskiego. Rozpoczęwszy kerowód z p. Giżycką Bartłomiejową, wiódł dalej poloneza z panią Beningsenową, generałową, z p. Wittową, z p. hetmanową Sewerynową Rzewuską, z p. prezesową Emilią Pruszyńską, z drugą prezesową Dąbrowską,

---

*) Ant. Pawsza. Zostawił on pamiętni rękopismienny, z którego korzystał E. Heleniusz. (Wspomnienia lat minionych". T. I). Dalsze losy pamiętnika nieznane.

z p. Czacką, z p. Jarosławową Potocką, z p. Michałową Orłowską i, wreszcie, z panną Elizą Giżycką, bratanką gubernatora Giżyckiego... Podczas tańców wirowych, monarcha walcował z panią Maksymilianową z ks. Lubomirskich Jabłonowską.

Zostawiwszy całą swą świtę w sali balowej, monarcha wcześnie odjechał, nie przyjął wieczerzy, co zmartwiło gospodarzy balu. Głównymi gospodarzami tych przyjęć byli, wraz z marszałkiem gubernialnym, Ilińskim, powiatowi, a mianowicie: łucki Stan. Lipski, włodzimierski Krzysztof Miaskowski, kowelski Ksawery Miączyński, owrucki Józef Pawsza, starokonstantynowski Aleks. Kochanowski, krzemieniecki Winc. hr. Tarnowski, ostrogski Józ. Małyński, zasławski Jan Bejzym, rówieński Gracyan Lenkiewicz, zwiahelski Wojciech Woronicz, dubieński Jan Mołodecki i żytomierski Seweryn Zaleski.

Iluminacya, która trwała do świtu dnia następnego, głównie odznaczała się świetnością na ul. Pilipońskiej, łączącej dom gubernatora, gdzie była urządzona chwilowa rezydencya cesarska, z salą balową. Nazwiska mistrzów w urządzeniu iluminacyi i rozmaitych przezroczy ze znakami symbolicznymi i cyframi monarchy nie zaginęły w odmęcie czasu, byli nimi: pp. Mikuszewski i Chuchrowski.

Dzień owej uczty dla ces. Aleksandra I, [działo się to d. 14 (26) września 1816 r.] długo we wspomnieniach żytomierzan nie wygasał, acz w owej epoce nie brakowało zabaw odznaczających się i wspaniałością urządzeń, na jakie miasto prowincyonalne zdobyć się mogło, a również tłumem gości.

Do najliczniejszych towarzyskich zebrań, spo-

tykanych tam przed r. 1830, zaliczyć potrzeba bale i mniejsze przyjęcia za czasów marszałkostwa gubernialnego Piotra Moszyńskiego. Młody bardzo, nader sympatyczny marszałek, prezentujący się w pierwszych miesiącach swego urzędowania w stroju polskim — czego wkrótce musiał zaniechać — inaugurował wybór swój (w r. 1823) na marszałka gubernialnego wspaniałym obiadem dla wszystkich wotujących i ich rodzin. Wybory ówczesne były nader tłumne; potrzeba było ucztę urządzić na tysiąc osób. Miasto nie posiadało sali tak obszernej... Klasztor SS. Miłosierdzia, za miastem, nad rzeką, udzielił swych izb obszernych, świeżo wyrestaurowanych, jeszcze niezajętych na użytek chorych i przytułek sierot. Tam więc urządzono ów obiad, który zajął całe piętro murów klasztornych i z niemałą trudnością usadowił ową ciżbę ucztujących.

Takich tłumów ucztujących nie widziano w Żytomierzu, ani przedtem, ani też potem. Wprawdzie w epoce sejmu wielkiego kohorty szaraczków, z zaścianków owruckich, z puszcz zwiahelskich, z ponad dolnej Słuczy, tłumnie ściągały się do Żytomierza, na sejmiki, zapełniały ulice i podwórza mieściny, ale je karmiono na placach i rynku, pod otwartem niebem; takie otoczenie pierwotne najzupełniej im wystarczało... Poprzestawała ta zaściankowa „bracia szlachta“ na łyżce prostej strawy i na legowisku na trawie lewady; a w pustkowia i lewady Żytomierz z końca XVIII w. obfitował...

. . . . . .

Strawy umysłowej, obfitszej dość długo Żytomierz nie potrzebował, poprzestając jeszcze około połowy XIX w. na jednej, dość szczupłej księgarni i kilku straganach żydowskich, na których rozkła-

dano towar księgarski niewybredny, ale i w tem śmieciu druków niekiedy można było się spotkać z białym krukiem lub jego resztkami.

Księgarnia jedyna była w ręku p. Kozłowskiego. Umieszczona w centrum miasta, w murach kościoła pobernardyńskiego, widocznie nie cieszyła się, acz jedyna, zbyt liczną klijentelą, potrzeba bowiem było mieć inny towar obok książek, by sklep utrzymać. Przeto sprzedawano tam wyroby fabryki Frageta, na które podobno większy miano odbyt, niż na książki. Dopiero w czasach gdy Kraszewski zamieszkał w Żytomierzu, gdy miasto zaczęło budzić się z uśpienia, przybyła druga księgarnia, p. Budkiewicza, po niej trzecia, Spółki obywatelskiej, lecz większe objawy życia umysłowego nie trwały długo, jak to wkrótce wskażemy w innym szkicu, uzupełniającym niejako niniejszą opowieść o dawnym Żytomierzu.

Dziwną było rzeczą, iż miasto, acz oddawna wojewódzkie, a od lat kilkudziesięciu, wśród innych stosunków, podniesione do godności stolicy prowincyi, nie posiadało żadnych budynków monumentalnych, żadnych dotykalnych śladów dziejowej przeszłości... Nawet kościoły, tak co do liczby, jak również co do struktury, bardzo skromnie przedstawiały się... Do połowy XIX wieku nie widziano tam wcale hoteli i większych zajazdów, z jedynym może wyjątkiem domu d-ra Kocha, przy ul. Cudnowskiej, w którym mieścił się porządniejszy zajazd. Zajazdy żydowskie były to karczmy, bądź murowane, bądź drewniane, typowe nasze karczmy, niczem się nieróżniące od tych setek, które spotykano w małych miasteczkach lub na większych gościńcach. Hotel Minelego dopiero w epoce wojny

Krymskiej stanął i wobec oberży i zajazdów ówczesnych wydawał się szczytem komfortu. Stopa życia była znacznie niższą, wymagania skromniejsze, zajazdy więc dawne zaspokajały najzupełniej potrzeby ówczesne.

Zajazdy spotykane na ul. Cudnowskiej do najdawniejszych i do celniejszych zaliczano. Tradycya mówiła, iż u bramy jednego z nich padł rażony apopleksyą i ducha wyzionął Ignacy Działyński, który pewną dziejową rolę odegrał w przygotowaniach do walki, w r. 1794, co go zaprowadziło na północne kończyny Syberyi... Wstąpienie na tron ces. Pawła odemknęło Działyńskiemu, podobnie jak innym wygnańcom z epoki Katarzyny II, powrót do kraju... Wrócił, lecz wkrótce niespodzianą śmierć znalazł na bruku ul. Cudnowskiej.

Naprzeciw domu gubernatorskiego widziano długie lata obszerną posiadłość, niby dwór wiejski w głębi dziedzińca, z oficynami, z ogrodem poza domem. Posiadłość ta, zawsze nosząca nazwę domu Lewandowskiego, w XVIII w. należała do prezydenta miasta, Lewandowskiego, który za dni sejmu czteroletniego, jako delegat miasta Żytomierza, na wezwanie Dekerta, znakomitego prezydenta Warszawy, jeździł do stolicy na tak zwaną wówczas „koalicyę miast", i brał udział w pamiętnej demonstracyi przedstawicieli miast, domagających się od stanów sejmowych Rzpltej równouprawnienia mieszczan. Dekert nie dożył do tryumfu swej mądrej obywatelskiej działalności. Lewandowski był szczęśliwszy; nie dość, że patrzał na uchwałę równouprawnienia stanu mieszczańskiego, ale za dni odradzania się ojczyzny, w epoce „Ustawy Majowej"

został prezydentem rodzinnego miasta. Pamięć jego długo trwała w Żytomierzu.

W czasach wojny Krymskiej — jak tu wspominaliśmy — gubernator Sinelnikow, wznoszący cerkwie, przebudowujący wiele domów, wytykający nowe ulice, nadając im nazwy obce, zmienił znacznie postać miasta; ale tych zmian zewnętrznych nie odczuwano zbytecznie, gdyż samo życie płynęło wartkim, dawnym prądem: życie to pogłębia się nawet... Zamieszkanie wielu wybitnych ludzi, między 1852 a 1860 r., w Żytomierzu przyczynia się znacznie do podniesienia życia umysłowego, do zdjęcia z miasta znamion zakątka dalekiej prowincyi. Zamieszkali wówczas J. I. Kraszewski, Antoni Pietkiewicz (Adam Pług), Aleksander Groza, Apollo Korzeniowski, Karol Kaczkowski, Jan Prusinowski, Fortunat Nowicki i inni, na różnych polach znani, cenieni pracownicy... Trwało to jednak lat kilka zaledwie. Instytucye przez nich wytwarzane — jak spółka wydawnicza, drukarnia — zostały przez władze sparaliżowane, unicestwione; zamiary ich — „Towarzystwo kredytowe", „gazeta" — urzeczywistnić się nie zdołały. Losy ludzi rozproszyły... Nadeszły dla miasta chwile ciężkie: dawny Żytomierz dni swe w siódmym dziesiątku lat wieku XIX zakończył — rozpoczęła pomału rozwijać się doba najzupełniej inna... Pamięć czasów ubiegłych stopniowo zagasać zaczęła. Nici, łączące pokolenia późniejsze z dawnemi, rozluźniły się.

J. I. KRASZEWSKI W ŻYTOMIERZU.

(1853 — 1860).

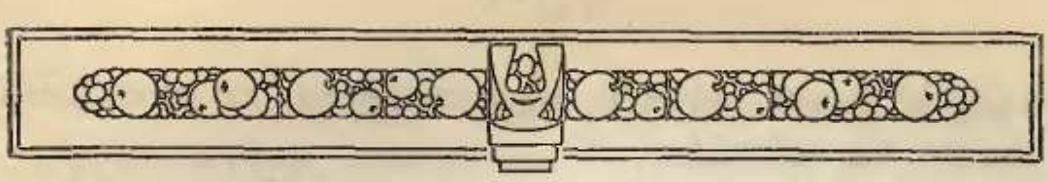

J. I. Kraszewski w Żytomierzu.

(1853 — 1860).

W długiem, wielowiekowem istnieniu Żytomierza była to chwila niezwykła, gdy J. I. Kraszewski zawitał do tej prowincyonalnej, cichej mieściny i w niej zamieszkał, jak zdawało się wówczas, na stałe... Żywot miasteczka, dotąd senny, właśnie w owych latach, około roku 1853, budził się z odrętwienia. Miasteczko, acz od kilkudziesięciu lat odegrywało rolę stolicy administracyjnej prowincyi, wcale dotąd nie myślało, aby się przyozdobić i postacią zewnętrzną przypomnieć światu, iż wyzuło się ze swej odwiecznej prostoty, iż jest czemciś więcej nad mieścinę powiatową, tonącą w błocie, z nielicznym brukiem, z rzadko spotykanemi kamieniczkami murowanemi, ale z częstymi dworkami drewnianymi, w stylu naszym, swojskim, z ganeczkami o dwóch słupach i szerokiemi ławy u wejścia, z ogródkiem większym, bądź mniejszym... W środku mieściny rozsiadło się żydowstwo; lecz dalej od głównego ogniska ruchu handlowego, czy też urzędowego, biegły na znacznych przestrzeniach, niby z wiosek naszych, z zaścianków przyniesione dworki, z obejściem sielskiem, przypominające dalekie

zakątki kraju, odległe od wszystkiego co miejskiem mogło się mienić...

Niedługo przed zamieszkaniem Kraszewskiego w tej stolicy prowincyi, o wyglądzie parafiańskim, wszystko tam nagle zaczęło się zmieniać, przekształcać. Z partykularza wyłoniło się miasto.

Pierwszy impuls był z góry; od wielkorządcy ówczesnego pochodził. Sam on rękę przykładał do burzenia domów; stare, z dachami zgarbionymi pod naciskiem lat, budowle padały niespodzianie, rozwalano je bezlitośnie, nagle... Natomiast stawały niekiedy kamieniczki niepozorne, najczęściej wszakże parkany, które z nakazu władz powinny były być pomalowane na szaro z szerokimi czarnymi pasy. Obramowania żałobne parkanów, za któremi ukrywały się zgliszcza domów zburzonych, lub śmietniki, a najczęściej pustkowia porosłe zielskiem, czy też kałuże błotniste, nie przyczyniały się do ozdoby miasta, niedobrze świadczyły o jego estetycznym smaku, ale wprowadzały ujednostajnienie, przypominać miały kraje wschodnie — z których wielkorządca pochodził — o to głównie chodziło, cel był najzupełniej osiągnięty...

Nie można wszakże twierdzić, iż jedynie impuls władzy w postaci wielkorządcy-burzyciela i budowcy zarazem, wywołał to nagłe przebudowywanie się miasteczka. Nie. Inne, dość poważne przyczyny do tego się również przyłączyły, że wymienimy tu tylko wzmagający się ruch handlowy, gdy ukończono wreszcie, po długich latach, drogę szosową łączącą Brześć-Litewski z Kijowem, co znacznie ożywiło okolice pozbawione komunikacyi, z odrętwienia wiekowego je obudziło... Nadeszły w r. 1855 czasy wywołujące nadzieje jaśniejszych

dni; stężałe członki społeczeństwa zaczęły się wyprostowywać: mniemano, łudzono się, że przeszłość pochłonęła nazawsze wszelkie uciski... Takie usposobienia, takie nadzieje nowych prądów odbijały się w sposób ożywczy na wielu polach, wpływać więc zaczęły i na ruch w miasteczku, drzemiącem od wieków.

J. I. Kraszewski przybywa do Żytomierza na początku jesieni r. 1853. Dotychczasowy wsi mieszkaniec, gdzie stosunkowo dużo miał spokoju do olbrzymiej swej wszechstronnej pracy, gdzie w ciągu dwudziestu lat zdobył powszechne w kraju uznanie, pod naciskiem twardej konieczności przenosił się do miasta. Powód był nader ważny; chodziło o naukę szkolną synów. Długo wahał się, gdzie prowadzić ową naukę. Lublin wydawał się, dla wielu poważnych względów, najodpowiedniejszym, ale rozporządzenia władz zabraniające uczenia się w innym okręgu naukowym, niż miejsce zamieszkania, odrazu obaliły marzenia o Lublinie... Pozostawały do wyboru: Żytomierz, Równe i Kijów, miasta ze szkołami, leżące w tymże okręgu naukowym, gdzie mieszkał Kraszewski... Wybór padł na Żytomierz; Kijów był zbyt odległy, zbyt obcy, cudzoziemski, Równe zaś było zbyt wielkim partykularzem...

Zerwanie z życiem wiejskiem, acz nieraz bardzo kłopotliwem, z wsią, która stale tworzyła teren jego pracy od lat prawie dwudziestu, nie było rzeczą łatwą dla natury tak wrażliwej, tak poetycznej, jaką odznaczał się Kraszewski. Zmieniał on na Wołyniu wiejskie siedziby kilkakrotnie — Omelno, Gródek, Hubin były kolejno dotychczasowem jego mieszkaniem — ale w każdej z nich zbliżony się czuł do przyrody, z nią ściśle związany; ona stała

się dla niego i natchnieniem, i ukojeniem i siłą ożywczą... Wielcy pisarze nasi przedewszystkiem ukochali pola i łąki, leśne dąbrowy, gaje i strumienie, lepianki wieśniacze, strzechy swych sielskich siedzib. Tak u nas było po wsze czasy. Kochanowski szybko opuszcza wspaniałe izby królewskie na Wawelu, by je zamienić na cień lipy w ustronnem Czarnolesiu i w otoczeniu wieśniaczej drużyny opiewać piękno „wsi spokojnej, wsi wesołej"... Nawet Krasicki, nawet Naruszewicz wzdychają do sielskiej przyrody. Pierwszy w ponurym zameczku na Warmii otacza się kwiatami, krzewami, a drugi z całymi stosy papierów chętnie ucieka z rezydencyi królewskiej w Warszawie, aby odetchnąć atmosferą poleską, wśród sosen i piachów, gdzie „zasłonieni lasem i oblani wodą, z pokoleń w pokolenia ludzie wiek swój wiodą" — i tam najmilej mu było pisać dzieje narodu... I Kraszewskiemu najmilej było pracować wśród wiejskiego zacisza; tam twórczość jego najbujniej się rozwinęła, tam pracą niezwykłą wyrobił się na takiego mocarza pióra, jakim pozostał na życie całe.

Z boleścią niemałą rozstaje się z wsią, sądzi, że ten rozbrat z przyrodą wiejską z czasem ustanie, że nawiążą się nici dawnej spójni; wprędce wszakże przeczucia szepnęły mu, iż to rozstanie na zawsze. Pod wpływem przeczuć, mających się w przyszłości ziścić, pisze pożegnanie rzewne z wioską i pracą rolniczą; cały poemacik poświęca temu smutnemu pożegnaniu... Oto mały ułamek, skreślony pod wpływem bolesnego rozstania nie tylko z wioską, lecz — jak przyszłość później wskazała — z całym pierwszym okresem jego twórczości: „Żal mi i ludu tego, co z nami żył w parze, sercem

przy sercu naszem, z dłonią w naszej dłoni!... Żegnajcie starzy moi, bracia, gospodarze! Cześć waszym sercom czystym, waszej siwej skroni!..."

W poemaciku p. t. „Wioska" wyśpiewał poeta nie tylko pożegnanie z siedzibą ostatnią swą, z Hubinem, ale ze wszystkiemi wioskami, gdzie uprzednio przebywał; żegna się pisarz-ziemianin z całym tym światem sielskim, który w jego wielkiem sercu przekształca się na świat anielski. Powstają w pamięci: Omelno — młodości wczesnej siedziba — o podwójnem obliczu, poleskiem i wołyńskiem, w którem „coś wiało od Wołynia, lecz nie Wołyń był jeszcze", i Gródek, o „szarym domku, skrytym wśród gąszczy gaiku", i Hubin, „o starem strzeszysku słomianem", skąd wyszedł już w świat inny w dziedzinę stosunków miejskich, naprzód małego miasta, Żytomierza, później Warszawy... a wreszcie gościńcem życia na długie lata stały się dla niego obce łany; obca ziemia patrzała na rwące się struny jego istnienia...

Przejście ze wsi do miasta — z Hubina do Żytomierza — stało się dla Kraszewskiego jakby wejściem do nowego okresu życia. On to zdaje się swą duszą wrażliwą przeczuwać. Świat ów sielski, pełen prostoty, z istotą jego duchową widocznie ściśle był zespolony, nie może odeń odejść bez bólu, który odbija się w strofach rzewnych, poświęconych i wieśniaczej rzeszy i naszej sielskiej przyrodzie... Wśród wyrazów odtwarzających smutek pożegnania spotykamy taką myśl: „Nigdy się, nigdy nie zobaczym więcej, tylko wasz obraz, w mej duszy wyryty, jak obraz matki na duszy dziecięcej, pójdzie, gdzie pójdę, pójdzie niezabyty, a

w śmierci chyba godzinie — z ostatnią łzą mi wypłynie...“

. . . . . .

Zamieszkał Kraszewski w Żytomierzu przy ulicy Małej Cudnowskiej *). Nabył tam domek mały, niezbyt nowy, od uliczki dość cichej oddzielony malutkim dziedzińcem, z niewielkim poza nim ogródkiem. Posiadłość szczupła, w środku miasta położona, choć od jego gwaru nieco usunięta, nie posiadała żadnych ani dogodności, ani zalet prawie niezbędnych dla pisarza, który był poetą i artystą zarazem. Ani obszerny, zielonością bądź kwieciem zapełniony podwórzec doń nie prowadził, ani drzewa nie osłaniały ścian tego dworku skromnego: ogrodu ze starych drzew nie posiadał, któreby przypominały wiejskie zacisze, oddzielały bodaj na chwilę od natrętnego wzroku tłumu i czyniły złudzenie, iż się jest zbliżonym do „wsi spokojnej, wsi wesołej“... Nie, tego tam nie spotykano. Siedziba wcale nie była przeznaczona na pracownię owego tytana pracy, jakim już wtedy był Kraszewski... Przypadek snać jakiś — w każdym razie nieprzyjazny — nasunął mu to nabycie, które jedną miało zaletę: było ościenne szkolnemu budynkowi, do którego uczęszczać mieli synowie.

---

*) Mylną jest wskazówka w Książce jubileuszowej dla uczczenia 50-letn. dział. literack. J. I. Krasz. (Warszawa, 1880 r.), iż dom ten był przy ul. Małej Berdyczowskiej. Stał on i zapewne dotąd istnieje, acz może przeznaczenie inne posiada, przy ul. Małej Cudnowskiej, na rogu wychodzącej z niej ślepej, bezimiennej uliczki, krętego zaułka bez nazwy.

„Miasteczko“ — tak ówczesny Żytomierz można nazywać — posiadało niejedną siedzibę właściwszą do zamieszkania dla człowieka naukowej pracy, siedzibę jakby oderwaną z wiejskiego krajobrazu, zasłoniętą ogrodami, niekiedy nawet zdziczałymi, dokąd ani gwar, ani pospolitość małego miasta nie dochodziły. Los jednak mieć chciał, że żadna z tych zagród sielskich, niespodzianie w szarzyźnie miejskiej zabłąkanych, nie stanęła na drodze jego poszukiwań... Nabyty domek niczem nie urastał nad pospolitość i szarzyznę życia małomiasteczkowego.

A takiem właśnie owo życie stanęło przed okiem przybysza. Wyraźne tego ślady odbiły się w jego listach z pierwszych miesięcy zamieszkania w Żytomierzu. Nazywa miasto spokojnem, parafialnem miasteczkiem, w innym zaś liście pisze o niem, iż pod względem umysłowego życia pustka wielka... „myśl tu się niczem nie zaprząta, a karty w wielkiej modzie“... „Siedzim w naszym domku — mówi Kraszewski w jednym z listów do rodziny, pisanym we trzy miesiące po osiedleniu się w nowem gnieździe — na pustyni a w zgiełku; w ciągłych ludziach od rana do wieczora, tak, że się opędzić trudno, a w obczyźnie. Ja ledwie znajdę czas co napisać, a męczę się okropnie“... Pocieszał się wszakże, iż zamęt, wytworzony wśród nowych warunków życia, z czasem przyjdzie do równowagi, fale zamętu opadną. Wszakże długo nie opadały. Nowe znajomości zabierały bezowocnie część dnia. Uskarżał się na to nieraz w swej poufnej z rodziną korespondencyi. Do miejscowych stosunków, świeżo zawiązanych w mieście, przybywały liczne wizyty przyjezdnych z prowincyi. Nigdy ich nie brakło. Każdy prawie z ziemian, który dla interesów do

miasta gubernialnego przybywał, jeżeli chociaż trochę był znany, śpieszył bodaj na chwilę do małego domku wielkiego pisarza... Stąd ów zamęt, stąd liczne w pracy przeszkody, na co uskarża się wciąż Kraszewski i w pierwszych miesiącach zamieszkania w mieście, gdy sądził, że to się „jakoś ureguluje", i później po kilku latach... Po latach może bardziej, niż na początku tego okresu miejskiego życia.

I w istocie, po trzech latach pobytu w mieście tak uskarża się... „Rodzaj życia, jaki tu prowadzimy, jest nieznośny. Od rana do wieczora w moim pokoju jarmark... Robota się dziesięć razy przerywa w pięciu wierszach, a człek, słuchając głupstw cudzych, sam głupieje: wieś lepsza do pracy, a ja do niej stworzony jestem; miasto wielkie — ma resursy, małe jest wielką lichotą..."

Zniechęcenie do miasta, tęsknota po życiu wiejskiem, spotykane w pierwszych chwilach zamieszkania w Żytomierzu, z latami—jak widzimy—nie zmniejszają się, owszem urastają... Ślady tego spotykają się i znacznie później.

Nie były to jedyne przeszkody w pracy, były i inne, nader poważne; urastają z czasem i liczne troski, wypływające ze stanowiska, jakie tam zajął, z zabiegów ludzi próżnych a zawistnych, pragnących podkopać powagę imienia niemniej wielkiego pisarza, jak i niepospolitego obywatela kraju.

. . . . . .

W pierwszych dniach zamieszkania w Żytomierzu już tam spotkał parę domów ziemiańskich, dobrze mu dawniej znanych, które dla wychowania dzieci na dłuższy, bądź krótszy czas do miasta zjechały i tam się osiedlały.

Najbliższym znajomym z dawnych lat, bardzo mu drogim a duchowo pokrewnym wielkiemu pisarzowi, był jego rówieśnik Kazimierz Komornicki (ur. w roku 1812), ziemianin wołyński, artysta, władający pendzlem i piórem, znawca sztuki, literat i poeta, badacz naszych dawnych stosunków ekonomicznych. Ze środkowych okolic Wołynia, ze swych pięknych Uiździec przeniósł się Komornicki jednocześnie z Kraszewskim do Żytomierza, dla przeprowadzenia szkolnej nauki jedynego syna, Adama, i wzniósł na północnych skraiskach miasta, na nizinach i pustkowiach — gdzie ulice były zaledwie wytyczone — mały domek dla siebie, rodziny, dla ksiąg i obrazów... Ciche to, malutkie, nie otoczone drzewami, spowite raczej mgłami unoszącemi się nad niziną, „Tuskulanum" Komornickiego najczęściej widywało Kraszewskiego w pierwszych miesiącach jego zamieszkania w Żytomierzu. Były redaktor „Atheneum" z byłym współpracownikiem tegoż pisma, gdzie ostatni niegdyś umieszczał swe rozprawy o sztuce, artystach, o ikonomachii i wpływie jej na sztukę, spędzali w owym domku małym niejedną godzinę; zagadnienia chwili, troska o jutro, rozstrząsane tam, tworzyły treść rozmów... Trwało to zaledwie lat parę: w listopadzie 1856 r. Kazimierz Komornicki umiera. Kraszewski rzewnie wspomina tego „niezapomnianego" i myślą już tylko biegnie do Tajkur, gdzie przy wiejskim kościołku spoczęły prochy „niezapomnianego" przyjaciela, człowieka wysokiej kultury i wysokich uzdolnień, niegdyś ucznia szkoły krzemienieckiej...

Drugim domem, znanym dobrze naszemu pisarzowi z czasów dawniejszych, był dom pani Tomaszowej Steckiej, wychowującej w mieście trzech

synów, z których najstarszy, Tadeusz, stał się później pisarzem, badającym dzieje niektórych okolic Wołynia. Dom p. Steckiej był jednak raczej stosunkiem pani Kraszewskiej, gdyż panie te niegdyś wzrastały pod jednym dachem.

Poza domami dwoma znajomych dawnych, wszystko, co on spotykał i z czem zaznajamiał się w mieście, tworzyło seryę stosunków nowych, a i wrażeń świeżych sporo przybywało do umysłu; niemało szkiców wytworzył jego ołówek, uzupełniając widokami wybrzeży Teterowa i Kamionki tekę rysunków, zebranych różnymi czasy wśród ruin, pamiątek dawnego życia na przestworzach Wołynia. Pisarz, władający jednocześnie piórem, pendzlem i ołówkiem, uwieczniał niemniej na kartach swych ksiąg licznych typy charakterystyczne ludzi, jak i rumowiska, gruzy, szczątki starej kultury, ponad któremi dmą wichry zniszczenia, nie zapominając i o małych, drobnych okazach ówczesnego budownictwa, które bieda w połączeniu z zupełnym brakiem wyższej myśli tworzyły na krańcach miasta, lub niekiedy nawet bliżej głównego ogniska życia.

Te okazy oryginalne, charakterystyczne chat, kletek, które już znikały w Żytomierzu, lub miały zniknąć, budziły niezmierne zainteresowanie pisarza-artysty...

Nie spotykając żadnych śladów dawnego życia dziejowego w mieścinie, powołanej stosunkowo niedawno do odegrania wyższej roli w losach prowincyi — gdzie nie widziano takich ruin i śladów przeszłości, w jakie obfitowały Ostróg, Łuck, Krzemieniec, nawet Korzec, Ołyka — Kraszewski wpatrywał się w chatki, domki sklecone naprędce z różnych szczątków innych, dawnych, świetniejszych

budynków, które przed laty już legły ruiną, w proch się rozsypały. Było wtedy tych chatek, o fantastycznym wyglądzie, niemało na pochyłości wzgórza, spadającego ku ujściu Kamionki do Teterowa. Artysta zachwyca się niemi: nieład, śmietniki, brud, nie rażą go... Pamięta o nich w latach późniejszych, podziwia ich oryginalność, „gdyż myśl nigdy tak obfitą nie jest, by stworzyć mogła coś równie fantastycznego"... mówi w jednej ze swych prac, i zaraz dorzuca wyrazy, świadczące jak wielka moc pierwiastku artystycznego tkwiła w duszy tego wszechstronnego pisarza... „Pan Bóg te kletki umyślnie musiał też dla rysowników i malarzy kazać stawiać. Co to za rozmaitość w nich, jakie niespodziane szczegóły, ile niepojętych dla budowniczego nowych czasów pomysłów. Często dom jedną ścianą utkwiony na palach wysoko, nigdy, jak dziś, w regularny kształt pudełka do chowania ludzi nie staje. Musi się wyłamać w prawo i lewo, jednem skrzydłem niżej, drugiem podnioślej. Dach posłuszny wygina się także fantastycznie i przedstawia to przyczółki, to ganeczki, to okienka różne w nim poprzylepiane. Dokoła co wschodków i galeryjek, ażeby mieszkania z sobą połączyć, to pnących się na poddasze, to spuszczających w podziemia"... *) Teren nierówny, pogarbiony, na spadzistościach skałami najeżony, po części zmuszał do tej fantastyczności.

Jeżeli w powyższych wyrazach brzmi nuta zachwytu malarza-poety, to niemniej z tego umysłu wrażliwego, na wszystko, co piękne, płyną wiele-

*) „Wieczory wołyńskie", przez J. I. Kraszewskiego;– we Lwowie 1859.—Str. 55.

kroć słowa podziwu nad bogato uposażonemi we wspaniałe krajobrazy okolicami Żytomierza. Bardzo wiele razy i w latach pobytu w tem mieście, i później, w lat kilka po pożegnaniu go na zawsze, odnajdujemy i w jego literackich pracach, i w korespondencyi z rodziną, z przyjaciółmi, ślady wybitne tego podziwu piękności okolic, z lasami, rzeką, skałami, wkraczającemi niemal do miasta, prawie z niem zlewającemi się. Niepotrzeba ich szukać, do nich dążyć, one same przychodzą do miasta, pozbawionego zabytków historycznych, nie posiadającego w swem obejściu śladów piękna w budownictwie, również dawnem, jak i nowem.

Kościół niegdyś Jezuitów, fundacya Steckiego, budowa z pierwszej połowy XVIII wieku, była tam ongi jedynym zabytkiem pięknego, dawnego budownictwa. Za dni Kraszewskiego już ona nie istniała. Świątynia opuszczona, smagana płomieniem pożarów, w które nasze miasteczka zawsze obfitowały, nieochraniana od deszczów, od słoty naszych jesieni, od surowości zim, przedwcześnie trupieszała; gdy zaś coraz bardziej w proch zaczęła się rozsypywać, rozebrano ją. Pozostały jedynie mury klasztorne, na inny użytek obrócone, ale z tem nowem przeznaczeniem zaginęła nawet nazwa murów „pojezuickich"... Z losami zamku, któremu, że drewniany był, pożar dzielnie dopomógł, jeszcze o świcie XIX wieku, do zniknięcia—było toż samo: zagłada nastąpiła szybko, zatracając i nazwę terytoryum, i tradycyę o istnieniu.

Kraszewski, wobec braku historycznych zabytków w miasteczku, coraz więcej rozmiłowując się w piękności jego okolic, już podczas pierwszej jesieni tam spędzonej, robił wyczeczki za miasto,

szkicując krajobrazy... W liście do matki, w tym pierwszym roku urządzenia się w mieście, tak mówi o swem życiu na nowej siedzibie: ... „ja mniej piszę, a więcej bywam w towarzystwie, choć go unikam; mniej mam czasu na literackie zajęcia, a oprócz tego maluję niby i gram... Żytomierz zresztą spokojne, parafiańskie miasteczko; okolica prześliczna! Nic u nas w kraju nie widziałem piękniejszego...“ Napawał się więc wrażeniami tej „okolicy prześlicznej“...

Widywano go często na samotnych ścieżkach, wijących się wśród skał na wybrzeżach Teterowa. Z teką rysunków w dłoni przekraczał po dużych głazach Kamionkę, dopływ Teterowa, mostu tam bowiem nie było. Rzeczkę o nurtach płytkich przebywały i wozy w sposób pierwotny, wpław, po „głazach poszczerbionych przez koła wielu pokoleń“— i zapuszczał się w głąb gajów i skał tworzących wybrzeża Teterowa... Nietylko skały, niby mury z granitu, rozrzucone, skruszone, zarysowujące kontury ruin zamków i wieżyc, coraz inne, coraz wspanialsze i bardziej fantastyczne, wabiły go do siebie, ale i samotność, panująca tam wówczas, i cisza górująca nad całem tem wybrzeżem, posiadały dlań urok niezrównany...

. . . . . .

Posuwał się w swych wycieczkach daleko, aż do tak zwanej „Sokuli“... Ona w jego pamięci zostawiła ślady trwałe.

W lat parę po opuszczeniu Żytomierza, w czasach, gdy fala życia miała go wprędce daleko unieść od ziemi ojczystej, gdy już nietylko Wołynia, ale wogóle strzechy rodzinnej miał być pozbawiony na zawsze, rzucił Kraszewski o Żytomierzu garść myśli,

wśród których spotykamy uwagi, iż w braku pamiątek historycznych, dłonią ludzką wytworzonych, przyroda dużo tam śladów swej pracy zostawiła, tych głosek Bożych, jednak odczytać nie umiemy... „Ależ natura! — woła w przygodnym artykule — znijdźcie nad Kamionkę, którą po bryłach przed wiekami tu zaniesionych przejść można suchą nogą!... Pójdźmy na brzegi Teterowa, ubrane w skały, olbrzymie, granitowe, z których jedna nosi imię „Czackiego“ i stąd popatrzcie na najstarsze pomniki Bożą nagromadzone dłonią... Natura coś tu napisała temi granitami, wodą, drzewami, wzgórzami, co człowiek odczytać sili się próżno... a wiekuisty napis go ciągnie i porywa. Z gniewu, z bezsilności widać, popsuto nieco tę okolicę; wyrąbano drzewa, połamano skały, wytrzebiono zarośla, a jeszcze ten brzeg uroczy swemi ranami i bliznami skarży się, boli, mówi...“ *)

Poezyi pełna dusza wielkiego pisarza, zapuszczając się coraz dalej w głąb skał i zarośli, odkrywała coraz nowe piękności wybrzeża, wspaniałą dziedzinę ciszy. Poza „Sokulą“, jak się spowiada ze swych myśli, pragnąłby wystawić chatę, zamieszkać na tem zupełnem odludziu, otoczyć pustelnię swą murem, „by odgrodzić się od ludzi“, a „połączyć się drutem telegraficznym ze światem“.

Ten drut miał go połączyć ze światem wiedzy, z jej rozwojem, a odludzie pustelni i mur ją otaczający powinny były strzedz od gwaru świata... Widocznie już wówczas (w sierpniu 1861 r.) tyle goryczy ów gwar świata nagromadził w sercu wielkiego pisarza, iż zapragnął oddzielić się od ludzi

*) „Tyg. Illustr.“ r. 1861. № 100.

murem — i ów mur, i pustelnię myśl jego na „Sokolej skale“, nad Teterowem, wznosiła...

Było to marzenie, w chwilach zniechęcenia powstałe, które nigdy nie urzeczywistniło się; niemniej jednak, mniemamy, że powinniby żytomierzanie wznieść Kraszewskiemu jakiś skromny pomniczek, bodaj krzyż drewniany na owej „Sokuli“, gdzie stawała jego stopa, skąd podziwiał te głoski, kreślone dłonią przyrody... Już za owych dawnych dni człowiek niszczył cząstki krajobrazu, wytrzebiając zarośla, rąbiąc drzewa, łamiąc skały i „brzeg uroczy swemi ranami i bliznami skarżył się, bolał, mówił“—teraz do bólu, do skargi ma zapewne cały ten wspaniały krajobraz stokroć więcej powodów...

Obca stopa go depce, obojętne oko nie odczuwa głęboko jego piękności, nie użala się nad jego bliznami i ranami; same nazwy miejscowości zatracają się, znikają, nie przemawiają w sposób zrozumiały do myśli, do uczucia przybysza obojętnego, nieświadomego dziejów tych ziem.

Dla Kraszewskiego nietylko wytchnieniem była praca z ołówkiem w dłoni przy szkicowaniu krajobrazów nad Teterowem, wśród skał pogruchotanych, nagromadzonych w wielkie złomy, ale i z innych prac wytwarzał dla siebie wypoczynek wśród żmudnego literackiego trudu. Muzyka i malarstwo, które uprawiał z wielkiem zamiłowaniem, wielekroć były dla niego wypoczynkiem po wytężonych wysiłkach pracy literackiej, bądź naukowej. Jak w swych zajęciach literackich przerzucał się od jednej dziedziny pracy do innej, od powieści do fejletonu dla jednego z dzienników, od rozprawy archeologicznej do korespondencyi do „Gazety Warszawskiej“, którą w owych czasach stale listami swymi

cennymi zasilał, tak niemniej chętnie chwilowo rzucał pióro, aby ująć pendzel lub zasiąść do fortepianu...

„Parafiańskie miasteczko", jak go mienił Kraszewski, wcale muzykalne nie było. Muzyka poważna nie posiadała zwolenników. Miłośnik i znawca niepospolity muzyki, jakim był nasz pisarz, gorszył się tem niemało, iż artystów prawdziwych, dostojników sztuki, posiadających uznanie na szerokiej arenie świata, nie rozumiano, obojętnie witano, ze znudzeniem żegnano, podczas gdy szarlatany, różne miernoty, zdobywały uznanie, oklaski, zachwyty, przekraczające nawet próg sali koncertowej.

Z nikim więc prawie nie mógł podzielić się swemi pojęciami o muzyce, nie znajdował ludzi, z których by się grono dobrych wykonawców zawiązać zdołało. Jeden tylko, cieszący się w mieście pewną wziętością, nauczyciel muzyki Czapek, z pochodzenia czech, był człowiekiem umiejącym dobrą muzykę ocenić; z nim więc Kraszewski, w pierwszych paru latach swego w nowej siedzibie osiedlenia się, urządzał u siebie posiedzenia muzyczne, grywając na cztery ręce na fortepianie i fisharmonii. Brat wielkiego pisarza, Kajetan, również literat, muzyk i kompozytor, nadsyłał dużo swych utworów muzycznych, które całemi godzinami z Czapkiem były wykonywane. Gdy o tych utworach braterskich pisze, zachwyca się nimi, nazywa je „rozumnymi i wysokiego stylu".

Pobyt Kraszewskiego w Żytomierzu pod wielu względami stał się dźwignią podnoszącą to ciche, poczciwe, ale nieco drzemiące miasto na wyższy poziom kulturalny; zaczęli się doń ściągać ludzie znani bądź na polu literatury, bądź na innych sta-

nowiskach, zaczęli osiadać tam na stałe lub dojeżdżać coraz częściej. Głucha parafiańsko-urzędnicza mieścina rozpoczęła przekształcać się stopniowo na ognisko wyższej kultury. Zaczęli więc do niego zaglądać i dostojnicy muzyki. W r. 1857 zawitał tam Apolinary Kątski. Podejmował go, rozumie się, głównie Kraszewski; i wówczas, w tym skromnym domku przy Małej Cudnowskiej, rozlegały się często i długo wspaniałe akordy uczt muzycznych, w których brał udział Kątski, Kraszewski i paru innych niepospolitych muzyków z Kątskim przybyłych... Ta biesiada artystyczna trwała kilka tygodni. Kraszewski, w listach do brata tak o niej pisze: ... „Teraz, w czasie już trzytygodniowego pobytu u nas Apolinarego Kątskiego, ciągła muzyka przez dzień, lub codzień... Kątski w egzekucyi klasycznej nieporównany, Buddeus (fortepianista) wyborny — wiolonczelista Stephens z Petersburga, wyborny także. Ciągła więc muzyka i nauka... Wczoraj było trio... fortepian, skrzypce i organek, to jest Buddeus, Kątski i ja. Poszło wybornie!..." W tych ucztach artystycznych oczywiście miasto udziału nie brało. Były to zebrania ściśle, że tak powiem, poufne. Szczupłe grono bliższych, a znających się na muzyce tworzyło nieliczne audytoryum. Szersze koła miejskie miały możność korzystania jedynie z koncertów publicznych Kątskiego.

Jeżeli nie doceniano muzyki, z malarstwem było tam wcale nie lepiej. Kilku artystów wprawdzie posiadało miasto, ale niezbyt interesowano się ich pracami i nie posiadali oni dla pracy swej koniecznych warunków. Napróżno szukano modeli. Nikt nie chciał pozować, snać miano to za ujmę dla godności człowieka... Kraszewski o tem zjawi-

sku wspominał, twierdząc, że Żytomierz „dla artysty (malarza) był miejscem dosyć niedogodnem“, zamiłowanie sztuki zaledwie rozbudzać się zaczyna, a najpierwszych potrzeb braknie zupełnie. „Żebrak nawet swej siwej brody i zachmurzonego czoła nie zechce dać za wzór...“ *)

Najlepszy z malarzy ówczesnych żytomierskich, oddawna tam zamieszkały, Franciszek Zawadzki, nie znalazłszy w mieście innej pracowni, w stajni malował większe swe produkcye. W takiej to improwizowanej pracowni wytworzył najlepszy ze swych obrazów religijnych — N. Pannę — umieszczony w bocznej, prawej nawie kościoła po-bernardyńskiego... Artysta ten, zrażony warunkami ciężkimi, a może wierząc w szczęście za górami, zdobył się na krok wtedy rzadko spotykany, wywędrował do Moskwy, miasta, również w owej epoce, jak i dziś, nic niemającego wspólnego ze sztuką... Po jego wyjeździe Żytomierz nie został jednak zupełnie pozbawiony malarzy: był Fabiański, Prosper Gorski, paru innych, mniej znanych, którzy nie wiele produkowali i, jak wszyscy tam wówczas, nie mieli ani możności, ani miejsca pokazania swych prac: o wystawach sztuki nikt na prowincyi wtedy nie marzył, upodobanie sztuki bardzo pomału rozwijało się. Kraszewski niemało dla tej garstki artystów zrobił, gdyż o ich pracach pisał w swych korespondencyach do gazet warszawskich. Było to dla zapomnianych w dalekiej prowincyi pracowników, pozbawionych wszelkich warunków dla twórczości artystycznej, niemałą podnietą do dalszych studyów. Kraszewskiemu to,

---

*) „Wieczory Wołyńskie“; przez J. I. Kr., 1859. Lwów. Str. 59.

prawdopodobnie, zawdzięczał Prosper Gorski, iż o nim coś mówić zaczęto w prasie warszawskiej, iż w światku polskim miłośników sztuki dowiedziano się o jego charakterystycznych ilustracyach przysłowi ludowych. Budziły te korespondencye jeżeli nie zamiłowanie, to przynajmniej zainteresowanie się dziełami sztuki; budzenie się wszakże nader maluczkie i powolne było; artyści, gdy nie posiadali innych zawodów, które by im zapewniały chleb powszedni, uciekali w świat szeroki, acz ten świat nie był wcale ani gościnny, ani polem właściwem do uprawy sztuki—takim był Franciszek Zawadzki—lub gaśli w zupełnym niedostatku, jak Prosper Gorski. O jego pracach pisano, czytano, mówiono, ale ich nie nabywano... Pomimo tej obojętności dla dzieł sztuki, Kraszewski twierdził, że Żytomierz „więcej" był „przygotowany do poznania się na dobrym obrazie, niż na dobrej muzyce, chociaż o tę łatwiej"...

. . . . . .

Ziemianie wołyńscy, którzy w owej epoce korzystali jeszcze w znacznej części z pewnych przywilejów udzielonych im przez ces. Katarzynę II i Pawła I, w zamian za utraconą niepodległość kraju, na wyborach, odbywanych co trzy lata, postanowili wybrać kuratorem szkół żytomierskich Kraszewskiego.

Działo się to w maju 1853 r., a zatem na kilka miesięcy przed jego osiedleniem się w mieście. Pierwsze hasło do tego obioru dał bezwątpienia Wincenty Piotrowski, ówczesny marszałek łucki, człowiek wielkiej zacności i statecznie przez życie całe stojący w szeregach wielbicieli wielkiego pisarza.

Głos Wincentego Piotrowskiego był ceniony w kole obywatelskiem; popierali go inni—Kraszewski został znaczną większością głosów obrany kuratorem gimnazyum żytomierskiego (urzędownie nazywanego „wołyńskiem"). Stosownie do przepisów, wybór przedstawiono rządowi do zatwierdzenia: rząd nie zatwierdził wyboru Kraszewskiego; kandydat najwięcej po nim mający głosów, b. marszałek starokonstantynowski, Mieczysław Pruszyński, wówczas objął rzeczoną kuratoryę.

W ten więc sposób, w pierwszym roku zamieszkania w mieście, Kraszewski napozór nie wszedł na drogę pracy społecznej, gdy go niedopuszczono do owej kuratoryi; w rzeczywistości wszakże zaprzęgał się do rozmaitych gałęzi zabiegów obywatelskich, do pracy społecznej różnorodnej, aczkolwiek czasu mu to zabierało nie mało, przeszkadzało w zajęciach literackich, odrywało od studyów ulubionych i dawało wielekroć nikłe owoce.

Zagony pracy społecznej u nas już i w owych latach leżały wśród zbyt ciasnych granic; pogardzano nimi, a więc pospolicie nikt ich nie uprawiał. Mocarz na niwie literatury nie lekceważył możności żadnej pracy dla dobra ogólnego; żadne zajęcie, któreby przynosiło korzyść społeczną, bodaj najmniejszą, nie było przez niego uważane za błahe, imał się każdego trudu, prowadził go z zapałem nie mniejszym, niż swą twórczość literacką... Wnet przeto po rozejrzeniu się w stosunkach miejscowych wszedł do komitetu statystycznego, któremu przewodniczył. Instytucya to rządowa, tem się wyróżniająca, że w niej nikt nic nie robił. Wejście jego i przewodniczenie tchnęło nieco życia w to ciało obumarłe, życie to jednak przejawiało się jedy-

nie pod postacią jego własnej pracy. On za innych, za wszystkich pracował... Instytucya ta wówczas po raz pierwszy, zarazem ostatni, żyła życiem czynu. Dla niej odbywał nawet podróże, gdy chodziło o zebranie śpieszne widoków zabytków starożytnych dla jednego z członków domu panującego, który miał przejeżdżać przez Żytomierz, i ze stolicy zażądano przygotowania natychmiastowego rzeczonych rysunków. Kraszewski, każdą rzecz traktując poważnie, z niemałym trudem przebiegł w dniach kilku prowincyę, rysując ciekawsze zabytki kraju, usianego i wtedy już ruinami.

Szczegół ten drobny wskazuje, jak niestrudzony był ten olbrzym pracy, znajdując na wszystko czas i myśl wolną i energię niewyczerpaną, acz siły ciała i zdrowie zawsze miał wątłe i organizm słaby; zdawało się, iż wprędce padnie pod naciskiem niezmiernych wysiłków. Nie upadł, a nawet nie ugiął się i wówczas, i później...

Jedna praca wywoływała inne. Jeden pomysł na niwie obywatelskiego czynu wysuwał zastęp innych... Podróż śpieszna dla naszkicowania śladów dawnego życia i dawnej kultury Wołynia nasunęła mu przy końcu roku 1854 myśl czynu obywatelskiego, do którego nikt u nas ani przed nim, ani po nim, nie przystąpił. Podróż rzeczona zaprowadziła go do Łucka, owego zbiorowiska ruin i pamiątek zniszczonych ręką ludzi i czasu... Tam dobiegła do jego czujnej myśli wiadomość, że jeden z żydów łuckich, nabywszy od rządu na licytacyi kościół Bonifratrów, przez władze zamknięty, miał zamiar urządzić w nim jatki... Rzecz była blizka urzeczywistnienia. Żyd pieniądze rządowi złożył. Kraszewski postanawia chociaż ten jeden przyby-

tek chwały Bożej od profanacyi ocalić. Udaje się przeto z petycyą do gubernatora, w której, powołując się na rozporządzenie rosyjskiego synodu, zabraniającego sprzedawać świątynie chrześcijańskie niechrześcijanom, prosił o pozwolenie odkupienia z rąk niewiernych kościoła katolickiego.

Gubernator waha się, subhasta rządowa była już skończona; jednak odwołuje się do wielkorządcy kijowskiego, który pozwala Kraszewskiemu odkupić od żyda świątynię pobonifraterską, starą fundacyę, z r. 1639, ks. Baltazara Tyszki. Złożywszy 1,300 rubli, staje się niepospolity pisarz, a niemniej wielki obywatel kraju właścicielem opustoszałej świątyni. Wydaje się mu, że to wyrwanie kościoła z rąk niepowołanych stanie się „prejudykatem" na przyszłość, że inni ziemianie, szczególniej zamożniejsi od niego, naśladować nie omieszkają jego czynu obywatelskiego.

W tej kwestyi pisze w jednym ze swych listów... „Pan Bóg tak chciał podobno, ażeby przykład dobry i prejudykat się zrobił na przyszłość. Grosz, jaki miałem, chętnie poświęciłem dla chwały Bożej i dla ocalenia ołtarza. Wszyscy się dziwią, że mi ten interes tak gładko poszedł i bez żadnych trudności..." Wyrazy te wybornie ilustrują zarówno ową sprawę, jak i samego działacza.

Niestety, przykład naśladowców nie znalazł. Podziwiano czyn obywatelski Kraszewskiego, lecz nie znaleźli się obrońcy tego, co jeszcze było w on czas do ocalenia...

Jedynym wyjątkiem chlubnym był Włodzimierz Stanisław hr. de Broel Plater, z Dąbrowicy, który sięgnął po wykupienie Wiśniowca, z jego niezliczonymi zbiorami i zabytkami dziejowymi, z rąk przy-

byszów, Abemelików, którym to wszystko Mniszchowie niebacznie sprzedali. Hr. Włodzimierz Plater — człowiek wówczas młody (ur. w r. 1831) — podjął się tej redempcyi starego gniazda rycerskiego, jedynie powodowany wielkiem uczuciem obywatelskiem i poczuciem dobrze zrozumianych obowiązków względem ziemi ojczystej. Przedsięwzięcie było nad jego siły finansowe, a nikt się nie znalazł, ktoby Platerowi w tej redempcyjnej pracy dopomógł... Poszanowanie przeszłości, duch ofiary, poświęcenia nie przenikały do głębi społeczeństwa, o którem Kraszewski słusznie mówił, acz się nań za to gniewano, — „rozstrzeleni, rozbici, błądzimy dziś każdy z osobna... zgasł w nas popęd do ofiary na korzyść ogółu, ustała solidarność stanów, ludzi i prowincyi...“)

Brak solidarności, skupienia sił narodu zawsze odczuwał boleśnie Kraszewski, szczególniej wówczas, gdy osiedlił się w mieście i oddał pracy społecznej. Do zjednoczenia lepszych, zdrowszych pierwiastków w imię dobra powszechnego wciąż nawoływał również słowem, jak i w dziełach swych... Pisał i mówił wielokroć: „trwa jeszcze iskierka ducha, są materyały odrodzenia; woli tylko i kierunku braknie...“ Nawoływania były próżne, przynajmniej w pierwszych latach. Pragnął skupić ziemian wołyńskich około gazety, którą wydawać zamierzał, spełzły wszakże na niczem plany wydawnictwa; obywatele wołyńscy nie udzielili potrzebnych funduszów.

Inny jednak projekt przyszedł w owej epoce do skutku, zabierając naszemu pisarzowi ogrom czasu i niemało przysparzając mu pracy... Był to

*) „Wieczory Wołyńskie“, str. 147.

teatr, którego gmach w Żytomierzu stanął kosztem obywatelstwa wołyńskiego. Wzniósłszy znacznym kosztem budynek, szlachta wołyńska, przed wykończeniem ostatecznem wnętrza gmachu, powierzyła dalszą pracę urządzenia i instalacyi sceny Kraszewskiemu. Obwołano go dyrektorem tej obywatelskiej instytucyi, wkładając na jego barki ciężar niezmierny, tembardziej przytłaczający, iż czynności były zbyt różnorodne. Praca najzupełniej dlań nowa nie przerażała go, podejmował ją ochoczo, chodziło tu bowiem o dobro publiczne, o wytworzenie stałej, poważnej siedziby dla sceny polskiej.

Gdy ziemiaństwo wołyńskie swym groszem, a Kraszewski pracą, zabiegami, wytwarzaniem stosownych warunków istnienia i rozwoju, urządzili w Żytomierzu przybytek dla sceny narodowej, nikt nie przypuszczał, iż wprędce w tym gmachu inni osiądą i ze sceny polskiej instytucyi brzmieć będzie długie lata obcy język... Nie przypuszczano rychłej ruiny i krzątano się ochoczo koło wzniesienia godnej siedziby dla polskiego słowa.

Jak to krzątanie się było wyłączną pracą Kraszewskiego, świadczy o tem jeden z jego listów ówczesnych: „... Urządzenie teatru całkiem na mojej głowie — pisze w roku 1857 — wczoraj wyprawiłem kogoś umyślnie do Wrocławia po garderobę, a do Lwowa i Krakowa po aktorów; buduję w gmachu teatralnym ganki, piece i t. p., kasa przy mnie... później tylko, gdy się urządzi, część estetyczna (jedynie) do mnie należeć będzie. Polecono mi także sprawienie dekoracyj, które będzie robił Gruppius w Berlinie, zaopatrzenie biblioteki i t. d...“ Nim jednak to wszystko się urządziło, nim doszło do tego, że można było _czuwać tylko nad este-

tyczną stroną przedsięwzięcia, ileż trudu pochłaniała strona materyalna, szczególnie w mieścinie prowincyonalnej, gdzie nie było kim się wyręczyć a myśleć należało samemu o wszystkich drobiazgach. Nie dziwmy się przeto, iż niezmordowany pracownik, nigdy na ogrom zajęć nie wyrzekający, uważa wreszcie, że mu sprawa teatru zbyt wiele czasu zabiera; widzimy to wyraźnie w liście wyżej przytoczonym, gdzie czytamy... „Gdzie tu co pisać? Jednak czasem parę godzin rano pracuję, parę godzin przed wieczorem, i tak się pisze „listy" do „Gazety" (Warszawskiej), lub poczęte powieści..."

Praca nad wzniesieniem teatru polskiego w Żytomierzu nasunęła mu myśl wzbogacenia repertuaru tej młodziutkiej, dopiero kiełkującej sceny, kilku własnymi utworami scenicznymi. Wówczas to Kraszewski pierwszą swą komedyjkę napisał, p. t. „Portret". Jej powstanie potrzeba zaliczyć do końca 1854, gdy zaczęto wznosić budynek teatru żytomierskiego. Po niej występują na widownię jego literackiej działalności inne sceniczne utwory, jak „Łatwiej popsuć, niż naprawić" (trzyaktowa przypowieść dramatyczna) a wreszcie „Stare dzieje", które wystawiono po raz piewszy na scenie żytomierskiej dn. 1 stycznia 1858 r., właśnie w czasie, gdy z inicyatywy tronu miała być kwestya uwolnienia włościan z poddaństwa rozwiązaną. Myśl rządu znalazła oparcie w petycyach szlachty polskiej z wileńskiego i kowieńskiego, proszących o zniesienie poddańczej zależności chłopa i pańszczyzny. Bez tego oparcia niepodobna byłoby reformę przeprowadzić, gdyż szlachta rosyjska wszelkiemi siłami jej się opierała... Dla opracowania szczegółów reformy zamierzonej wytworzono z przedstawi-

cieli szlachty komitety prowincyonalne. Wołyński komitet obradował w Żytomierzu. Ścierały się tam pojęcia niekiedy dość wsteczne z ideami szlachetnego postępu, z myślą ofiarną. Do takich rzeczników szlachetnych o wyższej myśli, w tak zwanym „komitecie włościańskim“ wołyńskim, zaliczał się przedewszystkiem Stanisław Chamiec, ziemianin z powiatu rówieńskiego. W celu powiększenia zastępu przyjaciół ludu, Kraszewski — który w sprawie doli chłopskiej niejednokrotnie w powieściach swych głos zabierał—przemawia ze sceny w „Starych dziejach“ do umysłów ziemian obradujących, do sumienia zbiorowego.

Wystawił w „Starych dziejach“ idealną gromadę wieśniaczą, która ocala od ostatecznej ruiny swego dziedzica, wykupując jego dobra odłużone. Ten utwór sceniczny bezwątpienia powstał właśnie w owej chwili gorących sporów o mającą być przeprowadzoną reformę włościańską. Kraszewski zawsze był pełnym zapału bojownikiem doli wieśniaczej, tembardziej w owej chwili, tak ważnej: chciał serca i umysły skierować ku tym masom ludowym i wskazać, że wiekowe zaniedbanie i upośledzenie nie wytrzebiło w ich duszach uczuć szlachetnych...

Nawoływania te zbytecznemi nie były. Rozumiał to wybornie ów wielki obywatel kraju, o którym słusznie powiedziano, iż „wciąż przysłuchując się uderzeniom serca narodu miał możność odtwarzania typów bieżących, poruszania zagadnień doby, wybornego oryentowania się w sprawach danej chwili...“

Sprawą najważniejszą „danej chwili“—podczas prawie siedmioletniego zamieszkiwania Kraszewskiego w Żytomierzu — była reforma stosunków

włościańskich, obalenie poddaństwa i systemu pańszczyźnianego... W niejednej więc pracy z ówczesnej epoki zwraca się do stosunków i losów mas wieśniaczych. Barwy jasne, jakiemi odtwarza usposobienia, tło charakteru ludu wiejskiego nie tylko w scenicznym utworze, tu wspomnianym, spotykamy; ale wielokrotnie gdzieindziej głos zabierając, starał się z poczucia obowiązku obywatelskiego przedstawiać dodatnie cechy tych tłumów, upadających pod ciężarem pańszczyźnianym... „Stare dzieje" nie są tu wyjątkiem. I w innych pracach toż samo się spotyka.

. . . . . .

„Nic smutniejszego nad życie wieśniaka—pisze Kraszewski w „Wieczorach Wołyńskich"—w którem niema prawie miejsca na miłość, tęsknotę, zastanowienie się nad sobą, na potrzeby serca, na rozwinięcie choć cząstkowe tego, co każdy przynosi od urodzenia... Pomimo to, nic poczciwszego w głębi nad ogół tego stanu ludzi..." *)

. . . . . .

Mniemania powyższe pozornie trącą przesadą, w rzeczywistości, w epoce współczesnej, w połowie XIX w., odbiciem były wiernem usposobień owego ludu. Spotykano rzewne nieraz objawy sympatyi dla dworu, jeżeli ten dwór spełniał uczciwie swą misyę przewodniczenia gminie — a na pana tak się zapatrywano, jak na przedniejszego w gromadzie, na opiekuna i obrońcę... Witano go z radością, gdy po długiej rozłące wracał, żegnano ze smutkiem i z błogosławieństwy odjeżdżającego na orężną potrzebę.

---

*) „Wieczory Wołyńskie", str. 115.

Stwierdzamy słowa nasze przykładami z życia Wołynia XIX w.

Gaspar Maszkowski na wiosnę, w roku 1831, sztyftuje się na wyprawę; czyni przygotowania do potrzeby zbrojnej z rodzinnej Bohdanówki, w pow. starokonstantynowskim, za Bug, gdzie już słychać było szczęk oręża. Gromada wieśniacza przychodzi go żegnać; starzy, osiwiali gospodarze, błogosławią odjeżdżającego młodego dziedzica, a młodociany służący, Janek, parobczak z tejże wioski, błaga pana, by go wziął ze sobą na wojnę. Maszkowski nie może oprzeć się błaganiom Janka; wyjeżdżają z Bohdanówki samowtór, zbrojni, i walczą aż do października 1831 r. pod murami Zamościa i w okopach tego najdłużej trzymającego się posterunku. Pod murami Zamościa Janek ocala życie swemu panu, który padł na pobojowisku pod ciosami siedemnastu ran... Padł, ale nie zginął. Na dalszą działalność ocaliły go dłonie owego wiejskiego chłopaka i przyjaciół, towarzyszy broni. *)

Drugim wymownym przykładem pewnej duchowej spójni, łączącej wówczas niejednokrotnie chatę z dworem, jest fakt z roku 1858. Gdy po 27 latach wygnania syberyjskiego, ziemianin powiatu owruckiego, Antoni Pawsza, wrócił z niewoli, dokąd zaprowadziły go były wypadki 1831 r., cała gromada wieśniaków wyszła z chlebem i solą na jego spotkanie... Działo się to we wsi Kleszczach, w owruckiem, gdzie Pawsza mieszkał przed swem wygnaniem i szczególnym trafem wieś ta nie została skonfiskowaną... Długi okres czasu, 27-letni, zabrał ze świata znaczną ilość tych wieśniaków,

---

*) M. Dubiecki, w „Kresach". — Kijów. 1906.

którzy pamiętali Pawszę, pamiętali ową niezwyczajną w owruckiem chwilę, gdy w okolicy, na wieść o walce nad Wisłą poruszyły się dwory i zaścianki nad Uszą, gdy rządy tego poruszenia sprawował Gracyan Baykowski z Antonim Pawszą a walczącymi dowodził Wilhelm Hołowiński, ówczesny marszałek owrucki, i wchodzono w orężne, nierówne boje pod Potapowiczami, pod Waśkowcami, pod Owruczem... Nieliczni, bardzo nieliczni pamiętali owe czasy 1831 r.; było już wieśniacze pokolenie przeważnie nowe, ale i ci świadkowie lat dawnych i generacya młodsza przybyli do dworu kleszczowskiego gromadnie, witając Pawszę, wracającego z niewoli.

Nić tradycyi nie była jeszcze zerwaną, nie stawali między chatą a dworem ludzie nieznani, przybysze, pilnie niszczący wszelkie ścieżki dawnych stosunków i dawnego porozumienia. Na owych ścieżkach chata i dwór wielekroć spotykały się i na tym gruncie nie tylko porozumienie, ale serdeczne niekiedy węzły sympatyi zawiązywały się.

Z owych to starych sympatyi, ze szczątków rozsypanych przeszłości, która była ich wspólnem dobrem, powstała myśl i starszych i młodszych pokoleń powitania dawnego pana, niemal cudem wróconego z nad Irtysza do kniei Polesia owruckiego.

Witał ze łzami przybyłą gromadę stary wygnaniec, każdego z wieśniaków ucałował a nazajutrz do późnej nocnej godziny na podwórcu dworu kleszczowskiego grała muzyka: wieśniacy tańczyli i ucztowali — pan Antoni Pawsza ich podejmował... *)

---

*) Patrz: Pamiętniki Antoniego Pawszy; rękopis przytoczony w wyjątkach u Eust. Heleniusza, Pamiątki z różnych czasów. T. II, str. 479 i nast.

To jeden z rysów stosunku chłopa do dworu, stosunku nie zawsze jednakowo uwydatniającego się — zdarzały się i barwy mniej jasne — ale dwa przykłady tu przytoczone nie były wyjątkiem rzadko spotykanym. Inne cisną się mi pod pióro, również o barwach jasnych. Tym razem o nich zamilczamy, chodziło bowiem o wskazanie jedynie, iż Kraszewskiego twierdzenia, wyżej tu przytoczone o ludzie wiejskim, posiadały w owej epoce realne podstawy.

„Stare dzieje", podobnie jak „Wieczory Wołyńskie", wywoływały jednak tu i ówdzie niechęć i dąsy na autora. „Schlebia zbyt—chłopom", mówiono. „Schlebia niższym warstwom społecznym, poniża klasy górujące..." Takie głosy dawały się słyszeć wśród niektórych kół ziemiańskich. Twarde wyrazy wyrzekań i krytyk nieuzasadnionych na mniemaną demagogię niestrudzonego a wszechstronnego pisarza tembardziej wzrastały, iż, jak wskazaliśmy, toczące się rozprawy o kwestyi uwolnienia włościan wywoływały zbyt sprzeczne, często zbyt dziwne zdania i rozprawy wśród ludzi nagle zaskoczonych tą sprawą, wcale zaś nieprzygotowanych do jej umiejętnego traktowania, bezradnie opuszczających dłonie.

Kraszewski nie zrażał się głosami niechętnych: na długim gościńcu jego zawodu literackiego widziano liczne laury, a niemniej i ciernie. Tych ostatnich zawsze było obficiej; a nawet, posuwając się na drodze życia i pracy, niejednokrotnie musiał przedzierać się przez olbrzymie zapory cierniowe. Na krzyki niesforne nie zważał, bez względu czy fala zawiści i ciasnoty głów wzbierała bardziej lub mniej wysoko, i już w pierwszym okresie swej ob-

fitej, wszechstronnej twórczości, w r. 1838, do krytyków swych i zawistnych mówił: „Mości panowie, nieskończone dzięki—za pochwały nagany rady i przestrogi. Kiedykolwiek co spotkam z czyjejkolwiek ręki—zawsze będę dziękował, lecz nie zejdę z drogi...“ Od chwili wypowiedzenia tych słów do czasów żytomierskich upływało około dwudziestu lat, w ciągu których „nie zeszedł“ z drogi swej; z drogi pracy nieustannej, pełnej znoju, lecz niezmiernie owocnej dla społeczeństwa...

Są ślady, że pilnie opiekował się teatrem: gdy ukończył jego budowę, gdy urządził scenę, sprowadził artystów, nie poprzestał na tem: zasilał repertuar własnemi niekiedy pracami i utworami innych, a wreszcie wytworzył komitet, czuwający nad artystycznym jego rozwojem. Do komitetu oprócz niego wchodził Apollo Korzeniowski, pisarz dopiero zawód swój rozpoczynający, ziemianin Leon Lipkowski i paru innych. Duszą komitetu był Kraszewski, zachęcający wciąż obywateli wołyńskich do ofiarności na rzecz teatru. Stąd więc dawały się wówczas słyszeć głosy, że „teatr jest jego nieustanną jeremiadą“... *)

Dzięki tej „jeremiadzie“ stanął żytomierski przybytek sztuki na znacznym stopniu rozwoju. Sala wciąż zapełniała się, szczególnie, gdy wystawiano utwory bardziej znanych pisarzy. Kraszewskiego „Stare dzieje“, „Miód Kasztelański“, Syrokomli „Wyrok Jana Kazimierza“, „Kacper Karliński“, Apollona Korzeniowskiego „Dla miłego grosza“ ściągały tłumy widzów.

---

*) Patrz: Pamiętniki Spir. Ostaszewskiego (rękopism) w wyjątkach podawał Eust. Heleniusz. (Pamiątki.. T. I).

Obok poważniejszych sztuk przesuwały się przez tameczną scenę rzeczy lekkie, zachęcające niejako do teatru szerszą publiczność, przesuwały się wodewile, przeróbki z francuskiego, do których układał Jan Prusinowski, adwokat i literat, nader dowcipne okolicznościowe piosenki.

Ukazanie się w r. 1859 na scenie dramatu Apol. Korzeniowskiego „Dla miłego grosza" napełniło widownię po brzegi; wywołało wówczas nader silne wrażenie, ale też i wiele niechęci.

Autor nie zwracał uwagi na usterki drobne, ale surowo karcił przywary o najciemniejszych barwach, karcił z niezmierną bezwzględnością.

Dramat ten, stawiający pod pręgierzem pewne koła towarzyskie zmateryalizowane, samolubne, chciwe, był jaskrawą satyrą; nic więc dziwnego, iż obudził swą bezwzględnością niemało niechęci, szczególnie wśród grup ludzi umiarkowanych, wśród pokoleń starszych. Młodzież ówczesna, nader krytycznie zapatrująca się na niektóre sfery społeczne, gorąco oklaskiwała tę udramatyzowaną surową satyrę, podczas gdy obóz starszych z niechęcią, jeżeli nie z oburzeniem ją powitał... *) Niemniej dramat ten ukazywał się kilkakrotnie z powodzeniem na scenie żytomierskiej, a również i kijowskiej, wciąż budząc zachwyty i potępienia, budząc uczucia sprzeczne i wrażenia silne, jako kreacya niezaprzeczonego talentu.

. . . . . .

W r. 1856, w maju, przypadały nowe „wybory" w Żytomierzu, na których znaczną większością głosów, prawie jednomyślnie, został ponownie Kra-

*) Apol. Korzeniowski. Dwa głosy; poemat.

szewski wybrany kuratorem honorowym „gimnazyum wołyńskiego". Wybór tymrazem potwierdzony został przez rząd; były to chwile, po długiej a niepomyślnej dla państwa wojnie krymskiej, gdy rygory dawne zniknęły a zapowiadały się dni jaśniejsze.

Ten obiór włożył na jego barki ciężar nowy i znaczny, wszystkie bowiem obowiązki, jakie ufność ziomków składała w jego dłonie, lub po które sam sięgał, spełniał z sumiennością bezbrzeżną, z zapałem młodzieńczym. Tak było i z ową kuratoryą szkół żytomierskich. Włożył w te nowe obowiązki dużo pracy, czasu i grosza.

Patrzano nań ze zdumieniem, poprzednicy bowiem jego na tem stanowisku traktowali swój urząd jako czczy tytuł i ustalała się opinia, że to stanowisko „niewielką daje możność zrobienia dobrego". Twierdził Kraszewski, wbrew tym opiniom apatycznych kół ziemiańskich, wbrew ludziom niepoczuwającym się do obowiązków obywatelskich, że, korzystając umiejętnie z okruchów nam zostawionych, możemy niejednemu zapobiedz, niejedno naprawić. Dzieje jego kuratoryi usprawiedliwiały to twierdzenie.

Po raz pierwszy zobaczono u nas w owej dobie kuratora czynnego, kuratora, którego głos miał powagę, a działalność nie była bezowocną. Działalność ta rozpoczyna się od owego dnia gdy go obrano. Zaraz objął urzędowanie, nie czekając na procedurę potwierdzenia, tak pewnymi byli tym razem rządowego „placet". I zaczęło się dlań odtąd życie pełne niepokoju, pełne drobnych spraw przeszkadzających mu w pracy literackiej.

W listach do rodziny, do przyjaciół, często

uskarża się na ten odmęt roztargnień odrywających „od ulubionych zajęć“, na tę konieczność połączoną z urzędowaniem wizytowania, rewizytowania, fetowania... czego mocno nie lubił. Zniewolony był jednak wśród gwaru i drobnych zabiegów życie prowadzić, by coś pożytecznego wytworzyć na polu spraw publicznych, do których uprzednio wcale się nie dotykał... „Robię co mogę—czytamy w jednym z jego listów z owej chwili—fraszka literatura, gdy chodzi o ulżenie nędzy, o oświatę i ważniejsze dla społeczności zadania...“ Wspomina o „ulżeniu nędzy“, ciągle bowiem dzieląc ze społeczeństwem zabiegi jego i troski, świadomy jego potrzeb, bierze udział i w Żytomierskiem Towarz. dobroczynności, w Towarz. św. Wincantego a Paulo, założonem przez J. Prusinowskiego, i w zarządzie miejscowego klubu: całego siebie oddaje na usługi publiczne, zarówno w zakresie spraw społecznych, jak i jednostek... Wielokrotnie dawano charakterystykę Kraszewskiego jako pisarza, odmierzano mniej lub więcej ściśle jego wpływ na społeczeństwo, ale prawie wcale nie dotykano charakterystyki jako człowieka... Cierpienia, potrzeby, troski, krzywdy jednostek miały w nim obrońcę, orędownika ofiarnego. O tej stronie jego usposobień powinni pamiętać ci, co pragną odtworzyć w całej pełni postać tę niezwykłą w literaturze i w życiu codziennem, w stosunkach z ludźmi, w sprawach społecznych i prywatnych.

Przezacna jego małżonka, pani Zofia z Woroniczów Kraszewska, stojąc na straży spokoju męża i widząc, że kuratorya, wraz z innemi sprawami publicznemi i całą ciżbą spraw, interesów prywatnych, podkopują jego zdrowie, tak się wyraża w jednym z listów: „... A pracę niesłychaną ma teraz.

Już nie tę dawną, która choć męczyła, lecz razem i przyjemność sprawiała, ale pracę śród ludzi, z ludźmi i dla ludzi, bo się nauczyli nikogo o radę, o pomoc i posługę nie prosić, tylko jego..." A nieco niżej dodaje: ... „czasem to życie... zamęcza do choroby, do rozdrażnienia takiego, że po prostu upada pod niem..."

Niezmierna energia, przebywająca w organizmie dość wątłym, wyrabiała olbrzymią siłę woli, która wspierała, dopomagała przetrwać wszelkie znużenia fizyczne i moralne, znaleźć na wszystko czas, wszystkiemu podołać.

Owoce działalności kuratorskiej, jak na stosunki ówczesne, znaczne były. Troszczył się o losy uczniów niezamożnych, asystował całemi nieraz dniami na egzaminach, wglądał w ich przebieg, w klasyfikacyę postępów uczniów, a wreszcie udało mu się usunąć nieodpowiedniego wcale, długie wszakże lata zasiedziałego w Żytomierzu, dyrektora Kitczenkę. Tę przysługę prawdziwą szkołom żytomierskim dokonał z wielkim nakładem pracy i zabiegów. Że niełatwo mu to przyszło, bo p. dyrektor u władz posiadał zachowanie znaczne, świadczą wyrazy skreślone w liście do jednego z przyjaciół, mieszkającego pod Kamieńcem... „Źle robi wasz poczciwy kurator, że w Kijowie nie bywa i o szkoły mało się troszczy. Ja, stąd się pozbywając nieznośnego dyrektora gimnazyum, mimowolnie wam się nim przysłużyłem. Już gorszego nigdy mieć nie będziemy, ale co mnie zgryzoty wydalenie jego kosztowało, trudno wypowiedzieć..." *)

---

*) Z listu do Konst. Podwysockiego, w roku 1859.

Wydalił wreszcie, ciesząc się, że „gorszego nigdy mieć nie będziemy...“ Było to złudzenie, o jakie u nas zawsze łatwo. Przyszłość nadejść miała wkrótce pełna grozy i przynosiła z sobą rzeczy i ludzi, i zamiary, i wykonawców coraz groźniejszych. Nadeszli mistrze, którzy uczyli „imię własnego kląć ojca, kląć sławę przodków, kląć dzieje stuleci...“ *)

Ku końcowi jego działalności kuratorskiej objął ster naczelnego zarządu okręgu naukowego kijowskiego nie generał, nie dygnitarz biurowy, ale mąż nauki, pedagog, Pirogow, którego nominacya była wyrazem tych lepszych, łagodniejszych prądów, co powiały chwilowo nad olbrzymiemi obszary znużonego wówczas mocno państwa. Kierunek rządów Pirogowa, dążąc do puryfikacyi szkół z różnych naleciałości systemu dawnego, ułatwiał nieco Kraszewskiemu pomyślne załatwiania spraw szkolnych.

Dyrektor gimnazyum żytomierskiego, który był powodem tylu zgryzot naszego pisarza, widocznie w pamięci jego mocno utkwił, jako typ ciekawy: odnajdujemy go bowiem w powieści p. t. „Resztki życia...“ W powieści streszczeniu tak o nim się mówi: „Była to figura niewielka, czupurna, krzykliwa i despotyczna: rozsiewał postrach paniczny—i cieszył się tem...“

„Udobruchać go wszakże było łatwo. Klienci, posiadający tę tajemnicę przynosili mu na ofiarę, czy to głowę cukru, czy pieniądze w brzęczącej monecie, czy prowizye domowe, lub nawet wazoniki z kwiatami — wszystko to przyjmowane było, jako objaw wdzięczności i poważania i skutek swój

*) Apol. Korzeniowski. Dwa głosy; poemat.

wywierało — chyba... że ofiarodawca za długo się namyślał nad złożeniem daru, lub też składał ofiarę zbyt lichą; wówczas—„dyrektor odrzucał ją z oburzeniem, zgrozą, łajaniem, a niekiedy konfiskował na rzecz szpitalów...“ *)

Wizerunek, zaiste, zdjęty z natury ze ścisłością fotograficzną. Podobnie jak znacznie wcześniej napisana powieść malutka p. tyt. „Budnik“ (wyd. w r. 1848) szkicując assesora, modeluje go wedle żyjącego zapewne wtedy wzoru ze Stepania, bądź Rożyszcz; chociaż i ich następcy w podobny sposób przemawiali do różnych Budników: „ja mogę, wiele mogę, bardzo wiele mogę, prawie wszystko mogę... ale „zakon“—to grunt... Budnicy z łatwością oryentowali się, co zrobić, by ów „zakon“ nie zamącał wszechmocy pana assesora...

. . . . . .

Rozumna, pełna poświęcenia i rzutkości młodzieńczej, na polu spraw społecznych, wszechstronna działalność Kraszewskiego zdobywała mu coraz to większe uznanie ogółu ziemiańskiego na Wołyniu. Nie szczędzono dowodów tego uznania, stawiano go jako przykład dla obywateli innych prowincyi; nawet ci, którym się zdawało, że spostrzegali w postaciach jego powieści własne portrety, z pewnem odcieniem karykatury skreślone, o tem nieco zapominali... Kulminacyjnym punktem chwil uznania i hołdów ogólnych dla Kraszewskiego, które mu składało jednomyślnie obywatelstwo wołyńskie, był początek wiosny r. 1857. Wówczas jednym

---

*) Stan. Grudziński: Rozprawa o czwartem dziesięcioleciu działalności powieściopisarskiej Kraszewskiego.

z głośniejszych objawów ogólnego uznania i popularności na Wołyniu był obiad galowy wydany dla Kraszewskiego, w dniu św. Józefa, r. 1857, przez marszałka gubernialnego, na który zaproszono wszystko, co zaliczało się do inteligencyi, do świata głośniejszych ziemian i sfer wyższych urzędowych z gubernatorem na czele. Muzyka uprzyjemniała biesiadę a toasty przedłużały ucztę, która i w owym czasie była objawem wyjątkowym, jednoczącym w czci dla wielkiego pisarza również koła ziemiańskie, polskie, jak i koła oficyalne. Widowisko, zaiste, ani przedtem, ani też później w życiu Wołynia niespotykane.

Chwila największego rozkwitu popularności Kraszewskiego, w kołach ziemiańskich i nieziemiańskich, zarazem też była rokiem ważnym w życiu Żytomierza. Miasteczko dotąd niemal parafialne, bez ludzi wybitnych i bez rozgłosu, szybko stawać się zaczęło ogniskiem skupiającem wybitniejsze siły umysłowe trzech prowincyj, Wołynia, Podola i Ukrainy.

To ognisko rozniecać się zaczęło około r. 1857 i dawało znaki życia w ciągu lat trzech, do r. 1860. Wyjazd Kraszewskiego ostateczny do Warszawy, a niemniej i inne okoliczności sprawiły, iż życie umysłowe i społeczne Żytomierza, wbrew przypuszczeniom optymistycznym o przyszłości miasteczka, przygasać zaczęło i wkrótce zagasło. Efemeryczne znaczenie kulturalne, którego uprzednio i nigdy już później nie posiadało, wyłącznie Kraszewskiemu zawdzięczało.

Po jego osiedleniu się, zaczęli tam osiadać, lub często gościć chwilowo, pracownicy na polu literatury i miłośnicy wiedzy i wybitniejsi ziemianie

trzech prowincyj. Do miejscowych literatów, Maksymiliana Jakubowicza b. prof. un. moskiewskiego († 1853 r.) Edw. Gallego, lekarza, Jana Prusinowskiego, prawnika, przybywają na stałe: Kazim. Komornicki, Antoni Pietkiewicz (Adam Pług), Apollo Korzeniowski, Aleksander Groza. Osiadają ludzie już oddawna używający z różnych względów rozgłosu, w szerokich kołach prowincyi, jak b. naczelny lekarz wojsk polskich z r. 1831—z tego powodu „generałem" nazywany, Karol Kaczkowski, praktyk, używający dużej wziętości; ziemianin zacny a zamożny, pragnący pracować na polu społecznem, Leon Lipkowski; później nieco, młody, niezwyczajnych uzdolnień, lekarz Fortunat Nowicki, wnoszący z sobą dużo zapału do każdej pracy kulturalnej.

Na tym szeregu nie kończy się grupa ludzi wybitnych, których często wówczas na bruku żytomierskim widywano. Zaglądali tam: z Ukrainnego Polesia Erazm Michałowski, z Wiśniowca Włodzim. hr. de Broel Plater, z pod Berdyczowa Eustachy Iwanowski (Eust. Heleniusz), młody uczony Apolinary Zagórski, przedwcześnie zgasły (1858 r.), z Kiwirzec pod Łuckiem, marszałek łucki, Wincenty Piotrowski, z Kijowa, młody poeta, Leonard Sowiński i wielu innych. Przesuwały się przez miasteczko i dłużej tam niekiedy przebywały postacie z lat dawno minionych, wracające z wygnań Wschodu lub z emigracyi, z Zachodu: lekarz Antoni Beaupré, Gaspar Maszkowski, Rabcewicz, Antoni Pawsza; ci do grupy wschodniej należeli; a z Zachodu dwaj Budzyńscy, Wincenty i Michał, Tespezyusz Dubiecki, Stanisław Iwanowski i inni. Gdy Maszkowski, po powrocie z Dauryi Nerczyńskiej po raz pierwszy ukazał się w loży teatru — wszyscy wstali: chciano

w ten sposób swoją łączność z przeszłością okazać i oddać hołd cnocie bojowej i obywatelskiej.

Zdarzało się, wreszcie, i to nierzadko, że i z dalszych okolic, z głębi Rosyi, zawadzali o Żytomierz chwilowo ludzie znani na polu nauki, polacy, których los umieścił poza krajem; przybywali pragnąc zaczerpnąć powietrza swojskiego, poznać Kraszewskiego, lub zasięgnąć jego rady w sprawach literackich. Takim był Antoni Stanisławski, profesor prawa na uniwersytecie charkowskim, przybywał ze swym przekładem „Divina Comedia" Dantego, której część już w r. 1858 była dokonana — i odczytywał jej ustępy Kraszewskiemu... Zbyteczne dodawać, iż, przy tak znacznem ożywieniu ruchu i myśli w miasteczku, przybywały dla rozrywki, dla stosunków towarzyskich liczniejsze zastępy z prowincyi, dalszej bądź bliższej, i mnóstwo ich kołatało do pracowni wielkiego przywódcy życia umysłowego, niespodzianie powstającego tam, gdzie do niedawna było uśpienie zupełne.

Ta ostatnia falanga znajomych, lub niby znajomych z powiatów prawdziwem dopuszczeniem Bożem była dla człowieka pracy, zabierała mu dużo czasu bez żadnej rzeczywistej potrzeby. *)

Początek roku 1858 przyniósł krajowi zapowiedź wielkiego przewrotu społecznego. Rząd, jak wskazaliśmy, opierając się na adresach szlachty

---

*) Jeden z takich przygodnych gości (Antoni Pawsza) tak opisuje swoją wizytę u Kraszewskiego: „Poznawszy p. Kraszewskiego, powiedziałem mu, że zupełnie innego spodziewałem się w nim widzieć człowieka, myślałem, że, jako autora tylu dzieł, zobaczę nudnego pedanta, a tu spotykam bardzo wesołego i przyjemnego człowieka, choćby do mazura ." (Pamiętniki A. Pawszy, u Heleniusza).

kowieńskiej i wileńskiej, postanowił przystąpić do uwolnienia włościan z zależności poddańczej i systemu pańszczyźnianego. Nie znalazł wszakże żadnego poparcia wśród rosyan. Jedynie szlachta polska na Litwie wniosła petycyę do Tronu, prosząc o zniesienie poddaństwa włościan. Redaktorem petycyi i jednym z inicyatorów najgorliwszych, szerzących wśród mas szlacheckich ideę starania się o uwolnienie włościan, był Jakób Gieysztor, ziemianin z pod Kowna. Jego imię powinno na zawsze pozostać we wdzięcznej pamięci milionów uwolnionego ludu. *)

Z rozkazu rządu, w celu opracowania projektów reformy, zawiązano komitety włościańskie, oparte na wyborach, w każdej z trzech gubernii. Obrady komitetu wołyńskiego ujawniły nie tylko usposobienie wysoce zacofane szlachty, ale niechęć słuchania rad i wskazówek ludzi rozumiejących potrzeby ludu i wogóle potrzeby kraju. Kraszewskiego nie obrano do owego komitetu, uważając go za „utopistę i marzyciela". Niemniej on, widząc, iż większość komitetu składa się z jednostek wstecznych i chcąc kwestyę postawić na właściwym gruncie, wskazać cel, do którego w swych opracowaniach dążyć komitet powinien, napisał rodzaj swego credo w tej kwestyi, w formie listu do Wincentego Piotrowskiego, marszałka łuckiego. Żądał Kraszewski w tym liście nadania włościanom sadyb i

*) Jakób Kazimierz Gieysztor († w Warszawie w r. 1897), znany i na polu bibliografii naszej, zostawił bardzo ciekawe „Pamiętniki", oświetlające dzieje reformy włościańskiej w Rosyi i zaszczytny udział w tej sprawie ziemiaństwa polskiego na Litwie, tudzież zacofaną opozycyę szlachty rosyjskiej.

gruntów z indemnizacyą dla właścicieli wiosek. Takie żądanie wydało się dla wielu „wydarciem własności". Rozpoczął się więc przeciw niemu huczek niemały, zawiązał się pewnego rodzaju zatarg z ziemiaństwem wołyńskiem, zatarg później załagodzony, lecz ostatecznie na dnie usposobień obu stron długo trwający.

Jak Kraszewski zapatrywał się na znaczenie tej kwestyi, świadczą jego własne słowa (z listu do marszałka Piotrowskiego): „Teraźniejszy stan umysłów w chwili tak ważnej, gdy bez szkody dla siebie możemy uczynić, co sumienie i rozum każą — przeraża mnie. Dużośmy gadali, a gdy robić przyszło, najpoczciwsi nawet uciekają się do sofizmatów najdziwniejszych... instynkt zachowawczy przeważa i zaślepia. Ledwie można im wytłómaczyć, że, do zbytku interesu swego pilnując, gotowi właśnie go narazić..."

W innym liście do Podwysockiego tak to rozwiązanie wedle „sumienia i rozumu" przedstawia: „...Niepojęcie ważności tej kwestyi włościańskiej nadzwyczajne. Tu, według mnie, niema innego wyjścia, jak odrazu, szczerze i porządnie kończyć: dać sadyby i razem po kawałku gruntu, ale tak, jak wszędzie, za indemnizacyą, nie darmo. Swoboda bez własności — na nic. Sadyba — to nie własność, tylko przykucie; trzeba więcej i inaczej; ale bez szkody niczyjej to wykonać..." Ten programat rozwiązania kwestyi, obszerniej opracowany, opatrzony uwagami przewidującemi przyszłość, zawarty w liście wspomnianym do marszałka Piotrowskiego, odczytany na posiedzeniu komitetu — wywołał burzę olbrzymią... Napróżno nieliczne głosy w komitecie — Winc. Piotrowskiego, Stanisława Chamca — nielicz-

ne, i mniej wpływowe, z poza komitetu—Leonarda Sowińskiego, Fortunata Nowickiego, reprezentujące opinię kół młodszych, wykształconych — starały się uśmierzyć nawałnicę: burza się rozszalała. „Powaśniłem się z połową świata tutejszego o włościańską przyszłość“—pisze Kraszewski do jednego z braci, nie dodając, ale głęboko czując, że tu chodzi o przyszłość tych warstw, z których komitet powstał, o przyszłość całego kraju, o jutro naszego społeczeństwa... Nie rozumiano tego: egoizm brał górę.

W owym czasie odbył Kraszewski podróż pierwszą w swem życiu za granicę. Podróż zabrała znaczną część roku (1858). Przed wyjazdem żywioły lepsze z kół szlachty, których poza komitetem dość wszakże znaczna była ilość, postanowiły burzę uciszyć. Uciszono, acz, jak przyszłość wskazała, nie na długo. Wyrazem uciszenia zatargu była uczta pożegnalna, którą wydano na pożegnanie w imieniu całej prowincyi... Duchy wsteczne, egoistyczne cieszyły się, że po jego wyjeździe nikt im przeszkadzać nie będzie w utrzymaniu projektów reformy na tych torach, na których pragnęli ją utrzymać... I rzeczywiście, w ciągu ośmiu miesięcy nie posunęła się sprawa wcale naprzód, a żywioły zacofane święciły tryumfy.

Wówczas Kraszewski po swym powrocie umieszcza w „Gazecie Warszawskiej“ owe „Listy“ (w styczniu 1859 r.), ostro występujące przeciw brakowi ofiarności, ciasnocie umysłowej ludzi stojących na polu życia publicznego. Wystąpienie było nader bezwzględne, poruszyło i oburzyło niezmiernie nie tylko komitet, przeciw któremu głównie występował, lecz całe tłumy ziemiaństwa. Szczególnie dotkliwie dotykało porównanie trzech prowincyj

z Litwą, na niekorzyść pierwszych. „Tam jest życie — wołał w owych „Listach“ — u nas śmierć, na którą bodaj że niema ratunku, bośmy nareszcie i poczciwego wstydu się pozbyli...“ Podniosły się w prasie głosy niektórych ziemian w obronie prowincyi. Gniewano się, zarzucano krzewicielowi postępu pesymizm... brak miłości kraju. On publicznie w tejże „Gazecie Warszawskiej“ odpowiadał: wywiązała się polemika, trwająca trzy miesiące. W imieniu rzekomo obrażonego Wołynia występował marszałek gubernialny — ostatni od wyborów przedstawiciel ziemian wołyńskich — Karol Mikulicz, twierdząc, że „obywatele wołyńscy są pełni poświęcenia i wiele nad możność uczynili posług i ofiar...“

Z niemałą rzeczywiście goryczą Kraszewski nawoływał do godnego, stosownego do potrzeb chwili postępowania w kwestyi włościańskiej i do ofiarnego spełniania obowiązków obywatelskich. Wołał: „gniewamy się srodze, gdy kto nam wyrzuca winy nasze, a poprawić się nie myślim; tłómaczymy je, sofistykując, jak gdyby z niedopełnienia obowiązku czemkolwiek wytłómaczyć się było można...“ Walka przybierała coraz ostrzejszą formę: zewsząd zaczęły nań sypać się listy podpisane i anonimy, pogróżki, wymyślania, oszczerstwa brutalne... Nawet ludzie zacni, z piękną poza sobą przeszłością, uniesieni ferworem bojowym — jak Spirydon Ostaszewski, dawny żołnierz z pod Zamościa, autor „Piw kopy kazok“ — niepotrzebnie stawali pod sztandarem broniącym pokrzywdzonego niby honoru Wołynia... Spirydon Ostaszewski w liście prywatnym wskazywał wielkiemu pisarzowi, iż gdy nie chodził na działa, nie odbywał podróży w kajdanach, etapem, a jedynie „poświęcił tysiące

liber papieru na pisanie powieści", niema prawa mówić o poświęceniu... „Chcesz być apostołem poświęcenia — pisze Ostaszewski — daj przykład, daj kości na potrzaskanie, daj nogi w kajdany, a inaczej, przepraszam dobrodzieju, to nie uchodzi..."

. . . . . .

Kraszewski od szeregu lat był obyty z pociskami, które wywoływały jego szczerość zdania i otwartość słowa, nieoglądanie się na nikogo, gdy chodziło o dobro ogólne. Dobry obywatel kraju, widząc i tym razem rozszalałą burzę gniewu za słowa prawdy, nie cofnął się z areny polemiki. Prowadził ją dalej. „Gniew wasz — mówił im — pociesza mnie i raduje, żądałem go"... I wypowiada ponownie czego to mianowicie żąda od ziemian Wołynia, Podola i Ukrainy... „Niech gniew ten, na złość niegodziwemu oszczercy, wywoła szkołę agronomiczną, towarzystwo dróg szosowych, szkółki dla ludu po wsiach, restauracyę kościołów, stały fundusz na podtrzymanie teatru... niech jeszcze, na złość mnie, przyłoży się do uczynienia stypendyów przy gimnazyach dla ubogich uczniów, ochron po miastach, do pozamykania karczem po wsiach... Bez żadnej przesady, jeśli, uczyniwszy to, czego po was kraj wymaga, zechcecie potem, jako oszczercę, ukamienować mnie na rynku, wyjdę na plac, uściskawszy żonę i dzieci, i stanę z twarzą pogodną na męczeństwo"...

Niestety, żadne z tych żądań, żadna z tych potrzeb krajowych nie zostały załatwione, ani wówczas, ani też później... aż do dziś; lecz rzecznik tych i innych, gwałtownych potrzeb społeczeństwa był kamienowany—wprawdzie nie złomami bruku miejskiego — ostremi wszakże ciosami zjadliwych arty-

kułów, w dziennikach, paszkwilami, anonimami... Wplotła się do tego pospolitego ruszenia, powołanego przeciwko Kraszewskiemu, często u nas spotykana prywata. Wśród ludzi głośniejszych wówczas na Wołyniu mieszkał w Żytomierzu doktór, cieszący się wziętością wielką, o którym tu wspominaliśmy, Karol Kaczkowski, człowiek znacznej ambicyi, podrażniony nieco popularnością i wziętością Kraszewskiego; mniemał on, że kuratorya honorowa gimnazyum jemu się należy, podniecał przeto opinię, spodziewając się, że na przyszłych „wyborach", które przypadały, w maju 1859 r., obejmie stanowisko obalonego Kraszewskiego...

D-r Karol Kaczkowski, wraz z Aleks. Grozą, L. Lipkowskim i kilku innymi ludźmi dobrej woli, założył (w r. 1858) w Żytomierzu „Stowarzyszenie księgarsko-wydawnicze". Inicyatorem rzeczywistym „Stowarzyszenia" był znany wtedy literat, Aleksander Groza, człowiek skromny, nielubiący wysuwać się na plan pierwszy, Kaczkowski, więc objął ster „Stowarzyszenia" rzeczonego, usuwając na plan dalszy Grozę. Kiedy Kraszewski, widząc, że to „Stowarzyszenie", niepraktycznie prowadzone, nie wyda należytych owoców, nie chciał doń wstąpić, Kaczkowski przeciw niemu wystąpił, sprzymierzywszy się z marszałkiem gubernialnym, Mikuliczem i całą falangą różnych wstecznych żywiołów. Wystąpienia d-ra Kaczkowskiego przeciw Kraszewskiemu w druku najzupełniej identyczne były z wystąpieniami Mikulicza.

Pomimo zmobilizowania przeciw Kraszewskiemu znacznego nieprzyjaznego obozu, Wołyń i obudzona opinia w sąsiedniem Podolu i Ukrainie, posiadały tyle jeszcze żywiołów lepszych, niezaślepio-

nych prywatą, posiadających szczerą chęć iść za wielkim mistrzem słowa, urzeczywistniać niejedną jego myśl obywatelską, iż „wybory“ nowe—w maju 1859 r.—ponownie powołały na kuratora szkół Kraszewskiego—kandydatura d-ra Kaczkowskiego upadła... Ten ostatni nie utrzymał się nawet jako zastępca. Po Kraszewskim największą ilość głosów posiadał hr. Włodzimierz de Broel-Plater. Do zwycięstwa na wyborach po części przyczyniła się deputacya młodzieży szkolnej i uniwersytetu kijowskiego, która, w sposób nigdy przedtem niepraktykowany, weszła z adresami na salę obrad, prosząc swych ojców i braci, prosząc cały ogół wyborców, by nie pozbawiano szkół żytomierskich takiego opiekuna, męża wielorakiej zasługi.

Były głosy wprawdzie, nazywające owych akademików, demonstrujących na sali wyborów „zuchwałą młodzieżą“, niemniej jednak nieprzebrzmiało to ujęcie się młodego pokolenia za wielkim obywatelem, ku któremu ich serca się skłaniały. W sali wyborczej na 328 głosujących oświadczyło się za nim 267. *) Było to zwycięstwo nad wichrzycielami stanowcze; zwycięstwo tembardziej upokarzające warchołów, działających niekiedy bezwzględnie, iż z prowincyi odzywały się liczne głosy za Kraszewskim.

*) Z biegiem lat liczba uczestniczących w „wyborach“ gubernialnych wciąż się zmniejszała. Wedle wskazówek Ant. Pawszy, w r. 1814 ilość wotujących na Wołyniu dochodziła do 900; w r. 1859 zaledwie ich było 310. Świadczy to jak znaczny procent wielkiej własności ziemskiej wyszedł z rąk dawnego obywatelstwa, a przeszedł do rządu, bądź też rozpadła się większa własność na drobne cząstki. (Pamiętn. A. Pawszy, u Heleniusza, „Pamiątki Polskie“. T. II).

Do najpoważniejszych takich głosów z poza Wołynia zaliczyć potrzeba odezwę ziemian podolskich podpisaną przez przedniejszych obywateli, odpowiadającą na broszurę Kaczkowskiego przeciw Kraszewskiemu. *)

Chociaż burza została zażegnana i wybór wypadł korzystnie dla Kraszewskiego, oświadczył on jednak, że urząd jedynie na rok przyjmuje, wówczas już bowiem czynione mu były propozycye przez Leopolda Kronenberga objęcia w Warszawie redakcyi „Gazety Codziennej". Długo się wahał. Zatarg z ziemiaństwem wołyńskiem zniechęcił go bardzo o pozostania dłużej w Żytomierzu; miał zamiar osiąść znowu na wsi, w Kisielach, w pow. starokonstantynowskim, które przed kilku laty spadły w sukcesyi na jego żonę, marzył i o założeniu wielkiego dziennika na akcyach; ale myśl ta nie znalazła echa na Wołyniu. Ten ostatni zawód, iż nie zrozumiano doniosłości jego myśli i nie wsparto jej środkami pieniężnymi, mocno się przyczyniły do ostatecznej decyzyi objęcia w Warszawie redakcyi „Gazety Codziennej".

---

*) Pojednanie Kraszewskiego ze szlachtą wołyńską i jej naczelnym przedstawicielem, marszałkiem gubern., Karolem Mikuliczem, nastąpiło na tychże wyborach publicznie. Mikulicz za swe wystąpienia niewłaściwe przeprosił Kraszewskiego, a sejmikująca szlachta, rozczulona, ich obu na rękach nosiła Popularność tylko d-ra Karola Kaczkowskiego od owego czasu najzupełniej upadła; wkrótce o nim zapomniano; i wszelką miał słuszność ktoś, co się wyraził o wynikach tego zatargu, iż Kaczkowski „a payé le pot cassé"... Po kilku latach umarł ten znany szeroko i ceniony lekarz na wygnaniu w Chersoniu, dokąd go uniosła burza 1863 r.

Nie opuszcza jednak Żytomierza i stanowisk tam zajmowanych do lutego 1860 r.

Ostatnie półtorarocze pobytu w Żytomierzu, poza owemi burzami i zatargami, poza pracami literackiemi, przyczynia się coraz bardziej do krzewienia w umysłach różnych pomysłów, skierowanych ku dobru ogólnemu. Pomysły nietylko płyną z jego inicyatywy, lecz powstają w głowach różnych jednostek, przejętych wyższą myślą obywatelską. Zaczynają się zakładać ochrony dla wiejskiej dziatwy; tworzą się małe zawiązki szkółek ludowych; drukują się wyborne elementarze dla tychże szkółek, ułożone przez lekarza Fortunata Nowickiego, wreszcie powstaje myśl założenia Szkoły Rolniczej.

Kraszewski zawsze, z niezmierną ruchliwością, zwrócony ku potrzebom społecznym, widział już w pierwszych chwilach rozwoju kwestyi włościańskiej, iż wkrótce zmienią się warunki, wśród których dotąd gospodarowano, że gwałtowna jest potrzeba kształcenia umiejętnych rolników i dozorców gospodarczych. Myśl tę, wraz z wielu innemi myślami, nawołującemi do natychmiastowego urzeczywistnienia, wypowiadał słowem i drukiem w swych nader ciekawych „Listach", przesyłanych do „Gazety Warszawskiej", które są wybornem odźwierciedleniem stanu ówczesnego społeczeństwa w trzech prowincyach południowych. Przedstawiał plan wytworzenia szkoły wyższej agronomiczno-technicznej, gdzie mieli się kształcić technicy, rolnicy, ekonomowie i niższa służba gospodarcza. Zakład mógłby być założony na akcyach, a zarząd spoczywać w ręku obywateli miejscowych, wybranych z grona akcyonaryuszów. Wskazywał, iż ofiary na założenie takiego instytutu nie byłyby zbyt wielkie; fundusze z łatwością mo-

głyby być zebrane, a korzyści otrzymane z podniesionego gospodarstwa stokrotnie opłaciłyby nakłady... Sam wreszcie wnioskodawca oświadczał, iż gotów w każdej chwili z pomocą, jakiejby na swem stanowisku mógł dostarczyć. „Potrzeba tylko wspólnej zgody — mówił — woli i wytrwałości, aby myśl tę przyprowadzić do skutku, a gdybyśmy w czem pomocą ku temu być potrafili, najchętniej się ofiarujemy...“

„Ofiarowywał“ siebie w kwestyi podniesienia materyalnego dobrobytu kraju, tak jak milionem egzemplarzy swych dzieł służył gwoli umoralnieniu społeczeństwa, bardziej i skuteczniej, niż „najpiękniejsze rozprawy o moralności i zasadach wiary, pisane przez ludzi bez moralności i bez rzeczywistej wiary, jakich w bojach naszej publicystyki niemało napotykamy...“ *)

W chwili, gdy Kraszewski marzył o politechnice, którą wzniecić miała inicyatywa prywatna i fundusze obywateli trzech prowincyj, wybór zaś miejsca założenia zależny był od decyzyi przyszłych akcyonaryuszów, znalazł się człowiek bez środków i bez stosunków, ale pełen ducha patryotycznego i gorącego pragnienia dobra powszechnego, snujący plan podobny, ale na znacznie mniejszą skalę.

Był nim Hilary Korzeniowski, brat poety Apollona... **) Powziął on myśl założenia, również na akcyach, niższej szkoły dla parobków i dozorców gospodarstw rolnych. Szkoła miała stanąć o jaką

*) Karol Estreicher: „J. I. Kraszewski. Przypomnienie czterdziestolecia zasług piśmienniczych i pracy“.—Kraków. 1871.

**) Hilary Korzeniowski w r. 1864 wywieziony do Zach. Syberyi, wkrótce tam zmarł.

milę pod Żytomierzem, około Kmitowa, przy gościńcu, prowadzącym do Kijowa.

Aspiranci do rzeczonej szkoły rekrutowaliby się z sąsiednich zaścianków szlacheckich, co rzuciłoby niejedną iskierkę światła pod strzechę tej licznej a zapomnianej i zaniedbanej warstwy społecznej... Wydrukowany w oddzielnej broszurce projekt, rozrzucany na zjazdach szlacheckich i kontraktach kijowskich, w latach 1859 i 1860, zaznajamiał z tą myślą szerszy ogół i w ten sposób kołatał do ofiarności publicznej... I ta myśl, podobnie jak myśl Kraszewskiego o instytucie techniczno-agronomicznym—nie została urzeczywistnioną; samo wszakże istnienie takich pomysłów, bodaj w zawiązku, świadczy jak w onej epoce — niezbyt dawnej, dziś mało znanej — mocnemi tętny bić zaczęło życie publiczne, jak się zaczęto krzątać około spraw społecznych znacznej doniosłości.

Dużo podobnych, pożytecznych myśli, planów, powstawało pod dachem cichego, o skromnej postawie domku przy ul. Małej Cudnowskiej, gdzie przebywał i nieustannie snuł nić pracy nigdy niezrywającej się, a tak zadziwiająco wszechstronnej, mistrz słowa i mistrz czynu...

. . . . . .

W długim okresie wołyńskim twórczości Kraszewskiego doba około siedmiu lat strawionych w Żytomierzu jest nader ważną chwilą. Wszystkie prawie najcelniejsze powieści okresu wołyńskiego powstały za dni owych siedmiu lat żytomierskich. „Jermoła“, „Dwa światy“, „Boża czeladka“, „Dyabeł“, „Chata za wsią“, „Powieść bez tytułu“, „Metamorfozy“, „Caprea i Roma“, „Resztki życia“, „Starościna Bełska“, że o innych nie wspomniemy,

chociaż zostały napisane w Żytomierzu, wraz z mnóstwem opracowań pamiętników (J. D. Ochockiego i inne) z mnóstwem korespondencyi do dzienników, z mnóstwem studyów rozmaitych, jak „Wieczory wołyńskie", które stały się jednem z zarzewi, rozniecających gniew na autora, podczas owego głośnego zatargu z pewnemi kołami szlachty wołyńskiej.

Kraszewski, podczas doby żytomierskiej działalności, dostarczał naszemu piśmiennictwu od dziesięciu do dwunastu tomów rocznie, a jeżeli dodamy do ilości tej znaczną liczbę korespondencyi do dzienników, to otrzymamy ogromną sumę prawie stu tomów, które wytworzył ten niezmordowany umysł w ciągu niespełna siedmioletniego pobytu w Żytomierzu. Jednocześnie rozpoczynał kilka prac najzupełniej różnych i jednocześnie je kończył.

Cała różnorodna ciżba robót nie przeszkadza mu, nie mąci myśli. „Myśli tej potrzeba swobody, ruchu, odświeżania się przemianami..." *) Przy całej, niezmiernej wrażliwości ataki krytyki literackiej, wielekroć niesłuszne, drażniące — podobnie jak wspomniana tu walka, wypowiedziana mu przez stronnictwa wsteczne — nie wyprowadzają go z równowagi, nie przeszkadzają w pracy. A jeśli niekiedy przeszkadzają i zniechęcają, nigdy nie poddaje się znużeniu.

Krytykom rzadko odpowiada: wyręczają go w tem niekiedy inni. Gdy Michał Grabowski, dając wodze swej osobistej niechęci, przy końcu r. 1856, pisał w „Dzienn. Warszaw." z tak niezmiernem lekceważeniem o całej Kraszewskiego działalności piśmienniczej, iż tem dotknął i wielu literatów, słusz-

*) Estreicher, l. c.

nie oceniających wielkiego pisarza i szerokie koła jego czytelników, powstały liczne odpowiedzi przeciw Mich. Grabowskiemu, posypały się listy do Kraszewskiego od znajomych i nieznajomych, z różnych okolic Polski, wyrażające mu cześć i wdzięczność za jego długoletnie prace a oburzenie na Grabowskiego. *)

Z publicznych literackich wystąpień przeciw M. Grabowskiemu wyróżniało się pióro, zawsze nader ostre, Apollona Nałęcz-Korzeniowskiego, który tem mniej Grabowskiego oszczędzał, iż ten ostatni stał na stanowisku narodowem dość dwuznacznem, co wywoływało niejednokrotnie oburzenie wśród ówczesnego społeczeństwa... Podczas, gdy pióro Apollona Korzeniowskiego bezwzględnie występowało przeciw Grabowskiemu, z poza puszcz litewskich dolatywał do Kraszewskiego, w imieniu Litwy przysłany, głos Ignacego Chodźki, pełen uznania i czci.

Ten głos z Litwy, podobnie jak głosy liczne wielu innych, napełniał Kraszewskiego radością; w echach tej szczerej sympatyi ziomków czerpał, jak się wyrażał, „siłę do pracy, po dwudziestu kilku leciech trudu i znużenia..."

---

*) Michał Grabowski nie cieszył się sympatyą z powodu swych zapatrywań politycznych, szczególnie wśród młodzieży kijowskiego uniwersytetu. Urządzano mu niekiedy szykany drobne. Raz np. w czasach, o których mówimy, ujrzano na jego domu w Kijowie szyld z napisem: L'école cosmopolitique... wiedziano i pamiętano, jakie jest credo polityczne M. Grabowskiego wypowiedziane w listach do Pisarewa (w r. 1843) i później do Jul. Strutyńskiego. W ostatnim mówił M. Grabowski: ... „mniemana historyi polskiej samoistność jest zakończona, odtąd być ona tylko może jako członek Rosyi lub Słowiańszczyzny"...

Na odezwę Chodźki i jego obronę, występującą w imieniu Litwy, Kraszewski odpowiedział obszerniej. Wśród innych myśli czytamy tam: „...Prawdziwie wyrazów nam dobrać trudno na podziękowanie mu i tej Litwie, dla której w sercu naszem zachowaliśmy młodzieńczą miłość i wdzięczność synowską... Nieraz, tak w tem, co się zowie zawodem naszym, przychodzi zupełnie zwątpić o sobie, o pożytku jakiejkolwiek pracy, o najmniejszej zasłudze, i zatęsknić za zmarnowanem życiem... droga nam każda kropelka orzeźwiająca, każde słowo zachęty, każde uznanie trudu, zwłaszcza gdy je takie usta, jak szanownego autora „Obrazów Litewskich", ogłoszą"... *)

Chociaż już w drugiej połowie 1859 r. Kraszewski zawarł ostateczną umowę z Leopoldem Kronenbergiem o objęcie w Warszawie redakcyi „Gazety Codziennej" i już w sierpniu rzeczonego roku wydał programat swój, jako redaktora, w którym zaznaczył: „przywiązanie do naszej wiary świętej, poszanowanie przeszłości, ufność w pracy, mającej zgotować przyszłość"... niemniej Żytomierz opuszcza dopiero w lutym 1860 r. Rodzina jego bawi tam o kilka miesięcy dłużej... W czerwcu ukazuje się jeszcze na chwilę, dla odbycia rodzinnej uroczystości — i już go potem nigdy Żytomierz nie widział.

Innymi tory potoczył się odtąd rydwan przeznaczeń tego wiernego syna i sługi ojczyzny. Na widowni stolicy wpływ jego roztacza szersze kręgi. Rozpoczynają się wypadki niespodziane, wielkie, w tragiczne następstwa obfite. We trzy lata po opusz-

*) „Gazeta Warszawska"; r. 1857, № 12.

czeniu Żytomierza, przemożna dłoń margrabiego Aleksandra Wielopolskiego, która nie znosiła wyższych umysłów w kraju, wyrzuciła go na tułactwo z ojczyzny — na tułactwo aż do zgonu...

Nim jednak opuści ziemię ojczystą, nim pójdzie na tułactwo, myśl jego zwraca się do Żytomierza, gdzie zostawił cząstkę swego życia pracowitego, skąd tyle rozrzucił skarbów swej myśli. Zwraca się do tej „parafialnej mieściny", którą na lat kilka był zrobił duchową stolicą Wołynia i ziem ościennych, daje miastu słowo niby pożegnania, a w tem pożegnaniu, ze znamieniem życzliwej pamięci, tkwi coś jakby proroctwo. Pisał on w sierpniu 1861 r. te słowa: „Kilka krótkich lat rozrostu i umysłowego rozwoju miasta starczyły za dziesiątki, a ludność w przeciągu tego czasu prawie się podwoiła. Byłoby to szyderstwem losu, gdyby nie było raczej przeczuciem przeznaczeń i posłannictwa... My wierzym mocno w ostatnie... Mieszkańcy są, jak miasto — młodzi sercem i uczuciem nad miarę. Pragną dobra, garną się ku niemu; a jeśli po drodze przyjdzie co ciężkiego, czasem się zniecierpliwią, czasem postąpią porywczo... Dajcie im tylko otuchę, natchnijcie myślą, a zobaczycie, jak żywo podniosą dłonie i ochoczo porwą się do pracy... Wszystko więc prorokuje miastu wzrost i szczęśliwą dolę... a jeśli Bóg da pożyć, ujrzymy, że nie napróżno tak się spieszyło budować, tak pragnęło rozrosnąć... na przyjęcie wielkiego gościa — ducha wieku i postępu"...

Długie a nader ciężkie pół stulecia przesunęło się nad owem miastem, wystawionem na burze, niosące groźne zawieje, zasypujące rodzimą kulturę, a tylko na takiem rodzimem podścielisku mógł urość

postęp, o którym marzył siewca swojskiej myśli. Nie wątpimy jednak, iż słowa jego ziszczą się — chociaż może po wielu latach... Ziarno pszenicy, zagrzebane przez liczne wieki w rumowiskach piramid Egiptu, wyniesione na działanie słońca—kłos wydaje. Azali ten sam los nie może spotkać ową starą siejbę naszej kultury, którą rzucał niegdyś po innych i wśród innych w glebę Wołynia J. I. Kraszewski, mądry odnowiciel społeczeństwa, niestrudzony pracownik na ojczystym zagonie?...

Pisałem w Krakowie, w r. 1912.

EMERYCI.

Ze wspomnień o dawnym Żytomierzu.

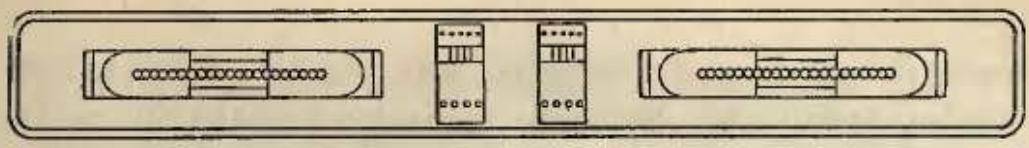

Emeryci.

Ze wspomnień o dawnym Żytomierzu.

„Już tylko widzę, gdzieś tam, wasze krzyże...
Mogiły wasze już z ziemią zrównane,
Trawy i zielska na nich już nieświeże,
A wszystko społem milczeniem odziane.
Puszczyk je przerwie lub wędrowne ptaszę,
Gdy zbłądzi spocząć na mogiły wasze"...

T. A. Olizarowski.

W połowie XIX-go wieku Żytomierz miał postać bardzo swojską, lecz też zarazem bardzo zbliżoną do małej mieściny, do miasteczka, które ze swej sielskości pierwotnej niewiele jeszcze straciło. Na kończynach tonął wśród ogrodów, wśród płaszczyzny mocno zadrzewionej, cienistej, ze znaczną ilością sadów owocowych. Drzewa stare, rozłożyste, o konarach bujnych, sękatych, pokrzywionych, świadczyły o dawności osiedlenia, ale zarazem i o pracy pokoleń, o ich zamiłowaniu rolniczem, o troskliwej zapobiegliwości, by siedzibę swą umaić, ozdobić, by troskliwą opieką nad sadami podnieść własną wygodę i pomnożyć nieco dochód z ubogich dworków, chat. Dworki bowiem i chaty tworzyły kończyny ówczesnego Żytomierza, a nawet i do środkowych dzielnic miasta dochodziły.

Zamiłowanie ogrodów to znamię nasze rodzime, z którego wyzuwać się, o którem zabaczać

zaczęliśmy dopiero wtedy, gdy obce wpływy rozwielmożniły się. Byliśmy przedewszystkiem narodem rolniczym, wieś u nas znaczeniem nad miastem zawsze górowała; rezydencye możnych i dwory szlachty to ogniska wyższej kultury, to kolebki pomysłów, przedsięwzięć często niepospolitych. Siedliska wiejskie, roztaczające wielekroć promienie daleko sięgające światła, otaczano zwykle ogrodami, drogi od nich prowadzące wysadzano drzewami na znacznych przestrzeniach. Takie aleje, biegnące przez pola od większych lub nawet od małych dworów do wsi sąsiedniej, lub w kilku kierunkach do granic posiadłości, niezaprzeczoną były wskazówką, iż tam, gdzie ich początek, istnieje siedziba, roztaczająca wpływ cywilizacyjny. Dość rzucić okiem na przestworza ziem polskich, by stwierdzić prawdę naszego orzeczenia. Puławy, Poryck, Wilanów, Międzybóż, Oliwa na Pomorzu, Samostrzały na Wołyniu, Rucewo pod Puckiem, ze swą wspaniałą aleją lipową, sadzoną przez Jana III nad Bałtykiem, Szczorsy Chreptowiczów na Litwie, Konary Sołtyków w Sandomierskiem i tyle, tyle innych, teraz w znacznej części zniszczonych, opustoszałych — są świadectwem prawdziwości tego spostrzeżenia...

Dziś, gdy prądy czasów odmiennych, burz wielorakich, w ciągu ostatnich stu lat, zmieniły i postać ziemi naszej, i oblicze narodu przekształciły— nadając mu rysy, z którymi mógłby być przez ojców niepoznany — resztki owych ogrodów, owych niegdyś nieskończenie długich dróg wysadzonych drzewami, resztki drzew okaleczałych, usychających, samotnie stojących wśród trzebieży, jedynymi świadkami są innego życia, większego światła. Myśl znużona, patrząc na kraj ruin, tak rażąco odbijający

swem ubóstwem, zaniedbaniem, od ziem leżących poza miedzą zachodnią, na konarach tych drzew spocząć może na chwilę, bo one łączą ją z przeszłością... Im bardziej w przeszłość się cofamy, tem cenniejszymi są dla nas owe pomniki życia zagasłego.

Zamiłowanie ogrodów, staranne ich pielęgnowanie przechodziło z siedzib większych do mniejszych, do przedmiejskich osad, krzewiło się wśród nich, ustalało. Tam szczególnie, gdzie miasteczka posiadały cechę sielską — a wszystkie prawie nasze były takiemi—tonęły one i rozpływały się w ogrodach. Gdy przytem miasteczko prywatną własnością było, a ogrody ubogich zagród przedmieszczan przypierały do większych zadrzewionych przestrzeni, do parków i dróg wysadzanych potężnemi lipami lub pnącemi się w górę topolami, korzystały małe mieszczańskie ogródki z umiejętności, włożonej w parki, ze wzorów, z przykładu, ze wskazówek.

Miał Wołyń przed stu laty wielkiego miłośnika ogrodów i krzewiciela tego kultu wśród bliższej i dalszej okolicy. Był nim nie magnat, ale szlachcic dość zamożny, Wacław Borejko, który dużo łożył na ogrody u siebie w Samostrzałach i umiejętność zakładania, pielęgnowania parków, alei rozszerzył na dużych obszarach swej prowincyi. O nim to księżna Izabela Czartoryska, generałowa ziem podolskich, napisała: „Widziałam rzecz osobliwą i rzadką—botanikę w kontuszu"... Stary ten ziemianin, który jeszcze niekiedy kontusza używał, z upodobań, z pracy, w jednym kierunku długie lata łożonej, słusznie mógł być nazwanym botanikiem-samoukiem i ogrodnikiem zarazem... Jego wpływy szeroko sięgały, ale do Żytomierza nie docierały.

Ogrody przedmieść żytomierskich korzystały z różnych wpływów długie lata i odznaczały się mniej dobrym smakiem, niż dawnością. Wschodnią część miasta otaczały długą, a zarazem szeroką smugą zieloną ogrody, rozpoczynając się o jakie pół mili od środka miasta. Im bliżej do środka miasta zbliżał się wędrowiec, dążący ze wschodu, tem większe ogrody, tem starsze drzewa go spotykały, roztaczając owo znamię sielskości, które starego Żytomierza, Żytomierza z pierwszej połowy XIX w., było właściwością. Od zachodu lasy obszerne do miasta dochodziły, że nie wkraczały do ulic miasteczka, to tylko dzięki parowowi głębokiemu, z rzeczką na dnie sączącą się. Pozbawiony tych granic naturalnych, bór wkroczyłby zapewne do miasta, jak wkraczały z przeciwległych okolic ogrody.

Ta sielskość miasta prawdopodobnie przyczyniała się do ściągania się na jego bruk emerytów. Był czas, właśnie około połowy ubiegłego stulecia, iż spotykano tam ich szereg, może nie nader tłumny, lecz złożony z postaci, które na szerszej życia arenie pewną rolę odegrały, a w każdym razie były postaciami charakterystycznemi i zarazem pewnych, nawet niemałych zasług.

. . . . . .

Pracownicy ci, szukający wypoczynku na bruku miasteczka o wiejskim wyglądzie, to przeważnie byli osiwiali oracze twardej gleby pedagogicznej. Wszyscy oni sięgali latami swej młodości XVIII w., wszyscy, dłużej bądź krócej, oglądali upadającą wprawdzie, lecz z imienia jeszcze niepodległą Rzeczpospolitę.

Kontyngensu tych emerytów-pedagogów dostarczyły szeregi zburzonej instytucyi krzemieniec-

kiej... Tak liczny zastęp ludzi nauki, o szerokich rozmiarach wiedzy, ludzi pracy z wyższą myślą, ludzi doświadczenia, spotkano wśród ruin obalonego liceum, że można było nimi obdzielić niejeden wyższy zakład naukowy na Wschodzie... Wnet więc po zwinięciu nagłem liceum krzemienieckiego znaczną część grona nauczycielskiego przeniesiono na grunt inny, najzupełniej obcy, do Kijowa, gdzie zakładano uniwersytet rosyjski. Celem nowej, mającej powstać instytucyi nad Dnieprem miało być przetworzenie duszy młodzieży polskiej. Środki materyalne zaczerpnięto z funduszów, na których opierał się byt liceum krzemienieckiego, z funduszów, powstałych ongi z ofiarności hojnej ziemian polskich. Pod tym względem wszystko było w porządku... Nasunęła się jednak troska niemała, skąd wynaleźć wykładających, odpowiadających celom, dla których wznoszono nową instytucyę?... Ludzi odpowiednich, z kwalifikacyami naukowemi Wschód dostarczyć nie mógł, gdyż na własne potrzeby stosownej ilości wówczas nie posiadał. Należało zatem nie tylko na podstawie funduszów polskich tworzyć instytucyę, dążącą do zagłady wspomnień przeszłości w umysłach i sercach młodych pokoleń, ale posługiwać się dla swych celów polskiemi siłami naukowemi. Sytuacya wcale przykra była obustronnie. Pedagodzy nie mogli się stać narzędziem powolnem, a ich zwierzchność patrzała na nich podejrzliwie, bardziej niż podejrzliwie, patrzała wrogo. Skorzystano z pierwszej nadarzonej sposobności — z odkrycia wśród młodzieży zwolenników robót Szymona Konarskiego, z odkrycia kilku książek niecenzuralnych w rękach akademików — i wszystkich profesorów, dawnych krzemieńczan, przeniesiono

z Kijowa do uniwersytetów lub innych zakładów naukowych w krajach zadnieprzańskich.

Uniwersytet opustoszał. Wykłady zamilkły najzupełniej. Po roku dopiero odemknięto opustoszałe audytorya, ale już inni ludzie stanęli na katedrach: krzemienieccy mistrze rozpierzchli się po wschodnich przestworzach. Zapełniano nimi różne stanowiska na Wschodzie. Skorzystał Charków, Moskwa, skorzystały potroszę i inne, mniej znane miejscowości, do których wysłano tych z krzemieńczan, którzy nie posiadali wyższych stopni naukowych...

Po dziesięciu, piętnastu latach wracać zaczęli jako emeryci do kraju, osiedlać się w różnych zacisznych miejskich siedzibach: Żytomierz, acz urzędowa stolica prowincyi, do tych cichych siedlisk zaliczano... Pokazały się więc na jego bruku postacie przed laty znane, cenione niegdyś w Krzemieńcu, lecz przeważnie niedługo na nim gościły: zbyt były zmęczone życiem, pracą, szybko przechodziły do mogiły, znikały z widowni świata i pamięć o nich szybko zatracała się.

W lat dwadzieścia po epoce listopadowej widziano ich tam czterech. Trzej na różnych grzędach pracy pedagogicznej stracili życie, czwarty zaś wyszedł z tego grona, które pracowało nad wzniesieniem podwalin szkoły krzemienieckiej... Pierwsi: to Franciszek Miechowicz, niegdyś profesor w Krzemieńcu, później profesor i dziekan wydziału matematycznego w uniwersytecie kijowskim, wreszcie, od r. 1839, emeryt; drugi Maksymilian Jakubowicz, który z katedry licealnej krzemienieckiej przeszedł na profesora do młodocianego uniwersytetu kijowskiego, potem na takież stanowisko do Moskwy, trzeci wreszcie, Józef Osieczkowski, niegdyś asy-

stent Miechowicza w Krzemieńcu przy katedrze mechaniki, później, po upadku liceum, przerzucony za Dniepr na nizkie szczeble pracy, do szkół średnich w Nowogródku Siewierskim. Czwarty zaś, ongi sekretarz i wieloletni współpracownik Tadeusza Czackiego, Józef Kruczkowski, którego działalność długa ściśle zjednoczona była ze sprawami administracyjnemi szkoły krzemienieckiej, z rozwojem jej funduszów, czuwaniem nad nimi i oględnem ich szafowaniem. Mąż to zasługi niepospolitej, nieodłączny towarzysz Czackiego w jego zabiegach i podróżach.

. . . . . .

Wśród cichej mieściny życie tych sędziwych emerytów, z których każdy rozpoczynał swe studya szkolne przed ostatnim rozbiorem, było otoczone samotnością, odosobnieniem, zamknięte w szczupłych szrankach pracy domowej. Z domostw swych mało lub wcale nie wychylali się i z mieszkańcami miasteczka stosunków prawie żadnych nie mieli. Szczupłe grono emerytów tworzyło świat odrębny: żyli bardziej przeszłością, wspomnieniami, niż życiem ówczesnem. Wzajemnie z sobą jedynie komunikowali się i to nie często, wystarczało to im najzupełniej. Zresztą i Żytomierz nie zaludniał się jeszcze wtedy ludźmi nauki, nie zaroił się tłumniejszemi szeregami inteligencyi, która, ku połowie szóstego dziesiątka lat XIX wieku, wytworzyła krótką chwilę rozbudzonego życia umysłowego w drzemiącej wówczas mieścinie.

Wprawdzie zamieszkał już tam był, opuściwszy swą rodzinną, wiejską siedzibę, w środku najpiękniejszych okolic Wołynia — śliczne Ujezdce — człowiek wielkiej kultury, poeta, malarz, ekonomi-

sta, rówieśnik i przyjaciel J. I. Kraszewskiego, Kazimierz Komornicki, ale inni dopiero nieco później przybyli.

Stopniowo miasteczko, które dotąd było pustkowiem pod względem umysłowym, zaludniać się zaczęło ludźmi pióra i przekształcać się. Po Komornickim przybył J. I. Kraszewski, który w liście do brata Kajetana (w r. 1853) tak charakteryzuje swą siedzibę nową: „Żytomierz — pustka wielka; myśl tu niczem się nie zaprząta"...

Po nim dopiero ściągać inni zaczęli: Adam Pług (Antoni Pietkiewicz), Aleksander Groza, Karol Kaczkowski, Apollo Korzeniowski... Znaleźli się i miejscowi, dawniej zamieszkali, którzy z poza węgłów małego uznania wychylać się zaczęli na widownię szerszą, jak literat i lekarz de Galli (znany pod pseudonimem Edw. Maryana), jak Prosper Gorski, artysta, wyborny ilustrator przysłowi ludowych... Miasteczko szybko ożywiać się zaczęło; z pustyni zamieniało się na malutkie wprawdzie, ale jednak dość rozżarzające się ognisko światła, do którego coraz tłumniej zaczęto się garnąć. I, dzięki J. I. Kraszewskiemu, jego inicyatywie i pracy, nie można było po kilku latach rzec, iż „myśl tam niczem się nie zaprząta"...

Wszystko to jednak nieco później kiełkuje, wzrasta a w chwili, gdy na krzemienieckich emerytów rzucamy okiem, zaledwie posiew zmian rzucano w glebę.

Być wszakże może, iż nawet gdyby ich życie przedłużyło się do owej chwili większego obudzenia się ruchu umysłowego w miasteczku, stroniliby i wówczas od gwaru, od ludzi, którzy dla nich byli pokoleniem młodem, pokoleniem wieku XIX, pokoleniem mniej zrozumiałem: oni wszyscy bowiem

wyszli z epoki Stanisławowskiej, i nie tylko smutki późniejsze, zawody, rozczarowania przebyli, lecz i ten ból wielki godził w ich pierś bezpośrednio, który zgotował rok 1795... Oni znali ów ból nie z księgi, nie z tradycyi, ale z doświadczeń własnych... Stronili od świata, co ich otaczał; tak przynajmniej wydawało się. Czy jednak z zasady, czy jedynie okoliczności tak się składały — trudno orzec. Faktem niezaprzeczonym było to wszakże, iż ich rzadko ów światek miejski widywał, iż nawet nazwiska obcemi pozostawały nie tylko dla nielicznego grona wykształceńszych, ale i dla ulicy... Wiedziano, iż kiedyś byli, mniemano, iż dawno zmarli...

. . . . . .

Codziennie, o późnym wieczorze, bez względu na porę roku i pogodę, ukazywała się mała, szczupła, nieco pochylona postać z latarką malutką w ręku... Wychodziła krokiem powolnym z uliczki głuchej, bez nazwy, wąskiej, niebrukowanej, nigdy nieoświetlonej, tulącej się do muru, otaczającego tylną część ogrodu Bernardyńskiego, w Żytomierzu. Uliczka była ślepa, nie miała wyjścia. Z jednej strony dotykała wielkiej arteryi komunikacyjnej, noszącej nazwę ulicy Kijowskiej — bo wytworzyła się z gościńca zmierzającego ku Kijowowi — a z drugiego końca zamykała ją szeroka jakaś posiadłość: dworek obszerny, ocieniony staremi drzewami, z dziedzińcem rozległym, zacisznym, niby na wsi.

Człowiek mały, pochyły, wlokący się ociężale, torował sobie drogę mdłem światłem latarki. Gdyby światła tego było więcej, ujrzelibyśmy twarz szczupłą, wygoloną, zmarszczkami niby siatką okrytą. Światła świecy łojowej zbyt mało wydobywało się z latarki zakopconej; zaledwie ono wskazywało

ścieżki mniej błotne, gdy to się działo w jesieni, lub mniej śnieżne podczas zimy.

Postacią tą był profesor Maksymilian Jakubowicz, człowiek najszerszej wiedzy w owem gronie emerytów, filolog, klasyk, filozof.

Od czasu zamieszkania w Żytomierzu, po latach długiej pracy pedagogicznej i naukowej, odbywał on z ową malutką latarką codzienne spacery o godzinie spóźnionej, po ustaniu ruchu w dość śpiącem mieście. Spacery były niedługie, zawsze jednej miary i w kierunku nigdy niezmieniającym się odbywane. Obchodził dzielnicę, w której mieszkał, zabudowaną w kwadrat—szedł ulicami: Kijowską, Pilipońską, Berdyczowską, placem Bernardyńskim, i przez pierwszą z nich wracał do swej ciemnej, wąskiej uliczki i w jej głębi znikał.

Powtarzało się to lata całe; aż wreszcie, ku końcowi kwietnia, r. 1853, zauważono z niemałem zdziwieniem, że światełko od tylu lat znane nie ukazuje się z głębi ciemnej uliczki. Nie pokazało się ono i dnia następnego; postać malutka, pochylona, nie przesuwała się dokoła dzielnicy swej, jak zwykle; natomiast, po dniach kilku wyszedł z głuchej uliczki skromny kondukt pogrzebowy, towarzyszący ubogiej trumnie profesora Jakubowicza.

Na kilka tygodni przed jego zgonem miałem możność być na chwilę pod dachem tego starego pedagoga, niepospolitego uczonego.

Siedziba, acz w środku miasta położona, niezmiernie była cicha i pełna uroku wiejskiego; szumiały drzewa dokoła, ogród z drzew starych złożony szeroko roztaczał się poza domem, mającym wszystkie znamiona dworu szlacheckiego na wsi. Odgłosy miejskie wcale tam nie dochodziły. Jaku-

bowicz, nad wiek pracą pochylony — dobiegał właśnie przed zgonem siedemdziesięciu lat — duchem, myślą, zapałem do pracy stał znacznie wyżej ponad siły ciała upadające, wyczerpane pracą niezwykłą.

Pracował wciąż ten mąż, jak się o nim wyrażono, „bogobojną mądrością celujący", pracował na polu językoznawstwa, na polu badań literatury starożytnej, kreślił swą „Filozofię chrześcijańskiego życia, w porównaniu z filozofią naszego wieku panteistyczną"... Stał zawsze na stanowisku prawdziwie katolickiem i z tego stanowiska zwalczał systematy, którym wówczas hołdowano. Praca naukowa, z piórem w dłoni, pochłaniała mu cały czas, sprawy bieżące, zewnętrzne wcale dla niego nie istniały.

Los obchodził się z nim surowo. Stracił przed zgonem, żonę, syna, rokującego nadzieje, iż pójdzie drogą studyów literatury starożytnej — został wcześnie osamotniony. Manuskrypty łacińskie i polskie, które uzupełniał, poprawiał, przerabiał, całem jego towarzystwem, całą rozrywką były. Z grona emerytów nawiedzał jedynie Kruczkowskiego: mieli oni dużo wspólnych wspomnień. Samotność Jakubowicza dzieliła siostra jego żony—„panna Domicela"— staruszka troszcząca się o codzienne potrzeby sędziwego filozofa.

Przed wejściem na katedry—licealną, krzemieniecką i uniwersyteckie w Kijowie i Moskwie — przed pracami filologicznemi i filozoficznemi, w młodości uczył on w różnych szkołach średnich, w Święcianach, w Swisłoczy, w Łucku... Zaiste, szczęśliwe były to czasy, gdy szkolna nauka spoczywała w ręku pedagogów tak szerokiej wiedzy a zarazem tak wielkiej miłości młodzieży i dziatwy

uczącej się. Jakubowicz ten niezbędny przymiot dla pedagoga posiadał w znacznym stopniu.

Szkoły przed epoką listopadową dużo w sobie miały pierwiastków zaszczepionych pracą ludzi zasiadających ongi w Komisyi Edukacyjnej; były to pierwiastki nasze, własne; do systematów obcych nie uciekano się, nie sięgano za granice ziemi ojczystej po rady, wzory, a wyniki pracy były, jak przyszłość wskazała, wcale niepospolite. Miłość zawodu nauczycielskiego, miłość młodzieży uczącej się, wysoce rozwinięte poczucie obywatelskie, świadomość, iż praca pedagogiczna, bodaj w szczupłym zakresie, jest jedną z prac najpożyteczniejszych dla społeczeństwa — to są czynniki wytwarzające nauczycieli dawnych, bardzo dawnych lat.

Posiadali ci pedagogowie tajemnicę zdobywania serc młodzieży szkolnej, powierzonej ich pieczy i węzeł sympatyi, nawiązanej w szkole między uczącymi i uczącymi się, życie i lata nie zrywały... Tę tajemnicę nie zabrali całkowicie z sobą do grobu ci pedagodzy, których uczyło Wilno i Krzemieniec, ich bezpośredni następcy jeszcze ją posiadali... później ona zaginęła; a zresztą, nieszczęścia publiczne, wprowadzające dużo klęsk i pierwiastków rozkładu do życia naszego, postawiły u ław szkoły obcych kierowników, obcy język, obce dążności. Typ naszego dawnego pedagoga zaczął się nawet w tradycyi zacierać, znikać. Zapomnieliśmy najzupełniej, iż mieliśmy niegdyś własną szkołę i zaczęliśmy po wzory i kierunki pedagogiczne sięgać za morza... Nieznajomość, i to wielka nieznajomość własnej przeszłości stała się tego powodem. Stargaliśmy dobrowolnie wiele nici wiążących nas z przeszłością.

. . . . . .

Jeżeli profesor Maksymilian Jakubowicz był jednym z typów dawnego polskiego nauczyciela, w najlepszem znaczeniu, to obok niego z grona emerytów-krzemieńczan, postawić należy Józefa Osieczkowskiego. Postać tego nauczyciela kilku pokoleń, pracująca na twardej niwie pedagogicznej lat przeszło sześćdziesiąt, najwymowniej świadczy jakimi byli ludzie dawnej Polski, poświęcający się zawodowi nauczycielskiemu. Osieczkowski skupiał w sobie zalety najlepszych. Wykształcony niegdyś w zakresie szkół średnich przez Pijarów, w Międzyrzeczu Koreckim, później własną pracą i studyami w Krzemieńcu uzupełniał swe wykształcenie, aż wreszcie doszedł do stanowiska adjunkta przy katedrze budownictwa, którą zajmował Franc. Miechowicz w liceum krzemienieckiem, a zarazem pomagał mu w przewodniczeniu szkole mechaników.

Po zburzeniu instytucyj tamecznych, Osieczkowskiego, wraz z całem gronem profesorów i urzędników licealnych, przeniesiono do Kijowa i można było mniemać, że pozostanie on przy uniwersytecie. Stało się inaczej: wyrzucono go do Nowogródka Siewierskiego, gdzie w szkole średniej, wśród obcych i dla obcych, pracował długo, czekając na emeryturę. Nadeszła wreszcie; wrócił do kraju, z siłami starganemi, ale nie ze złamaną siłą ducha, nie ze zmniejszonym zapałem do pracy w zawodzie pedagogicznym, któremu oddawał się od lat wczesnej młodości, t. j. od początku XIX wieku. Po powrocie oddał się nauczycielstwu prywatnemu i prowadził je do zgonu.

Dla siebie nic nie potrzebował, żył jak anachoreta; poczucie, iż dobrze spełnia swe obowiązki najzupełniej mu wystarczało. Był bezżenny, samotny,

uważał, jak niejeden współczesny mu w Polsce nauczyciel, że nauczanie to kapłaństwo, któremu by godniej z całem zaparciem się siebie odpowiedzieć potrzeba wyrzec się obowiązków i pociech rodzinnych... Tak żył i uczył dziatwę i młodzież, roztaczając dokoła ową miłość swych uczniów, która go z nimi łączyła; uczył do lat najsędziwszych, do dziesiątego dziesiątka swego istnienia...

Ukończenie dziewięćdziesiątego roku życia nie kładło jeszcze kresu jego pracy nauczycielskiej i siejbie na niwie serc młodocianych zdrowego ziarna uczuć obywatelskich, sumiennego spełniania swych obowiązków, zamiłowania pracy...

Sześćdziesiąt lat upływa jak widziałem tego starca czcigodnego, oracza strudzonego na niwie pedagogicznej, a jeszcze w mej pamięci tkwi wyraziście ta postać wyniosła, acz pochylona, o długich białych włosach, o rysach regularnych, oczach pełnych spokoju i smutnej zadumy... Jeszcze widzę łzy tych jego uczniów, którzy po kilku miesiącach pobytu pod jego dachem z nim się rozstawali i łzami głębokiego żalu zlewali dłonie, co kierowały ich młodocianymi krokami...

Te łzy żalu uczniów to najwymowniejszy napis na pomniku pedagogicznego znoju Osieczkowskiego, najchlubniejsze świadectwo jego zasługi obywatelskiej... Na cmentarzu żytomierskim spoczęli wszyscy czterej emeryci krzemienieccy — Józef Osieczkowski był ostatnim z tego grona zstępującym do mogiły... ostatniem żyjącem wspomnieniem starych mistrzów Krzemienieckich, co sumiennie spełniali „twardą Bożą służbę“ i przeważnie posiadali „niepłakane trumny“...

Pisałem w r. 1911.

OSTATNI Z SIENIUTÓW.

Leon Sieniuta Lachowiecki, ostatni z rodu. Urodzony 17 lutego 1781 r., zmarł 20 (8) czerwca 1864 r.

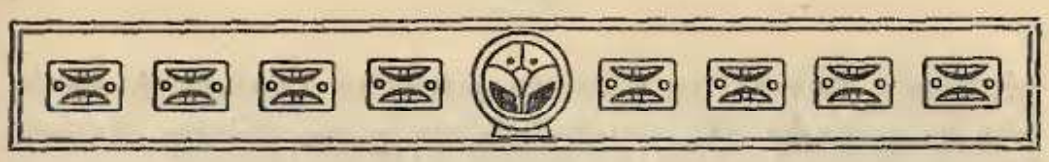

Ostatni z Sieniutów.

Jednocześnie ze zgonem na knyszyńskim zameczku, w drugiej połowie XVI wieku, ostatniego Jagiellona, znikają z widowni dziejowej imiona, co tworzyły w ciągu stuleci czoło narodu. Stare rody gasną powoli. Ostatni przedstawiciele gasnących rodów, samotni, nie mając komu przekazać spuścizny prastarej sławy, szybko jeden po drugim kładną się do sarkofagów.

Tłumy orężne, ciągnące po zgonie ostatniego Jagiellona na pola Woli, są zwiastunami nowej doby dziejowej, w której ludzie nowi, wczoraj nieznani, mają wnieść na kartę historyi swe imiona, dotąd obijające się tylko o zagrodę ościennej wioski, czy też zaścianka, a zupełnie obce poza granicą powiatu. Wśród powodzi ludzi nowych, te nawet ze starych rodów, co pasma swego istnienia nie przerwały w ciągu wieków i do obecnej doby przetrwały, ustępują niejako dobrowolnie z szerszego pola działalności, jakby się obawiały być zawadą dla przybyszów na arenie dziejowej. Bliżsi i dalsi zapominają o nich; a ławy poselskie, niemniej jak krzesła senatu, omijają ich stale, przechodząc do imion nowych, do mnogich gromad szaraczkowej szlachty. Gdy siermiężna brać urasta na starostwach, pnie się do kasztelanij, bodaj drążkowych, i sięga

niekiedy nawet po koronę wnuków Gedyminowych, prastare rody nie wychylają się poza ściany siedzib swych ojców, dalekie od chęci posiadania panem bene merentium, ubożeją. Ostatni przedstawiciele możnowładczych imion dzierżą maluczkie jeno zagony, zamiast olbrzymich obszarów.

Nasi badacze przeszłości niesłusznie mienią niektórych z nich dawno zgasłemi rody; gdy tymczasem takowe do dziś przetrwały. Zasłużeni na polu eksploracyi dziejowej kraju, Tymoteusz Lipiński i M. Baliński, w 1845 r., mówiąc o Sieniutach, mienią ich rodziną „oddawna już wygasłą" (Star. Pol. T. II, str. 628). Młodzi pracownicy niwy historycznej błąd ten powtarzają.

We dwadzieścia lat po opracowywaniu cennych studyów Balińskiego istniał jeszcze jeden z Sieniutów. Był to już „ostatni" z rodziny. Druga połowa XIX wieku oglądała jeszcze potomka możnego i znanego imienia za dni Kazimierza Jagiellończyka i jego synów. Zgasł on w latach obecnych, nie zostawiając potomka po mieczu, a unosząc do mogiły imię nieskalane świetnej plejady praojców, opromienione przytem aureolą własnych cnót cichych, domowych. Jak samo miano rodziny wskazuje, byli Sieniutowie starodawnym domem rusińskim na Wołyniu. Herb ich, tegoż miana, był białym sztandarem z krzyżem u szczytu. Jakiś Symeon przekazał potomkom na całe półtysiąca lat swe imię, w formie zdrobniałej, jako nazwę rodu. Tak jak Mykita jakiś, ginący w pomroce epoki Rurykowiczów, rozpoczął cały szereg Miszków (niesłusznie mienionych przez J. Bartoszewicza Myszkami) *),

*) Tablice historyczne, w Bibl. W., r. 1865, T. III, str. 495.

a Denys stał się praojcem rodziny Denysków, o których lud, w okolicach Krzemieńca, do dziś wspomina, w pieśni o królowej Bonie, mówiąc: „a nasz Denysko, dobre panysko“...

W XV wieku Sieniutowie są domem możnym, dzierżą szerokie włości ponad górnym Horyniem. Do dziś pozostały ślady w metrykach koronnych, iż o część dóbr swych wołyńskich zniewoleni są Sieniutowie toczyć proces z rycerskim, osiadłym na Podolu, domem Jarmolińskich. Wyrok Zygmunta I, ferowany w tej sprawie na Wawelu, w r. 1538, wyraźnie orzeka, co do sześciu wiosek, które nieprawnie zabrał nieletnim Sieniutom Wasyl Jarmoliński, że Sieniutowie „majut ich używaty, jako własnosty swojei podawnomu“... Wskazówką to jest przeto niezaprzeczoną, iż owe osady, w liczbie których czytamy i Lachowce — na których się pisał i ostatni Sieniuta — od wieków były własnością Sieniutów, prastarych ziemian Wołynia. Dobra owe, przedmiot zabiegów wspomnianego Jarmolińskiego, stanowiły tylko cząstkę posiadłości ówczesnych Sieniutów; na trzy bowiem lata przed procesem, rozsądzanym w Krakowie, tenże sam „Hryćko Sieniuta“, który stawał w imieniu brata Romana i sióstr, Katarzyny, Anny i Neradki (tak), przed królewskim majestatem na Wawelu, przedaje na Wołyniu wespół z bratem „Horodyszcze Tychomla“, gródek obronny, obecnie nazywający się Jampol, synowi, znanej w dziejach domowych rodziny Jagiellońskiej Slązaczki, Katarzyny Telniczanki, Janowi, biskupowi wileńskiemu. Pozostały wówczas Sieniutom inne mnogie włości, czego wskazówki posiadały archiwa grodzkie krzemienieckie, gdyż w obrębie owoczesnego powiatu krzemie-

nieckiego przeważnie spotykamy ich miasta i sioła. Odprzedawszy obronne Horodyszcze, zatrzymują przy sobie tuż koło niego leżący i również, w obec gęstych inkursyj, najeżony ostrokołem, gródek Tychoml, który wraz z Lachowcami bywał przedniejszą siedzibą Sieniutów. Dziedziny ich, acz szeroko się rozsiadły, nie przekraczały wszakże, z małemi chyba wyjątki, poza obszary powiatu krzemienieckiego. Do wyjątków zaliczyć należy Sieniutę, nieznanego z imienia, który posiadał w XVI w. pod Włodzimierzem wieś Chmielów, jak to nam opowiada „lustracya", z r. 1552, mieniąca posiadacza Chmielowa „Sieniutycz", co wskazuje, iż było to snać młode pacholę, niedawno odbiegłe od wspólnego gniazda ojców, które przed wiekami było uwite na Krzemienieckiej wyżynie.

Lata przysparzały dostatków rycerskiemu domowi, niezabaczającemu o dobrobycie osad mu podległych. W XVII stuleciu widzimy, iż Sieniutowie uzyskują prawo magdeburskie dla Tychomla, który jeżeli później nie wzrasta, a staje się wreszcie wsią, jaką jest obecnie, to jedynie ze względu na liczne klęski wrażych powodzi wciąż uderzających o ową, omal nie kresową, dzielnicę kraju.

We trzydzieści dwa lata po uzyskaniu przez Abrahama z Lachowiec Sieniutę przywileju Zygmunta III, na magdeburgię dla Tychomla, okolica ta właśnie stała się polem jednej z najkrwawszych katastrof przez jakie w XVII w. przechodziło państwo Wazów. Krew zalała wszystkie ziemie ruskie aż po Horyń, grody i sioła przedzierzgnęły się na rumowiska z kości mieszkańców i popiołów ich siedzib. Setkami osady, dotąd kwitnące, ginęły wśród ogólnej pożogi, a niekiedy zatracały nawet

swe miano, by nigdy nie powstać i stać się ugorem, który zaledwie późniejsze wieki zdołały zamienić na urodzajną niwę. Kraj cały, od Bohu po Styr, gorzał wielką łuną pożaru, a miasta, sąsiednie Tychomlowi, wedle słów współczesnego świadka, Adama Kisiela, „stały się Ukrainą" — to jest Kresem ziem osiadłych, pustkowiem.

Cenna dla historyi ówczesnych klęsk kronika izraelity Natana Moskowicza, opowiadająca krwawe dzieje okolicy zawartej między Słuczą i Horyniem, rozszerzając się o wycięciu w pień dziesięciu tysięcy ludu, szukającego ochrony poza wałami Połonnego, zamilcza o Tychomlu. Zważywszy wszakże, iż leżał ów gródek na głównym szlaku najezdniczych czambułów, nie dziwmy się szybkiemu upadkowi.

Tychoml i w dniach spokoju i podczas doby niedoli nie przestawał być siedzibą Sieniutów. Rodzina ta stała się zwolenniczką nauki Aryusza, w czasach gdy u nas mnodzy zaszczepiali na rodzinnej glebie nowinki religijne, zaczerpnięte na obczyźnie. W epoce gdy kniaziowie Prońscy, na polach Beresteczka wznosili grobowce dla swej rodziny, wyznającej aryanizm, podobne mauzoleum, poświęcone cieniom zmarłych członków rodu i zarazem współwyznawców, pod Tychomlem wznieśli Sieniutowie. Jedne i drugie grobowce do dziś przetrwały *); a wieśniak, orząc pola tychomelskie, i

*) Zapewne to o grobie ostatniego z kniaziów Prońskich, mówiono Tymoteuszowi Lipińskiemu, w r. 1824, gdy przejeżdżał przez Beresteczko, które to mauzoleum aryańskie wziął mylnie nasz archeolog za pomnik bitwy Jana Kazim. z Chmielnickim i Tatarami, jego sojusznikami, pod Beresteczkiem, w r. 1651. Pomnika bitwy nigdy pola beresteckie nie posiadały, nawet ślady mogił znikły

obecnie każdą wyoraną kość mieni szczątkami Sieniutów, którzy wedle obyczaju swej wiary grzebali się w miejscach ustronnych.

Z biegiem lat Sieniutowie tak się rozrodzili, iż rozróżniano cztery oddzielne gałęzie ich szczepu: Lachowiecką, Tychomelską, Olszaniecką i Radohoską. Udziałem pierwszej było przetrwać najdłużej; i ona to należała w XVII w. do najznakomitszych rodzin Wołynia, posiadała zaś obszerne włości i liczne skarby.

Już w XVI wieku Sieniutowie Lachowieccy kołaczą do tronu o przywileje dla swych Lachowiec i uzyskują, w r. 1583, Magdeburgię. Mieścina wzrasta, ozdabia się, ale inkursye nieprzyjacielskie wciąż na nią spadają, niszcząc dobrobyt osady i rozpraszając skarbiec słynnego ze swych dostatków domu. Wierni nauce Piotra z Goniądza, głoszącej, iż „zwolennik Chrystusa wiary powinien żyć w samej li tylko pobożności, urzędu zaś nie sprawować", Sieniutowie stoją zdala od spraw publicznych, przekładając domowe zacisze nad zgiełk obrad sejmowych. Takimi przynajmniej widzi ich wiek XVII. Pozorne to wszakże zawarcie się wśród drewnianych ścian rodzinnego zameczku, który zasiadł na wysepce, wśród obszernych stawów lachowieckich, nie okryło ich imienia szatą niepamięci. Z dalekich niw wielkopolskich młodzieńcy przedniejszych domów szlą dziewosłębie orszaki do nadhoryńskich siedzib Sieniutów i jedna z dziewic ich rodu—Anna

---

wśród niw uprawnych, a wyniosły grobowiec, mieniony mylnie w Star. Pol. T. II, str. 838, pomnikiem bitwy, jest miejscem spoczynku kniazia Aleksandra Prońskiego, woj. Trockiego, ostatniego z rodu, zmarłego w r. 1632.

Sieniucianka — co wniosła pod dach Opalińskich książęce rzec można wiano, stając się małżonką Piotra Opalińskiego, podkomorz. poznańskiego, w ostatnich latach rządów Jana Kazimierza, jest po kądzieli prababką małżonki Ludwika XV, Maryi Leszczyńskiej. Młodzi Sieniutowie, jeżeli się nie cisną do podwoi sejmowych, jeżeli o owych możnych ziemianach Wołynia zabaczają, gwoli, ich innowierstwu, gdy chodzi o wysłanie posłów na obrady krajowe, to bynajmniej nie dla wadliwości ich wykształcenia, nie dla braku cnót obywatelskich. Obskurantyzm nie gnieździł się pod starodawnemi stropy lachowieckiego zameczku, bo wielekroć spotykają się ślady, że pacholęta onego domu ciągnęły do dalekich wszechnic Zachodu, kształciły się wśród murów wiecznego miasta. Z Rzymu to właśnie przybywa Paweł Sieniuta wyznawcą nauki, znanej pod ogólnem mianem aryanizmu, co wnet potem szeroko zaczęła się szerzyć wśród wołyńskiej rzeszy szlacheckiej. Ów Paweł słynnym był w swej epoce jako opiekun różnowierców, sam kilkakroć zmieniając wyznania. Opuścił Paweł Krzysztof dwojga imion Sieniuta helwecką naukę dla katolicyzmu. Dawni spółwyznawcy zniewoleni byli wówczas pożegnać gościnne dotąd dla nich progi lachowieckiego zameczku, a Dominikanie, którzy pracowali nad nawróceniem przedniejszej gałęzi Sieniutów, otrzymują olbrzymie zapisy dla swego klasztoru, jaki wznieść zamierzył w Lachowcach możny prozelita. Wśród licznych uposażeń Zakonu, zdumiewających hojnością, na którą dziś niejednego z królików rzeszy teutońskiej nie stać by było, czytamy: „iż całe dobra lachowieckiej linii Sieniutów—któremi wtedy władał Paweł—staną się włas-

nością lachowieckiego konwentu Dominikanów, jeżeli który z potomków Pawła Krzysztofa Sieniuty zerwie z katolicyzmem"...

Mistrze duchowni, acz tak sowicie uposażeni i tak zabezpieczeni od rewokacyi potomków Pawła, nie ufali mu snać zupełnie i unieśli się zbyt wielką gorliwością. Poradzono mu bowiem, by jechał do stóp Stolicy Apostolskiej i w murach Watykanu, błagał przebaczenia za błędy praojców. Podobne możnowładców naszych pokutnicze pielgrzymki nie były w owej epoce rzeczą wyjątkową. Udał się przeto i świeżo nawrócony Paweł lać pod italijskiem niebem łzy pokutnicze rzekomo szczerego nawrócenia, bawił niedługo i wrócił z pątniczej wędrówki — aryaninem... Zgromadzenie lachowieckich Dominikanów, oburzone tak szybką nową apostazyą, popełnioną nad Tybrem, tam właśnie gdzie sądzono, iż Paweł zdobędzie pawężę od pokus odszczepieńczych, rozpoczęło proces o dobra kacerza. Umowa zawarta z Sieniutą, o której wspomnieliśmy, wyraźnie orzekała, iż odszczepieństwo potomków Sieniuty pociąga za sobą utratę obszernej ich ojcowizny, która miała przejść do konwentu lachowieckiego. Zakon przeto, ufny w swe prawa, cztery dziesiątki lat energicznie domagał się spełnienia nieopatrznych umów Sieniuty, który do końca życia pozostał wiernym systematom reformatorów. *)

---

*) Tak mówiły podania i niektóre nawet wskazówki archiwalne, ale historyk wyznania helweckiego w Małopolsce, J. Łukaszewicz, powołując się na źródła, przez siebie zacytowane, twierdził, że Paweł Krzysztof umarł katolikiem. Niemniej jednak tradycye ustne, jak je tu podaję, górowały, chociaż może nieściśle historyczne.

Paweł Krzysztof Sieniuta Lachowiecki z XVII w.

Zachodnie okolice Wołynia w one lata były wcale bujną niwą dla rozwoju reformacyi. Lachowce, Beresteczko, Kisielin — to na Wołyniu przedniejsze gniazda nowatorów religijnych w pierwszej połowie XVII stulecia. Przedniejsi nasi reformatorowie jak Stoińscy, Wiszowaty, Ostafi Kisiel, mężowie nauki, gościli w onych mieścinach, dziś ubożuchnych i stamtąd rozszerzali swe mniemania. Obecnie wędrowiec nie łacno oswaja się z myślą, iż mieściny te były niegdyś pochodniami nauki promieniejącemi daleko. Młodzież wielkopolska, żądna światła, gdy widziała dla siebie zamkniętemi podwoje rakowskiej uczelni, dążyła do Kisielina, gdzie ówczesny dziedzic onej miejscowości nie dość, iż dawał pod swym dachem przytułek rozbitkom rakowskiej szkoły, ale i sam wstępował na katedrę, dzieląc nauczycielskie prace z Jerzym Wiszowatym.

Później nieco, gdy powiały nad całym krajem wichry nietolerancyi, kiedy mury rakowskiej uczelni stały się pustkowiem, Ostafi Kisiel hojną dłonią czerpie ze skarbca praojców, by sprostać olbrzymim potrzebom nowej różnowierczej szkoły, co w Kisielinie, wśród lasów wołyńskiego Polesia, tworzyć miała port bezpieczny dla rakowskich exulantów.

Tak powszechny w onej epoce ruch umysłów dążących do rozszerzenia światła wśród ciemnych tłumów porwał i uniósł Pawła Sieniutę. Wybitne postacie Leszczyńskich, którzy przeszczepiali na styrowem porzeczu naukę krzewioną w wielkopolskich ziemiach; Kisielów, roztaczających opiekuńcze skrzydła nad łaknącą wiedzy młodzieżą, wywarł przeważny wpływ na umyśle, snać nader wrażliwym, Pawła Krzysztofa Sieniuty: kierunek obrany nad tybro-

wemi brzegi przetrwał wszelkie trudności. Wiernie się on więc trzyma sztandaru różnowierczego w ciągu następnych dni całego żywota, acz chwile ciężkie nie były rzadkiemi i miecz żelazny zawisł nad głowami braci jego przekonań, co nosili jeno miecz z drzewa „gwoli naśladowaniu mistrza z Goniądza".

W kilkanaście lat po rzymskiej wędrówce wrzekomego pokutnika, widzimy go jak syt i lat i burz życia, w ostatnich dniach 1628 roku, czyni testament w którym wygłasza swe aryańskie credo, żegna braci swej gminy, prosi by go grzebano wedle obyczaju spółwyznawców, dając mu w martwą dłoń miedzianą tabliczkę z napisem „scio cui credidi" i wreszcie umiera niepojednany z kościołem, we wrogich stosunkach z zakonnikami lachowieckimi, nie zrzekającymi się sukcesyi po wiarołomnym kacerzu, jak go w onej epoce mieniono.

Ostatnie lata rządów Władysława IV rozpoczynają smutną dobę dla naszych akatolików. Całe gromady dobrych obywateli kraju, z których mnodzy przerośli swym wyższym umysłem spółczesnych, a olbrzymami się stają w obec skarłowaciałych pokoleń późniejszej doby dziejowej, opuszczają nazawsze ziemię rodzinną, lub są zniewoleni wyrzec się, bodaj pozornie, swych przekonań religijno-społecznych. Zbory różnowiercze, szkoły, kształcące nie dość ludzi pracy książkowej, ale obdarzające kraj rzemieślnikami, ludźmi pracy fachowej, którzy mogliby kraj otrząsnąć z błogiej drzemki, jaka nad nim zawisła, nieoględną dłonią burzone — w proch się rozsypują.

Sieniutowie wyzuci z dóbr, znękani, nie chcą opuścić ziemi rodzinnej, która w ciągu wielu stu-

leci była ich kolebką i grobem, wyrzekają się błędów Aryusza, ale zarazem ustępują z szerszej areny życia narodowego. Żaden z ich rodu, począwszy od wiedeńskiej potrzeby po dni nasze, gdy zgasł ostatni jego przedstawiciel, nie wypływa ponad fale szlacheckiej rzeszy, gdzie coraz to jakiś homo novus ukazuje się okryty dostojeństwy, nie zawsze godziwie nabytemi dostatki, i rej wodzi wśród ruchliwych tłumów, pędzących nawę krajową na skały i mielizny. Dość atoli dla czci ich pamięci, iż żaden tego imienia nie spieszy do ościennych, obyczajem wielu, po łacno zdobyć się mogące godności lub synekury. Ich herbowy biały proporzec cztery wieki powiewał nieskalanie i takim legł w mogile.

Cichemi cnoty domowemi, przysłowiową prawością, słynęli oni w województwach, kędy dogorywały ostatnie latorośle prastarego szczepu. Archiwa domowe, które powinnyby się znajdować w ręku wnuków po kądzieli ostatniego Sieniuty, zawierają bezwątpienia — jak można przypuszczać — dość szczegółów o potomkach głośnego w dziejach Wołynia Pawła Krzysztofa, lecz pisząc niniejsze wspomnienie, nie mogę czerpać z tych źródeł, jeżeli one jeszcze istnieją. *)

Okolice nadstyrzańskie Bełsko-Wołyńskie rzekomo bezpieczniejsze od innych ziem, zbyt częstym podlegały inkursyom nieprzyjacielskim, zbyt często pożoga, — wzniecona ręką dorywczego czambułu Tatarzyna, przebiegała ciche wiejskie zagrody onych porzeczy, by mogły ocaleć pod szlachecką strzechą

---

*) Pisałem to na Syberyi, w warunkach nie sprzyjających pracom piśmienniczym.

liczniejsze zabytki przeszłości. Są dowody, iż w pierwszych latach XVIII wieku zagony tatarskie chyże i groźne, niby powiewy afrykańskich wichrów, spadały na sioła nietylko południowych, ale i północnych okolic Wołynia, dalekich od ziem kresowych, gdzie drzemały garstki żołdaków Rzeczypospolitej, niezdolne wstrzymać perekopskich gromad najezdniczych. Trzymano aż do ostatnich lat XVIII stulecia maluczkie załogi w głębi kraju; w zameczkach opalisadowanych, ku łacniejszemu odparciu inkursyi niespodzianej. Jednym z takich fortów, dziś zapomnianych, co przetrwał do ostatnich lat rządów Stanisława Augusta, była wieś Rohoźno, położona zdala od obecnych gościńców, na pograniczu Wołynia z Bełskiem, między Dubnem a Styrem. Osiwiało tam dwudziestu czterech orężnych czatowników, będąc niejako drugą linią kresową; ale i owa czatownia, również jak rycerze z nad Jahorlika i Wysi, z ukrainnych strażniczych mogił, nigdy nie zdołała wstrzymać fali najezdniczej. Dowiadywano się o pohańcu dopiero wówczas, kiedy purpurą pożogi sąsiedniego sioła zajaśniał widnokrąg, gdy obiła się o ich ucho ginące w przestrzeni echo jęku uprowadzonych brańców. Myślano o ratunku, ale jeno wtedy, gdy było zapóźno; kiedy powódź napastnicza, obciążona łupy i jeńcy, odpływała spokojnie ku „Dzikim polom", gdzie już tylko chyba stada zgłodniałych wilków, lub zamieć śnieżna mogły ich niepokoić.

Pod murami zameczku w Werbie, pod Krzemieńcem, na którego dziedzińcu hussarya pana podstolego źwinogrodzkiego rzęsiście ognia dawała, podczas codziennych wiwatów biesiadniczych,

pod strzałami szmigownic rdzewiejących w strzelnicach Brodzkiego zameczku, pohaniec w XVIII wieku, uprowadzał jeńców, świecił głownią pożogi u strzechy siół i gródków. Pewien szlachcic z pobereża bracławskiego, który wnet po przejściu Krymu pod panowanie Rossyi, kupcząc solą, zwiedzał tak groźną na niewiele przedtem Taurydę, spotkał tam staruszkę brankę, z tejże właśnie wioski, która była ostatnią siedzibą „ostatniego“ Sieniuty. Branka wybornie jeszcze pamiętała swe nadstyrzańskie sioło, Werbeń, acz ją pognano do jassyru za dni wczesnej młodości, i niekiedy marzyła o powrocie pod własne, lubo mniej słoneczne, jednak milsze niebo, którego wszakże nigdy już ujrzeć nie miała. Była ona jednym z tysiąca świadków owych czambułów w głąb Rzeczypospolitej posuwanych, w pierwszych latach, a nawet i około połowy XVIII wieku, o których pamięć gaśnie wśród dzisiejszych pokoleń, i dzieje milczą...

W tego rodzaju warunkach bytu, nie dziwmy się, iż przedstuletnia przeszłość tak mało przechowała nam zabytków stosunkowo prawie wczorajszej doby, a jednak tak różnej od dni obecnych, tak mało zbadanej i nieznanej, poza szczupłym zakresem badaczy dziejowych.

Po zgonie Pawła Krzysztofa i po zapadnięciu wyroku trybunału małopolskiego, ferowanego w Lublinie, w roku 1644, który zamykał głośny proces lachowieckich Dominikanów z kacerskim protoplastą Sieniutów i wygnaniu z gościnnych ścian lachowieckiego zameczku znanego Stojeńskiego — którego tenże sam wyrok pozbawia czci i skazuje na banicyę — już Sieniutów noga nie postaje pod da-

chem praojców. Inni, nowi ludzie, zajmują ich gniazda, a dalszy żywot prastarego rodu upływa w ciszy. Następne pokolenia Sieniutów nie wychylają się z pod słomianych strzech swych wiejskich dworów. „Ostatni“ z imienia — Leon Sieniuta Lachowiecki — spędził kilkadziesiąt lat żywota, otoczony ogólnym szacunkiem spółczesnych, mieszkając na Wołyniu, w dzisiejszym powiecie dubieńskim, w nadstyrzańskiej swej wiosce Werbniu, położonej na prawym brzegu Styru, między miasteczkami Beresteczkiem i Boremlem.

W latach gdy M. Baliński i T. Lipiński pisali o Sieniutach, jako o rodzinie „oddawna wygasłej“. *) — Leon Sieniuta, „ostatni“ z rodu, lubo już starzec białowłosy niemniej wprawdzie był w pełni sił i rokował długie lata życia. Piękne rysy starca wybornie zachowały typ swego wielowiekowego szczepu. Jako świadectwo, iż w obliczu „ostatniego“ z najstarszych rodów wołyńskich przechowały się nieskazitelnie rysy owych Sieniutów, którzy ongi, przed wiekami, przewodniczyli w swej okolicy, krzewiąc mniemania różnowiercze, przytaczam tu opowieść o zdarzeniu, w którem uczestniczył Leon Sieniuta Lachowiecki.

W dwudziestych latach wieku XIX, a może nieco wcześniej, będąc w podróży, odbywał on nocleg w miasteczku Kozinie, o trzy mile na północ od Krzemieńca, korzystając zaś z pogodnego wieczoru poszedł na przechadzkę pod mury Dominikańskiego klasztoru, który dziś świeci ruiną, a

---

*) Toż samo o dwadzieścia lat później twierdził Sobieszczański, w Encyklop. Powsz., wyd. Orgelbranda.

przed połwiekiem był ocieniony pięknemi lipy; śladu ich napróżnobyśmy teraz szukali. W cieniu lip, wtedy właśnie, siedział bardzo zgrzybiały starzec, zakonnik, który długi żywot mniszy uprzednio strawił w murach lachowieckich Dominikanów. W latach młodych niemało nasłuchał się stary Dominikanin o Pawle Sieniucie, aryaninie, owym hojnym dobrodzieju, potem zaś nieprzejednanym wrogu lachowieckiego klasztoru; napatrzył się na jego portret o rysach pięknych, wyrazistych, dzieło może którego z włoskich mistrzów, a umieszczone później w lachowieckim kościele przez Opalińskiego, ożenionego z Sieniucianką, która, kończąc klasztor, nie zabaczała o pamięci pierwszego fundatora. W wyobraźni gasnącego zakonnika, który już żył jeno przeszłością, snać często przesuwała się postać legendowa pokutnika, po dwakroć apostaty; bo, skoro ujrzał Leona Sieniutę, porwał się ze swej kamiennej ławy, wołając: „precz kacerzu, precz apostato!“... Biedny stary zakonnik pierwszy raz w życiu widząc żywą postać, najzupełniej mu przypominającą oblicze tylekroć widziane na lachowieckim konterfekcie, sądził, iż ma przed sobą Pawła Krzysztofa, który, we dwieście lat po zgonie, błąka się po niwach Wołynia, pokutując za swe odszczepieństwo. Kozińscy zakonnicy przeprosili Leona Sieniutę za przykrą chwilę, sprawioną mu mimowolnie wizyą ich confratra, ale niemniej, jak świadczy tradycya, każdy z nich, który tylko kiedykolwiek gościł w Lachowcach, przyznał nadzwyczaj wielkie podobieństwo „ostatniego“ z rodu Sieniutów do dalekiego protoplasty przedniejszego z Aryan wołyńskich w XVII stuleciu.

Leon Sieniuta Lachowiecki, obarczony bardzo sędziwemi laty, żyć przestał dość późno w drugiej połowie XIX wieku, składając swe kości na mogilniku tegoż Beresteczka, które patrzało przed wiekami na działalność jego aryańskich praojców.

Pisałem w Irkucku, w r. 1873.

NASZE PAMIĄTKI W CHARKOWIE.

Okruchy dawnych wrażeń.

Nasze pamiątki w Charkowie.

Okruchy dawnych wrażeń.

Po przeszło dwudziestoletniej niebytności, przypadek zaprowadził mnie na parę dni do Charkowa. Przejeżdżając odeń o mil kilka koleją, nie mogłem oprzeć się pokusie, i ze stepowej linii, co bieży ku Meotyjskiemu morzu, zboczyłem bodaj na dobę do miejscowości, z którą się łączą moje wspomnienia lat wczesnej młodości.

Tam rozpoczynałem studya uniwersyteckie, tam widziałem kapłaństwo nauki spoczywające w rękach ludzi mowy naszej, którzy godnie umieli je piastować, i w tej dalekiej, jak na owe czasy, wszechnicy prawdziwymi byli przewodnikami młodzieży.

Charków jest dla mnie z epoki krótkiej, ale dość dawnej, skarbnicą wspomnień, którym pragnąłem hołd złożyć, a zarazem mniemałem, iż jeszcze może spotkam chociaż okruchy dawnego życia, chociaż niedobitki z zastępu ludzi ubiegłej epoki. Niestety, przeszłość nigdy nie wraca!...

Charków, jak dawniej tak i dziś, posiada liczną kolonię, co wywędrowała z pod naszego nieba. Kolonia owa jednak istnieje w rozproszeniu; życia dawnego napróżno tam szukać.

Zbliżałem się do miasta pełen rozrzewnienia, a gdy się po niem rozpatrzyłem, gdy wysłuchałem smutnej opowieści o ludziach doby ubiegłej, Charków stał się dla mnie wielkiem cmentarzyskiem wspomnień i łzą smutku powitałem ów mogilnik przeszłości. Wszyscy przedniejsi z dawnej kolonii ziomków naszych, z epoki r. 1856, bądź się rozbiegli po świecie, bądź spoczęli w mogiłach. Tym, zaiste, najlepsza pono cząstka dostała się w udziale.

Wśród tej wielkiej trzebieży, dokonanej dłonią czasu, pozostał tylko jeden, jedyny z ludzi dni minionych, postawiony jakby na świadectwo, jakimi byli dawni pracownicy winnicy Pańskiej. *)

Bo i jakichże ludzi ów daleki gród stepowy nie posiadał w swych murach na dłuższy lub krótszy przeciąg czasu?

Począwszy od Seweryna Potockiego — pierwszego kuratora i rzec można założyciela charkowskiego uniwersytetu — od Tadeusza Czackiego, który pozornie delegowany tam w sprawach nauki, a właściwie internowany, bawił rok cały—Charków był siedzibą i korzystał z wiedzy Ignacego Daniłowicza, Grzegorza Hreczyny, Józefa Korzeniowskiego, Aleksandra Mickiewicza (brata Adama), Alfonsa Walickiego, Antoniego Stanisławskiego, Norberta Jurgiewicza i wielu innych ziomków naszych, znanych z nauki, pracy i miłości dla młodzieży, której przewodniczyli.

Poczet tych mężów wybitnych w naszem społeczeństwie, którzy tam stale przebywali, lub chwi-

---

*) Piszący miał tu w myśli Edmunda Liwskiego, przez pewien czas docenta historyi w uniwersytecie Charkowskim.

lowo gościli, znacznie jest większy nad szereg wymienionych tu imion; znaleźlibyśmy w nim i Adama Mickiewicza, który w Charkowie jakiś dłuższy czas bawił, w jesieni 1825 r., pod gościnnym dachem Ignacego Daniłowicza, znanego mu z Wilna, a wówczas, gdy Adam z Odesy jechał do Moskwy, będącego dziekanem wydziału prawnego wszechnicy charkowskiej, znaleźlibyśmy i inne liczne i krajowi drogie imiona, lecz nie piszemy dziejów naszej kolonii za Worsklą. Inne pióro, o ile wiemy, skrzętnie notuje wszystkie fakta, tyczące się tych dziejów, które wskażą potomnym, iż tu nie próżnowano, hojnie rzucając ziarno nauki, szafując skarbami uczucia i szczepiąc niejedną myśl poczciwą. Dużo tej pracy poszło na marne, huragan rozwiał wiele z onych ziarn, niejedna ich garść padła na ugór jałowy i miasto spodziewanego plonu, chwastem zazieleniła się niwa wytrwałej pracy. Były jednak siejby, i liczne, co odpowiedziały oczekiwaniom Bożych oraczy. Stawało się tam wielekroć wedle słów Pisma, a z przyczyn niezbadanych dla ludzkiej mądrości, iż pszenica kąkol wydała. Niwy bardziej zroszone znojem pracy, ogrzane promieniem ognisk rodzinnych, przyniosły owoc zgorzkniały, gdy tymczasem opoki bujnem kwieciem porosły. Spiritus flat, ubi vult.

Skrępowany okolicznościami i czasem, bez wytchnienia chodziłem po mieście, aby w ciągu chwilowego pobytu ujrzeć raz jeszcze w życiu wszystkie one miejsca, z któremi się wiążą cenne dla mnie wspomnienia.

Od kościoła rozpocząłem mą wędrówkę po tem cmentarzysku wspomnień. Był to dzień powszedni i godzina nader wczesna. Cicho i pusto

było w świątyńce maluczkiej, schludnej, na której nie widać niszczącej dłoni czasu; snać gromadka tamecznych parafian nie zapominała o tem cennem asylum smutnych i znużonych pątników życia. W dniu jednak mych nawiedzin nikogo prawie w kościołku nie było. Dwie lub trzy kobieciny schylone kędyś u progu, nieco dziatwy, nieco nędzy, tych najmilszych dla Chrystusa uczestników Królestwa Bożego — stanowiło całe audytoryum kilku mszy, które ze wzorowym porządkiem codziennie odprawiają kapłani tameczni. Świątyńka jest dziś pokaźniejszą, niż dawniej, owoc to wszakże zabiegów trochę wcześniejszej epoki. Napróżno jednak szukało moje oko w onym kościołku umieszczonego tam niegdyś obrazu Chrystusa, pendzla naszego znakomitego powieściopisarza Józefa Korzeniowskiego. Obraz ten znajdował się w jednym z bocznych ołtarzy, niema go tam teraz, zastąpiono go innym. Kiedy?... dopytać się nie mogłem. Podobno, jak mi powiadano, śladu po Korzeniowskim niema nawet i w księgach kościelnych. Inwentarze mienia kościelnego wspominające o tym obrazie, uprzednio, przed kilkunastu laty, nagle zamilkły...

Ze świątyńki skierowałem swoje kroki do murów uniwersyteckich. Czas był to wakacyjny. Przedsionki i sale akademickie nie roiły się tłumem młodzieży. Gmach wprawdzie stał otworem, lecz jedynie ciężkie kroki odźwiernego odbijały się przeciągłem echem o sklepienia kurytarzy i pustych podsieni. Pęk kluczy, godło urzędu, dzwonił mu u pasa. Pozdrowiłem staruszka i zapytałem, czy dawno tu stoi na straży drzwi akademickich.

— O, dawno, bardzo dawno, już lat czternaście...

Więc nie pamiętacie profesorów: Walickiego, Mickiewicza, Stanisławskiego? — pytałem odźwiernego.

— Nie, nie pamiętam pierwszych dwóch; ostatni był jeszcze przy mnie... ot tu, w tem audytoryum zwykle czytał lekcye.

Odźwierny, od czternastu lat czuwający nad gmachem, był już dla mnie postacią zbyt współczesną, przestałem go więc niepokoić pytaniami, i samotny, w towarzystwie tylko cieni przeszłości przebiegałem sale wszechnicy. Znikłe oddawna z tego zakątka nauki postacie mistrzów — ziomków przesuwały się wśród izb, tak dobrze mi znanych. Szedł tedy Alfons Walicki, dziekan historyczno-filologicznego wydziału, o obliczu pogodnem, czole wyniosłem, z którego świeciła aureola wiedzy! Przesuwał się starzec milczący, skupiony w sobie, w długim płaszczu, co pamiętał epokę krzemienieckiego liceum, w czapce, jaką chyba w Soplicowie noszono, za dni pana Tadeusza — to Aleksander Mickiewicz, prof. prawa rzymskiego. Gdyby zechciał zdjąć ową klasyczną, osłaniającą go czapkę, ujrzelibyśmy piękny profil, przypominający rysy jego nieśmiertelnego brata, ujrzelibyśmy wzrok ongi zapewne pełen ognia, wtedy już przygasły, zapatrzony w głębie własnego ducha, pozornie obojętny na wszystko, co go otacza. Postać ta cicha, zamknięta w sobie, niekiedy, acz bardzo rzadko, ciskała dowcipem, który na radach uniwersyteckich stawał się postrachem dla kolegów jego pracy. Za temi cieniami zmarłych, wspomnienia moje wywołały cienie żyjących, lecz pracujących już gdzieindziej, a od wielu lat niewidzianych mistrzów-ziomków. Prze-

mknęły więc przed moją pamięcią dalsze szeregi widziadeł przeszłości...

Twarz blada, smutna, z dobrotliwym uśmiechem, a księgą klasyków w dłoni — to Jurgiewicz, filologii starożytnej profesor; owa zaś wyniosła szlachetna postać, pełna wdzięku wiekuistej młodości, co go dotąd pono nie opuściła, to znany szerszym naszej powszechności kołom ze swego znakomitego przekładu Dantego — profesor i dziekan wydziału prawnego — Antoni Stanisławski.

Brzęk kluczy odźwiernego, który snać chciał już opuścić izby uczelni, przypomniał mi, iż czas nagli i pora biedz dalej wśród tego mogilnika wspomnień.

Pociągnąłem przeto ulicą niezbyt zdając sobie sprawę dokąd idę, i po niejakim czasie, jakby instynktownie stanąłem u wrót jakiegoś domostwa. Podniósłszy głowę, chciałem iść dalej, ale, rozpatrzywszy się, pozostałem u owych wrót, wyglądających pokaźnie, godowo, acz to stare wrota, prowadzące niegdyś do siedziby Aleksandra Mickiewicza. Poza odmłodzoną bramą wgłębi dziedzińca, stoi dotąd domostwo stare z ogródkiem. Wśród tej cichej zagrody spędził on długie lata, chętnie widując gościa u siebie, sam zaś mało wychylając się z domu, który był urządzony na sposób wiejski, litewski. Dziwnie swojska atmosfera wiała w onym domku z każdego zakątka, przechodzień mógł zapomnieć, iż nie jest w starym dworze litewskim, tak tam wszystko tchnęło naszą starą patryarchalną prostotą. Kiedy przestępowałeś próg tego domostwa, zdawało ci się, iż jesteś gdzieś w Nowogródzkiem, lub Słuckiem; przestrzeń, obce otoczenie znikały, czułeś się u siebie, pod rodzinną strzechą.

Młodzież uniwersytecka, tak w onym domu, jak pod dachem prof. Walickiego, mogła zaczerpnąć pełną piersią powietrza pól rodzinnych. Podwoje obu tych domów profesorów-ziomków — stały dla niej otworem. W czasach, kiedy na katedrach uniwersytetów cesarstwa widziano ludzi obcego obyczaju, nader cenną dla naszej młodzieży była owa możność bliższego obcowania ze swymi mistrzami; opadała tam z nas rdza szkół nowoczesnych, obcych, których poziom — szczególnie w prowincyach zabużańskich — stał wtedy nader nizko.

Domy rodzinne profesorów Walickiego i Mickiewicza, skupiające najtłumniejsze grona młodzieży, rdzennie wzajem różniły się w swem urządzeniu. Pierwszy biegł bardziej z biegiem czasu; drugi ani na krok nie ustąpił z drogi tradycyi. Nieznano w nim gwaru, nie roztwierano zbyt szeroko jego podwoi, jakby w obawie, by nie wcisnęły się przez nie zbyt wielkie prądy obcej atmosfery. Na tle tego wiekuistego spokoju, co niezmiennie u progu Mickiewiczów gościł, poważnie odbijała postać gospodarza domu. W swej litewskiej długiej kapocie, z nieodstępną fajką z piórkiem w ustach, siedział on pospolicie w gabinecie milczący, poważny, gdy jednak mówił powoli, ze spokojem, z akcentem nieco litewskim, słuchałem go z całym zapałem siedemnastoletniego wyrostka, co od kolebki nauczył się cenić przeszłość, umiał szanować włos siwy i doświadczenie starca.

W czasie tych pamiętnych dla mnie posiedzeń w gabinecie siwowłosego mistrza, wielekroć z ciekawością rzucałem wzrokiem na dużą szafę, gdzie wedle podań, jakie wśród nas, młodzieży, krążyły, miały się znajdować manuskrypta pierwszych prac

nieśmiertelnego Adama. Niestety! szafa ta nigdy się nie odmykała, wobec profanów przynajmniej — i dotąd dokładnie niewiadomo, czy zawierała ona cenne skarby pierwocin prac wieszcza, lub czy wieść o nich była utworem bujnej wyobraźni młodzieży. Zresztą, profesor nigdy o wieszczu nie mówił i kiedy jeden z młodzieży, wracając z wakacyi, przywiózł mu biuścik Adama — co było wówczas rzeczą zupełnie nową, bo dopiero o rok później portrety i biusty wielkiego poety ukazały się w handlu — poważny mistrz rozrzewnił się, uściskał młodzieńca, ale wnet biuścik schowany został i już oko ludzkie więcej go nie oglądało.

Zapatrzony w tę cichą siedzibę, której progi tak dla mnie ongi były cennemi, przebyłem u jej wrót zbyt długą chwilę. Wzrok mój i myśl cofały się w przeszłość bezpowrotną, czerpiąc z jej skarbnic siłę do dalszej wędrówki przez przepaściste drogi życia, wskazane dłonią mistrzów. Cześć wam i pokój, żyjący i zmarli pracownicy, coście umieli przechować arkę tradycyi, pracy, miłości i poświęcenia!...

Od starych wrót tej zagrody, z której już uleciał oddawna wraz z dawnymi gospodarzami duch swojszczyzny, co ją ożywiał, pociągnąłem do siedziby, zajmowanej przed laty przez prof. Antoniego Stanisławskiego, chcąc bodaj jednem spojrzeniem uczcić owo miejsce pobytu zasłużonego mistrza.

Skromna facyatka do dziś istnieje. Tam, wśród maluczkich izdebek, zdala od gwaru miasta, pracował znakomity profesor nad przekładem „Boskiej Komedyi“—z pod tego dachu ubogiej facyatki wyniosłem niejedną myśl, zaprawną solą mądrości i rozwagi. Lecz nie ja jeden czerpałem z onej kry-

nicy doświadczenia i wiedzy; drzwi facyatki przed żadnym z adeptów nauki nie zamykały się, darzono tam wszystkich zarówno, kto tylko do nich zakołatał, słowem zachęty do pracy i ufności w swe siły.

W innej okolicy miasta, w gmachu tak zwanego starego gimnazyum, zajętym obecnie przez wielu lokatorów, mieściło się niegdyś mieszkanie Józefa Korzeniowskiego, który osiem lat (do r. 1846) zajmował w Charkowie posadę dyrektora gimnazyum. Gmach ów pamiętny jest w dziejach piśmiennictwa naszego.

Zdala od kraju, prawie zapomniany, rzec można, w onej dobie od swoich, mąż ten pełen talentu pod dachem owego gmachu stał się jednym z twórców polskiej powieści. — Cały szereg komedyj i dramatów: „Stary mąż", „Pani kasztelanowa", „Doktor medycyny", „Stacya pocztowa w Hulczy", „Okno na pierwszem piętrze", „Andrzej Batory" i wiele innych—ujrzały tam światło dzienne. Tam powstały „Spekulant" i „Kolokacya", powieści rozpoczynające nową erę naszego obyczajowego powieściopisarstwa. Domostwo to zatem możemy mienić jedną z kolebek polskiej powieści i stawić je ośmielamy się obok dworów Omelna, Gródka i Hubina, gdzie nasz mistrz nad mistrzami, wielki talentem, pracą i obywatelską zasługą J. I. Kraszewski kreślił pierwsze swe utwory. Jeżeli skromne te przybytki na Wołyniu, co patrzały na pierwociny prac Kraszewskiego, cennemi są dla pamięci narodu, nieobojętnym dla nas być powinien i ów gmach w Charkowie, ongi szkolny, dziś w zaniedbaniu, skazany na przedwczesną zgrzybiałość.

Epoka pobytu J. Korzeniowskiego w Charkowie dla mnie jest zbyt dawną, poznałem bowiem

owo dalekie, zaworsklańskie miasto już w dziesięć lat po wyjeździe zeń autora Karpackich górali, tradycya wszakże tego pobytu była tam jeszcze dość żywą... Pamięć, którą po sobie zostawił mąż pełen talentu, tak tam, jak i w kraju, na nieszczęście nie nader była przyjazną. Co innym przebaczano, jemu nie przebaczano; i te to pono drobne drzazgi stosunków z otaczającymi, w dość drażliwy sposób postawionych, które raniły zapewne wielokrotnie ową duszę artystycznych usposobień, dały mu myśl do napisania „Kolokacyi". Ta drobna szlachta, w ciągłych swarach o drobiazgi, wegetująca gdzieś w wioszczynie wołyńskiej, pośród żyznych łanów Starego-Konstantynowa, której zwady, koalicye i szermierki językowe odwzorował z taką potęgą sztuki J. Korzeniowski, azali to nie jest wierny obraz burz w szklance wody, co wielekroć wstrząsały stosunkami kolonii naszych ziomków, rzuconych zdala od gniazd rodzinnych?...

Izba, która widziała narodziny „Kolokacyi", „Spekulanta", gdzie powstawały znakomite typy komedyj Korzeniowskiego, a Szekspira ubierano w szatę polskiej mowy, izba ta jest dziś składem starych rupieci izraelskiej rodziny. Kolebka arcydzieł sztuki sprofanowana, zbrudzona, dość smutne na przechodniu wywiera wrażenie... Niedługo w niej wszakże gościłem. — Ciekawy wzrok teraźniejszych gospodarzy mieszkania, niemogących zrozumieć, co pociągającego mieć może dla mnie izba zaniedbana, odarta, osłonięta pajęczyną, prędko mnie z niej wypędził. Odchodząc, upewniłem gospodarza tego niegdyś przybytku sztuki, iż są to ostatnie zapewne nawiedziny, co spokój ich zakłócają. Czcicieli pamiątek dni minionych coraz mniej u nas.

Cmentarz był ostatnim kresem mych wędrówek po Charkowie. Nazajutrz miałem odbyć wycieczkę zamiejską, nieco dalszą, do willi niegdyś Siemiradzkich, z którą to miejscowością łączą się moje osobiste wspomnienia, gdzie spędził swe młodociane lata nasz artysta europejskiej później sławy Henryk Siemiradzki.

Na cmentarzu, gdzie rozmaitymi czasy zebrała się liczna gromadka grobów ziomków naszych, pragnąłem hołd złożyć mogile profesora Alfonsa Walickiego i zapomnianemu od świata grobowcowi Grzegorza Hreczyny. Grób Walickiego, acz pierwszy raz nawiedzałem cmentarz Charkowski po jego zgonie, łatwo odszukałem. Hreczyny mogiła w głębi cmentarza z trudnością wpada w oko wędrowca. Było tak i dawniej, kiedy niespełna dwa dziesiątki lat dzieliły nas od zgonu znanego ongi matematyka. Teraz zaś, gdy więcej niż drugie tyle lat ubiegło, przysparzając mogił w tej krainie cieniów, niemało zużyłem czasu, aby wśród tłumu nowych grobów wynaleźć mogiłę ubogą cichego a pożytecznego pracownika na niwie wiedzy, uprzednio w Krzemieńcu, potem w Kijowie, przy zawiązującej się tam zaledwie wówczas wszechnicy, a wreszcie w Charkowie, gdzie już nie starczyło sił do dłuższego życia szermierzowi nauki. Poto tylko snać przyjechał on na zaworsklańskie stepy, aby znaleźć na nich mogiłę, jedną bowiem zaledwo zimę strawił Hreczyna na katedrze charkowskiej uczelni... Cała działalność Hreczyny należy do epoki zawiązków kijowskiego uniwersytetu, a przeważnie do najświetniejszej doby liceum wołyńskiego, w Krzemieńcu, gdzie w pobliżu swej kolebki z wielką pracą, a niezaprzeczonym pożytkiem, wykładał z ka-

tedry licealnej matematykę w ciągu lat czternastu. Dziś, kiedy tak już mało mamy ludzi, oddających się z zamiłowaniem pedagogicznemu zawodowi, gdy często rzecz tę traktują niby ladajako prowadzone rzemiosło, zabaczając, iż to najważniejsza z prac społecznych, uważałem za słuszne wywołać z grobów niepamięci chociaż parę imion dawnego zastępu pedagogów. Cienie te przeszłości często przerastają obecne pokolenia pod względem gruntownej wiedzy, a są prawdziwymi olbrzymami pracy i poświęcenia się trudnemu swemu powołaniu... pracowali oni często dla obcych i wśród obcych, pozbawieni tej nawet pociechy, aby własne społeczeństwo mogło mieć korzyść z ich długoletniego znoju. Spełniali wielkie posłannictwo dziejowe: roznoszenie światła i prawdy na skraiskach świata, i tam, jeżeli im sił starczyło przejść nieskalanie przez cały gościniec utrapień i pokus, padali samotni, w milczeniu, bez skargi, bez jęku boleści, unosząc do mogił za całą ziemską pociechę przeświadczenie, iż powinność swą spełnili...

Pełen smutnej zadumy, wracałem do miasta, gdzie mnie czekała jedna ze wspanialszych uczt duchowych. Spotkałem ostatniego z grona tych, co byli ongi przewodnią gwiazdą dla nas stojących jeszcze u wrót życia, dziś zaś tworzą ogniwo, łączące dobę obecną z pokoleniem minionych dni. *) Wśród wielkiego mogilnika wspomnień, był on dla mnie jakby głosem innego świata, wlewającym otuchę, zachęcającym do wytrwałego stąpania stromemi ścieżki ziemskiej pielgrzymki. Godziny z nim strawione stały się balsamem pociechy dla myśli

*) Tu piszący mówi o Edmundzie Liwskim.

rozżalonej długiem obcowaniem ze światem przeszłości.

Nazajutrz, gdy zaledwie miasto zbudziło się ze snu, już dążyłem po za jego rogatki, chcąc zwiedzić willę dawniej Siemiradzkich, co była prawie kolebką artysty o rozgłośnej sławie. Tam on mieszkał z rodzicami przez cały okres lat pacholęcych, stamtąd uczęszczał do szkół i na kursa akademickie w Charkowie, tam błysnęła ku chlubie krajowej pierwsza jutrzenka jego wielkiego talentu, tam wreszcie troskliwa matka (Michalina z Prószyńskich) wytworzyła dlań otoczenie tak swojskie, iż pacholę wzrastało w tym zamiejskim gaju, jakby u siebie. Atmosfera wiejąca wonią pól naszych tak tam zawsze przeważną była, iż przed laty, za dni mego pobytu w Charkowie, korzystając z udzielonej mi uprzejmie gościnności, spieszyłem wielekroć pod ów dach wiejskiej zagrody, pewnym będąc, że na chwilę zdołam zapomnieć o przestrzeni, co mnie dzieliła od swoich.

Przebiegając teraz cały cykl wspomnień charkowskich, pragnąłem go zamknąć odwiedzeniem willi Siemiradzkich, która, acz w innych rękach oddawna, zawsze nosi to miano, tak dziś chlubnie znane u nas i u obcych. Bez owych odwiedzin, eksploracya pamiątek naszych w zaworsklańskim grodzie zupełnąby nie była.

Willa owa leży na skraiskach przedmieść zamiejskich. W czasach kiedy bywałem jej gościem, a dzisiejszy artysta, dziecię naówczas wątłe, dobiegał zaledwie połowy kursów szkolnych—wiejska ta zagroda mniejszą niż dziś miała spójnię z miastem. Dziś miejscowość uległa znacznym zmianom. Błądziłem i pytałem, zanim mogłem znaleźć tak mi

ongi dobrze znaną drogę. Od głównego gościńca, wzdłuż którego legły przedmieścia i domki zamiejskie, boczna uliczka, wązka, kręta, błotnista, ocieniona wiejskiemi nędznemi lepianki, prowadzi do owej willi. Uliczka ta, acz dawniej drogą tylko była, już jednak nosiła na planach, mających się zabudować przedmieść, miano „ulicy Siemiradzkiego", od nazwiska ojca artysty, który w tym zakątku pierwszy wzniósł większą zagrodę. Miano to do dziś przetrwało w ustach ludności podmiejskiej. Kierując się przeważnie pamięcią wrażeń młodocianych, stanąłem u celu poszukiwań.

Dom otoczony ogrodem, dziedziniec obszerny, na wzór dziedzińców naszych dworów wiejskich, ocieniony drzewami i krzewy, tworząc to miłe ustronie, gdzie pod wyłącznym prawie kierunkiem matki, bo zatrudnienia ojca często go z domu wywoływały, kształciło się i wzrastało pacholę, co miało nowy promień sławy rzucić na ziemię rodzinną. Obecnie zagroda pokaźniej nieco wygląda: drzewa się rozrosły wspaniale, dom odświeżony i odmłodzony, nowy właściciel jest bowiem zamożnym pono bankierem, czy też przemysłowcem—dla mnie jednak postać domostwa dawniejsza, bardziej skromna i wieśniacza, milszą była.

Przestąpiwszy bramę obejścia, prosiłem właścicieli willi o pozwolenie zwiedzenia ogrodu i zdjęcia widoku przez fotografa, którego miałem przysłać. Dość uprzejmie udzielono mi pozwolenia, syn zaś gospodarzy domu został delegowany, aby był moim c i c e r o n e. Podczas przechadzki po owym ogródku, uprzytomniła mi się przeszłość tej zagrody, tak dalekiej, a tak ongi szczerze swojskiej, iż mogło się zdawać, że ją dobry geniusz rodziny

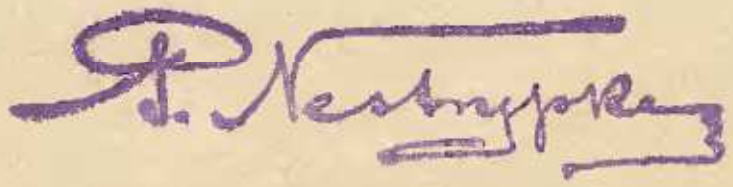

przyniósł tu z nad źródeł niemnowych. Nasze księgi, nasze dzienniki, które nader rzadko w one lata bywały nawet w kraju pod dachem dworów wiejskich, spotykałem wówczas wśród ścian tej willi. Najczęstszym jej gościem bywała rodzina profesora Aleksandra Mickiewicza, który z gospodarzem domu złączony był węzłem dawnej, koleżeńskiej zażyłości, sięgającej epoki szkół dominikańskich, w Nowogródku, jednocześnie odbywanych. Słowem, było to gniazdo splecione z naszych krzewów, owite słomą pól naszych, ożywione powietrzem naszego nieba, przerzucone dłonią losu na dalekie, obce niwy.

Dobrym geniuszem, co strzegł nietykalności owego gniazda, była matka znakomitego artysty, pierwszy jego mistrz i kierownik — niewiasta wyższego umysłu i uczuć prawdziwie obywatelskich.

Pisałem w r. 1877.

Koniec tomu I.

Spis rzeczy.

	Str.
Przedmowa	V.
Stary dwór na Wołyniu. Echa wspomnień z lat 1844 i 1845	9
Konfederat	57
Gniazdo Reytana	79
Dawny Żytomierz (z ilustracyą)	101
J. I. Kraszewski w Żytomierzu	143
Emeryci	201
Ostatni z Sieniutów (z portretami)	219
Nasze pamiątki w Charkowie. Okruchy dawnych wrażeń	239

TEGOŻ AUTORA

WYSZŁY NASTĘPUJĄCE DZIEŁA:

Historya Stanów Zjednoczonych. Rys dziejów od r. 1788 do r. 1865. Warszawa, 1878. nakład M. Glücksberga.

Rys Dziejów Najnowszych, od r. 1815 do 1875. Wilno, 1880. Nakład i druk J. Zawadzkiego.

Kudak, twierdza kresowa. Monografia histor., nagrodz. p. Krakowską Akademię Umiejętności — Kraków. 1879. nakładem Gebethnera i Wolffa.

Kudak . . . wyd. II powiększone . . . Kraków. 1899.

Młodzież Polska w uniwersytecie kijowskim przed 1863 r. Szkic historyczny z portretami 2 ostatnich profesorów— Polaków oraz rzadkiemi dziś podobiznami ówczesnych studentów. Kijów, 1909, nakład L. Idzikowskiego.

Historya Literatury Polskiej, na tle dziejów narodu skreślona. Warszawa.—1888. Nakł. M. Orgelbranda—2 tomy.

Obrazy i Studya historyczne. Serya I. Nakł. Geb. i Wolffa. Warszawa—1884.

Obrazy i Studya histor. Ser. I, wyd. II—1899.

Obrazy i Studya histor. Serya II, Warszawa, 1901.

Karol Prozor. Przyczynek do dziejów Powstania Kościuszkowskiego . . . str. 335. Kraków, 1897.

Edmund Różycki, szkic biograficzny.—Kraków. 1895.

Teresa z Wierzbickich, ***Buthakowa*** . . . Kraków. 1895.

Towarzystwo Strzeleckie krakowskie, monografia histor. z rycinami. Kraków. 1902.

Pole bitwy u Żółtych Wód . . . Odbicie z Rozpr. Akad. Um., wydz. filoz. (T. XII). Kraków. 1880.

Przymierze dziedzica z poddanymi rolnikami . . . Odbicie z Archiwum dla hist. lit. i ośw. (T. XIII) nakład Akademii Um. Kraków. 1905.

Romuald Traugutt i jego dyktatura podczas powstania styczniowego (1863—1864), wyd. IV powiększone, z 3 rycinami. Kijów, 1911, nakład Leona Idzikowskiego.

Z przeszłości. 1861—1862. I Zjazd Horodelski. II Moje pierwsze wygnanie. Wydanie I, Kijów, 1910, nakład Leona Idzikowskiego.

J